

LOCKDOWN DZIECI
Nowe życie
kwitnie zdalnie

PRZED ŚWIĘTAMI
Droga krzyżowa
rozczarowanych

CZAS INFLACJI
Zrównani
przez ceny

JA, ANDROID
Sztuczna inteligencja
błądzi po ludzku

NASZE WINA
Po co istnieją
ziemia i słońce

Kraków 28 marca 2021 nr 13 (3742)

cena 9 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Wyścig z wirusem: decydujące starcie

W WYDANIU
DODATEK
**MUZEA SĄ BLIŻEJ,
NIŻ MYŚLISZ**

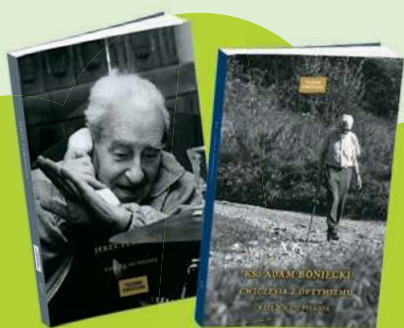
ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



Zostań w domu

odbierz „Tygodnik” prosto
ze swojej skrzynki pocztowej!

Tylko teraz: prezent na 76. urodziny
„Tygodnika Powszechnego”!
Kup dowolną prenumeratę wydania
papierowego, a otrzymasz w prezencie
2 wyjątkowe notesy* – „Książki do pisania”
Jerzego Turowicza i ks. Adama Bonieckiego



* Oferta dotyczy tylko zamówień realizowanych na terenie Polski
i jest ważna do 15 kwietnia lub wyczerpania nakładu książek.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie
przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę
TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate,
na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa
w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075
lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet
na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela
Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101
(w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail:
kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia**	365 zł	
Karta Dużej Rodziny***	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	75 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze
na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

weź, czytaj!

KS. ADAM

Boniecki: Utracona wiarygodność

ZKRONIK: NIEDZIELA PALMOWA 1984 R. NA PLACU św. Piotra z okazji Jubileuszu Odkupienia odbyło się międzynarodowe spotkanie młodzieży z papieżem Janem Pawłem II. Obecnych było około 300 tys. osób. Ojciec Święty wręczył młodzieży krzyż. Powiedział: „Ponieście ten krzyż przez wszystkie kontynenty świata”. Potem krzyż nazwano Krzyżem Światowych Dni Młodzieży. Gdy Organizacja Narodów Zjednoczonych ogłosiła rok 1985 Międzynarodowym Rokiem Młodzieży, Jan Paweł II oficjalnie ustanowił Światowe Dni Młodzieży. Pamiętamy te SDM w Paryżu (1997), którym wrócono z fiasco, a które, ku zaskoczeniu nawet francuskich biskupów, zgromadziły ok. 1,1 mln uczestników ze 160 krajów. Na XV Światowe Dni Młodzieży (2000) do Rzymu przybyło prawie 2 mln osób z całego świata. Dobrze pamiętamy SDM w Krakowie (2016), w których uczestniczyło ok. 3 mln osób. Co trzy lata Światowe Dni się przeplatają z obchodzonymi – w pozostałych latach, także w Niedzielę Palmową – Dniami Młodzieży w diecezjach, gdzie młodzież spotyka się ze swoimi biskupami.

I właśnie w tym roku papież Franciszek zmienił datę obchodów Dni diecezjalnych: od roku 2021 będą one obchodzone nie w Niedzielę Palmową, lecz w święto Chrystusa Króla. Nie jest to zmiana z racji pandemii, wyjątkowa, lecz stała. Może papież uznał, że idea Chrystusa Króla silniej przemawia do młodych ludzi niż obraz wjeżdżającego na oślicy do Jerozolimy Jezusa, witanego entuzjastycznym „hosanna” tłumem, który za chwilę będzie wołał „ukrzyżuj”?

Mniejsza jednak o daty. Ciekawe, jak to będzie w roku 2023 na 38. Światowych Dniach Młodzieży w Lizbonie. Ciekawe, bo odruchowo, mówiąc o Niedzieli Palmowej, myślimy o młodzieży. W Polsce np. według nowego raportu KAI widać, że mamy do czynienia z „pełzającą sekularyzacją”.



Komentatorzy mówią nawet, że ta sekularyzacja wśród młodzieży bynajmniej pełzająca nie jest. Przez ostatnie 25 lat spadek deklaracji wiary w Boga u młodzieży wyniósł aż 20 proc., a praktyk religijnych – 50 proc. Niewątpliwie wśród różnych przyczyn tego spadku znaczącą rolę odegrał spadek zaufania do Kościoła. Do roku 2010 ok. 65 proc. Polaków oceniało jego działania pozytywnie, w 2020 r. było to już 42 proc.

Utrata zaufania do Kościoła nie jest zjawiskiem specyficznie polskim. Nic dziwnego, że wszystkie poczynania papieża Franciszka zmierzają do tego, by Kościół mógł je odzyskać. Jedną z ważnych przyczyn utraty zaufania jest to, że Kościół, a ściślej mówiąc kler – „personel naziemny Kościoła” – zawiódł. W ciągu wieków autorytet duchownych został (sztucznie) wywindowany do poziomu wręcz mitycznego. W seminarium (przed Soborem) uczono mnie np., że w Kościele są dwa „stany doskonałości”: w odniesieniu do zakonników mówiło się o doskonałości nabywanej (*perfectio acquirenda*), stan doskonałości posiadanej (*perfectio acquisita*) był w tamtej epoce zarezerwowany dla stanu biskupiego. Tak była kształtowana nasza kościelna mentalność.

Wizja oparta na tej klerykalnej – jakkolwiek się to rozumiało – koncepcji doskonałości musiała się wraz z nią zaważyć. Teraz powoli, nie bez wysiłku, wracamy do św. Augustyna: „Choć lękam się tego, kim jestem dla was, pocieszam mnie to, kim jestem z wami. Dla was jestem biskupem, z wami jestem chrześcijaninem (...). To pierwsze miano jest zagrożeniem, drugie wybawieniem” (Mowy, 340, 1).

„Niektórzy sądzą, że w Kościele są szefowie: papież, biskupi i kapłani, a potem robotnicy – którymi są pozostałe osoby. Nie – wszyscy jesteśmy Kościołem, wszyscy!” (papież Franciszek, 06 czerwca 2018 r.).

© P

ś.†P.

Adam Zagajewski

ur. 21 czerwca 1945 we Lwowie, zm. 21 marca 2021 w Krakowie

Współtwórca Nowej Fali, niezależnego głosu polskiej literatury, był wspaniałym poetą, tłumaczonym na wiele języków, eseistą i prozaikiem, laureatem wielu nagród, w tym Neustadt Prize i Nagrody Książniczki Asturii.

Mądry, odważny i uroczy człowiek, obdarzony subtelnym, autoironicznym poczuciem humoru, współpracował z naszym piśmem od połowy lat 70. minionego wieku.

Łączymy się w bólu z Mają Zagajewską, a także z wszystkimi przyjaciółmi i czytelnikami Adama.

TYGODNIK POWSZECHNY



22 Trzecie okrażenie MACIEJ MÜLLER

Czy wyścig z koronawirusem da się w ogóle wygrać? Lekarze widzą światło w tunelu: w krajach przodujących w akcji szczepień tempo zakażeń wyraźnie spadło.



44 Twierdza Perpignan SZYMON ŁUCYK Z FRANCJI

Emmanuel Macron i Marine Le Pen zmierzają się za rok w wyborach prezydenckich. Dziś licytują się, kto ma lepszy pomysł na zahamowanie imigracji. Dobrze widać to z perspektywy granicy francusko-hispańskiej.



72 Być androidem
WOJCIECH ENGELKING
Dotychczas bycie człowiekiem opierało się na przeświadczeniu, że wartość jednostki bierze się z tego, jak wiele daje społeczeństwu. A co, jeśli ktoś niczego dać nie będzie w stanie? – pyta Kazuo Ishiguro, laureat Literackiej Nagrody Nobla 2017.

34 Droga krzyżowa rozczarowanych
IGNACY DUTKIEWICZ
Chrystus cierpi dziś w tych, których Kościół zawiodł, zostawił, osądził – zamiast zrozumieć.



62 Korona czerwonej królowej
SZYMON DROBNIĄK
Nie rozumiemy reguł rządzących obecną pandemią bez znajomości podstaw biologii ewolucyjnej. Wynika z nich, że bierzemy teraz udział w ważnym wyścigu.



84 Pasterze winnic
MAREK BIEŃCZYK
Męczyłem ludzi pytaniem, jak jedzą gruszkę, owoc niepokojący. Jeśli najpierw wyrrywają ogonek i biorą gruszkę od góry, są marzycielami, jeśli kroją nożem albo wgrzyzają się z boku – nie są. A jak wziąć wino?

6 Klasztor, sekta i demony

ARTUR SPORNIAK

7-11 Obraz tygodnia**20-21 Czytania / Widzenia**ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA■ ■ **KRAJ****22 Trzecie okrażenie**

MACIEJ MÜLLER

27 Inflacja ma wielkie oczy

RAFAŁ WOŚ: Czy rosnące ceny to powód do zmartwień i kara za złą politykę gospodarczą?

30 Życie warte rozmowyROZMOWA Z HALSKĄ WITKOWSKĄ,
SUICYDOLOGIEM■ ■ **WIARA****34 Droga krzyżowa rozczerwonych**

IGNACY DUTKIEWICZ

38 Kościół ponad prawem

KRZYSZTOF STORY: Parafia notorycznie łamie obostrzenia sanitarne. W Czudcu trwa półroczny spór z udziałem policji, kurii i mediów

41 Szalone szczęście

ANNA MIKULSKA Z HISZPANII o ludziach, którzy całkowicie oddali się katedrze

■ ■ **ŚWIAT****44 Twierdza Perpignan**

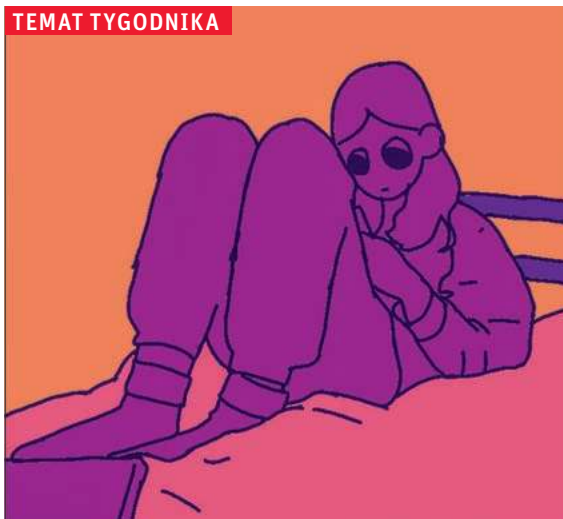
SZYMON ŁUCYK

49 Do trzech razy sztuka

ULA IDZIKOWSKA Z PRAGI: Życie z brytyjską mutacją to epidemia na sterydach

TEMAT TYGODNIKA

MARIANNA KANIEWSKA

**12 Z drugiej strony internetu**

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Pandemia nadała nowy sens pytaniom o skutki zanurzenia młodych ludzi w przestrzeni wirtualnej. Ale przeniesienie ich komunikacji do sieci może mieć zaskakujące efekty. Przeciwnie, niż chcieliby alarmiści.

15 Algorytmy moralnej panikiROZMOWA Z JACKIEM PYŻALSKI, EKSPERTEM
W ZAKRESIE EDUKACJI MEDIALNEJ:

Bez kontekstu nie ma sensu rozmawiać o problemach młodych ludzi z urządzeniami ekranowymi. A kontekst brzmi: wszyscy się pogubiliśmy

DODATEK 67 Muzea są bliżej, niż myślisz■ **FELIETONY** ■**33** DOROTA MASŁOWSKA **43** ZUZANNA RADZIK**82** JAN KLATA **83** PAWEŁ BRAVO**90** STANISŁAW MANCEWICZ **90** BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA: MONTAŻ TP-ONLINE / ADOBE STOCK

Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

52 Zwrot Zełenskiego

TADEUSZ IWAŃSKI: Co chce osiągnąć prezydent Ukrainy, atakując Wiktora Medwedczuka, powinowatego Putina?

54 Nowy patriarcha, stare problemy

MARTA SZPALA: Serbska cerkiew chce zostawić za sobą przeszłość

■ ■ **HISTORIA****58 Archipeląg utopii**

PIOTR OLEKSY: Miasteczko Dziecięce miało służyć edukacji w duchu komunizmu

■ ■ **NAUKA****62 Korona czerwonej królowej**

SZYMON DROBNIAK

66 Tygodnik Czytelników■ ■ **KULTURA****72 Być androidem**

WOJCIECH ENGELKING

76 Kaczka w tygrysie

OLGA DREND: Janosch wygrzewa się w tropikach, gdzie uciekł przed wielbicielami

78 Nasz wspaniały świat

JAKUB MAJMUREK: Do współczesnych dystopii dołącza serialowa adaptacja powieści Aldousa Huxleya

80 Nie znaczący nie

ANITA PIOTROWSKA o filmie „Obiecująca. Młoda. Kobieta” Emerald Fennell

82 Pępowina

LEKTOR o książce Tomasza Żukowskiego „Pod presją. Co mówią o Zagładzie ci, którym odbieramy głos”

■ ■ **ZMYŚŁY****84 Pasterze winnic**

MAREK BIEŃCZYK

TYGODNIK
POWSZECHNY**Moc czytania – w świątecznym wydaniu „Tygodnika”**

Zmartwychwstanie, perspektywa kobiet | Ks. Prusak: wielkanocna terapia | Życie jeszcze raz | Rehabilitacja ze sprzątania | Radomskie loty donikąd | Scheidel: albo pokój, albo równość | Paryż, bohema, epidemia | Co widać w Wodospadach Wiktorii | Nowa zagadka kosmologii | A co, gdyby nie było Mongołów? | Koniec epoki dystansu | Czyżewski: centrum jest na pograniczu | Szał Tatr | i inne...

„Tygodnik Powszechny” na Wielkanoc – już we wtorek 30 marca w kioskach i salonach prasowych, a w wydaniach cyfrowych tego samego dnia wieczorem.

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



KLASZTOR, SEKTA I DEMONY

Dominikanie – których dotąd omijały skandale seksualne – zmuszeni zostali, by wyjaśnić drastyczną sprawę sprzed 20 lat. Czy starczy im odwagi, by wyjaśnić ją do końca?

ARTUR SPORNIAK

PAWEŁ M. W LATACH 1996–2000 z duszpasterstwa akademickiego, które prowadził w dominikańskim klasztorze we Wrocławiu, uczynił swoją sektę. Kilkanaście osób najbardziej zmanipulowanych było mu absolutnie posłusznych. Kilka dziewczyn dominikanin traktował jak seksualne niewolnice. Jedną „brutalnie i często gwałcił. Na przykład wpadał do ciasnego pomieszczenia, podduszał ją, gwałcił i wykrzykiwał na cały głos grzechy innych ludzi ze wspólnoty. Oskarżał ją, że grzeszą, bo ona nie jest wierna Bogu.

Albo potrafił zgwałcić którąś na ołtarzu w bocznej kaplicy kościoła” – opowiada Olga, jedna z dwóch ofiar, które zdecydowały się sprawę nagłośnić. Ofiary były bite m.in. skórzanym pasem. Olga wyjaśnia patologiczny mechanizm: „Paweł stworzył inną rzeczywistość, (...) w której diabeł, rozmaite demony były bardzo realne (...) A każda nasza czynność odbijała się na kimś innym. On uczynił nas odpowiedzialnymi za losy ludzi, świata, za swoje cierpienia i za to, że musiał nas tak traktować”.

*Kościół i klasztor
pw. św. Wojciecha,
siedziba
dominikanów
we Wrocławiu,
7 marca 2021 r.*

Rozmowa z kobietami, przeprowadzona przez Artura Nowaka, prawnika pomagającego ofiarom skrzywdzonym w Kościele, została opublikowana 21 marca w Onecie. Wynika z niej, że ówczesny prowincjał – zmarły niedawno o. Maciej Zięba – szczegółowy opis wydarzeń otrzymał w 2000 r. Paweł M. utracił wtedy na rok prawo sprawowania czynności kapłańskich, odbył miesięczną pokutę u kamedułów i pod opieką psychologa trafił do pracy w dziecięcym hospicjum. Ofiarom, które poprosiły o pomoc, o. Zięba odpowiedział, że są dorosłe i wiedziały, co robią, i że „jest przygotowany na ewentualne działania z ich strony”. W 2010 r. kolejny prowincjał – o. Krzysztof Popławski – również otrzymał szczegółową relację z wydarzeń. Od tego czasu Paweł M. mógł sprawować mszę tylko w koncelebrze i skierowano go do opieki nad starszymi zakonnikami. Działal jednak nadal.

Dzień przed opublikowaniem rozmowy z ofiarami (to prawdopodobnie nie przypadek) na łamach wrocławskiej „Gazety Wyborczej” ukazała się rozmowa Artura Nowaka z obecnym prowincjałem dominikanów o. Pawłem Kozackim oraz o. Marcinem Mogielskim, znanym z walki o sprawiedliwość dla ofiar ks. Dymera, szczecińskiego pedofila. Jak się okazało, Mogielski w 2000 r. przejął wrocławskie duszpasterstwo po Pawle M. i to dzięki jego staraniom osoby skrzywdzone zaczęły wówczas opowiadać, co je spotkało. Dzisiaj chce sprawę doprowadzić do końca. O. Kozacki przyznał, że w 2000 r. sprawa nie została dobrze załatwiona, i zapowiedział powołanie niezależnej historycznej komisji oraz komisji ekspertów, która czuwałaby nad standardami w zakonie.

Nie padło jednak najważniejsze pytanie: dlaczego kolejni prowincjałowie po objęciu urzędu nie rozpoczęli procesu karnego o wydalenie z zakonu Pawła M. i dlaczego obecny przełożony zrobił to, dopiero gdy do prokuratury trafiły niedawno zgłoszenia osób skrzywdzonych w 2017 i 2019 r.? Postępowanie o. Zięby, którego próbuje się teraz obarczyć całą odpowiedzialnością, jest smutnym przykładem patologicznej solidarności zakonnej, która – jak przestrzegają eksperci – w przypadkach przestępstw duchownych jest silniejsza niż solidarność biskupów z podległymi im księżmi. © P

Co jest istotne w sprawie Obajtka

PAWEŁ BRAVO



PREZES ORLENU DOCZekał się poświęconego sobie zespołu parlamentarnego. Tylko zespołu – powołanego przez kluby opozycji – a nie komisji śledczej, bo na taką nie ma szans w obecnym Sejmie. PiS będzie utrudniać opozycji formalne działania zmierzające do wyjaśnienia przypadków domniemanego łamania prawa przez dawnego wójta Pcimia i wątpliwości wokół źródeł jego majątku już na dalszym etapie kariery. Zresztą logika wojny politycznych plemion ma w tym wypadku zastosowanie. Z uwagi na rolę, jaką Daniel Obajtek pełni w kluczowym ośrodku kapitalizmu politycznego, kontrolując pieniądze na ważne dla partii projekty (jak np. zakup prasy regionalnej) oraz posady, a także z uwagi na komplementy płynące jeszcze niedawno z ust samego Kaczyńskiego, każde naruszenie wizerunku kapitana przemysłu i nowoczesnego patrioty gospodarczego będzie punktem dla opozycji. A może stanie się tą właśnie oczekiwaną pierwszą porządną rysą na teflonie pokrywającym PiS.

W ciągu miesiąca od publikacji nagrań, mogących świadczyć o tym, że jako wójt *de facto* kierował prywatną firmą, czego zabrania prawo, zebrało się wiele nowych

powodów, by dążyć temat Obajtka. Media w tym czasie ujawniły jego cenne nieruchomości, których zakup, remont czy wyposażenie na pierwszy rzut oka trudno zestawiać z dochodami, jakie wykazywał w oświadczeniach.

Prośba do CBA i prokuratury o ponowne sprawdzenie oświadczeń i umorzeń śledztw z czasów samorządowych to tylko manewr na zyskanie czasu. Może przy okazji prezes PiS zarządził inne, wewnętrzne śledztwo. Ale nie dotyczące tego, co ekscytuje opinię publiczną – majątku – bo to wygląda jak niesmaczne, ale w sumie banalne korzystanie z fruktów władzy. Wiedza o tym okazała się skądinąd łatwa do zdobycia, wymagała dziennikarskiej kwerendy w dokumentach. Chodzi raczej o to, jak zadziałał mechanizm filtrowania ludzi, kooptowanych przez wierzchołek PiS do specjalnych zadań biznesowych. Stanowisko Obajtka jest w istocie równe kluczowym ministrom. Wymaga odporności na naciski, także te ze wschodu, i samodzielności. Kaczyński nie wiedział, jak skrzyętym gospodarzem własnych dóbr jest Obajtek? Czy raczej wiedział, ale nie docenia, że bardzo to może utrudniać osiąganie tak ważnej dlań suwerenności w energetyce? © P

Konwencyonalny spór

KONTROWERSJE wokół konwencji stambulskiej trwają tak długo, a jej temat powraca tak regularnie przy okazji kłopotów obecnej władzy na frontach innych niż ideologiczne, że można by właściwie wzruszyć ramionami – gdyby nie fakt, że w podobny sposób traktowaliśmy niedawno majstrowanie przy ustawie antyaborcyjnej. To, że w Sejmie odbyła się debata na temat przygotowanego m.in. przez Ordo Iuris obywatelskiego projektu ustawy „Tak dla rodziny, nie dla gender”, zakładającego wypowiedzenie dokumentu, trzeba więc potraktować serio. Właszcza że do wypowiedzenia konwencji (akurat w tym tygodniu zrobiła to Turcja) wzywał już latem 2020 r. Zbigniew Ziobro, a Mateusz Morawiecki skierował do TK wniosek o zbadanie jej zgodności z ustawą zasadniczą, co

niekoniecznie musi oznaczać zamknięcie sprawy w zamrażarce.

Zastrzeżenia rządzących budzą m.in. zapisy dotyczące wpływu religii i zwyczajów na przemoc domową; mówi się przy tym, że polskie prawo chroni jej ofiary w wystarczający sposób. A ponieważ spór faktycznie jest odgrzany, wypada i nam odgrzać cytaty z listu episkopatu USA, w 2012 r. zajmującego się właśnie tematem racjonalizacji zachowań przemocowych przez religię. „Jako biskupi potępiamy użycie Biblii do wspierania krzywdzących zachowań w jakiegokolwiek formie”, pisali hierarchowie, zaznaczając też, że jednym z religijnych argumentów, jakich używają sprawcy przemocy, jest konieczność wybaczenia i trwałość więzów małżeńskich. „Od nikogo nie oczekuje się, że pozostanie w krzywdzącym go związku” – mówili. To przemoc i wykorzystywanie, a nie rozwód, zrywają małżeństwo (więcej w archiwalnym tekście Zuzanny Radzik: <http://powszech.net/konwencja>). Dlaczego te oczywistości w Polsce nie są oczywiste? © P MO

Lekarze stracili cierpliwość

NIETYDOLNY, niedofinansowany od lat system upadł pod naporem pandemii, a zostajemy z tym sami, bez wsparcia rządu – ogłosili medycy z Porozumienia Rezydentów, rozpoczynając w poniedziałek protest. Według ich szacunków nawet 5 tys. lekarzy weźmie tygodniowy urlop zdrowotny.

Odejście od łóżek to krok radykalny, ale w środowisku wrze. Młodzi lekarze stracili cierpliwość do ministra Adama Niedzielskiego po zeszlutygodniowym zamieszaniu wokół Państwowego Egzaminu Specjalizacyjnego. Niedzielski zawiesił jego wiosenną sesję, skazując na niepewność tysiące młodych lekarzy. Dzień później ją przywrócił, ale wbrew wezwaniom rezydentów nie zamierza odpuścić części ustnej tym, którzy zaliczyli testy. „Minister (...) ściągają lekarzy spoza UE, przy czym nawet nie próbuje weryfikować ich kwalifikacji. Tymczasem polskich lekarzy trzeba egzaminować kilkakrotnie z tego samego materiału” – denerwują się rezydenci. I punktują w manifestie inne błędy władz: m.in. że wojewodowie powołują do szpitali covidowych lekarzy emerytów, przewlekłych chorych, matki małych dzieci bądź lekarzy rodzinnych, którzy przecież walczą z pandemią na pierwszej linii (lecząc, kierując na testy, szczepiąc itd.).

Zarzucają też rządowi brak realnej reformy. Ich zdaniem władze stać najwyższej na „niekończące się prace kosmetyczne i gaszenie pożarów, które w środowisku [lekarskim] zwykło się już nazywać pudrowaniem trupa”.

© MACIEJ MÜLLER

Ład będzie, tylko później

Z PRZECIEKÓW na temat pakietu ustaw służących wprowadzeniu gospodarki z kryzysu wynika z grubsza to samo, co z wypowiedzi samych polityków PiS. „Nowy Ład” – jak szumnie nazwano ten program – ma kupić partii wygraną w wyborach. Skojarzenia z polityką New Dealu, która wyrwała USA z Wielkiego Kryzysu, nie są przypadkowe, prezes Kaczyński, jak sam kiedyś przyznał, nosi w tornistrze buławę zbawcy kraju. Gospodarka odzyska wprawdzie rumieńce za pieniądze z Brukseli, ale politycznie uwłaszczy się na nich obóz władzy, na nowo ukazując wyborcom twarz rządu zatroskanego losem zwykłych Polaków. Jeśli potwierdzą się przecieki, „Nowy Ład” będzie bowiem mieszanką nowych transferów socjalnych (podniesienie kwoty wolnej do 30 tys. zł i zwolnienie z podatku emerytur do 2,5 tys. zł) z elementami już realizowanej (czasem na żądanie Unii) polityki gospodarczej – na czele z inwestycjami w czystą energię i wsparciem dla gospodarki cyfrowej.

PiS chciałby pożegnać się z wizerunkiem partii, która tylko gasi pożary. Na razie musi jednak walczyć z pandemią i konsekwencjami sprawy Obajtka. Dlatego zapowiedzianą na 20 marca prezentację programu przełożono *ad Kalendas Graecas*.

© MR

KRAJ W SKRÓCIE

TRANSFERY

Europoseł Leszek Miller poinformował, że nie zamierza zasilać szeregów Nowej Lewicy (powstałej z połączenia SLD i Wiosny), choć nie posunął się tak daleko, jak posłanka Wiosny Monika Pawłowska, która



JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

wstąpiła do Porozumienia Jarosława Gowina. Tomasz Zimoch z KO stał się kolejnym parlamentarzystą ruchu Polska 2050 Szymona Hołowni.

EMOCJE

À propos ruchów: lider PO Borys Budka zdystansował się od zapowiadanego po wyborach prezydenckich tworzenia ruchu społecznego przez Rafała Trzaskowskiego: „To było pod wpływem emocji. Rzuciliśmy hasło i potem trzeba się tłumaczyć” – powiedział w rozmowie z „Gazetą Wyborczą”.

UMIĘTNOŚCI

À propos tłumaczeń: „Premier Morawiecki ma dużą umiejętność przekonywania kierownictwa PiS do polityki, która jednak rozmija się z naszym programem” – ocenił działania przełożonego minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro w wywiadzie dla „Sieci”.

PRZEKONYWANIE

À propos umiejętności przekonywania: rządowa propaganda twierdzi, że udział Roberta Lewandowskiego w zbliżającym się meczu Polska–Anglia jest możliwy dzięki telefonowi premiera Morawieckiego do kanclerz Merkel, choć tak naprawdę jest to efekt zniesienia przez Niemców kwarantanny dla podróżujących z Anglii.

Rosja–USA: bez resetu

ANNA ŁABUSZEWSKA



NIC NIE ZAPOWIADAŁO BURZY: PO WYBORZE Joeo Bidena na prezydenta USA w Moskwie odżyły nadzieje na powrót do negocjacji układów rozbrojeniowych – Rosja uważa takie rozmowy za atrybut mocarstwa. Ale Biden zgodził się na przedłużenie traktatu START-3 bez męczących konsultacji. Zza oceanu zaczęły też dobiegać sygnały o zamiarze wprowadzenia przez nową administrację kolejnych sankcji wobec Rosji.

W miniony wtorek, 16 marca, National Intelligence Council (analityczny ośrodek wywiadowczy) opublikował raport, w którym przedstawiono działania Rosji na rzecz pogłębienia podziałów w amerykańskim społeczeństwie, podważania instytucji, procesów demokratycznych itd. Jednoznacznie stwierdzono, że decyzję w sprawie uruchomienia tej kampanii podjął osobiście Putin. Nazajutrz dziennikarz zadał Bidenu pytanie, czy uważa, że Władimir Putin jest „zabójcą” (ang. *killer*). Prezydent USA odpowiedział twierdząco. W Moskwie zawrzało: ostrej reakcji domagali się nawet politycy trzeciego szeregu, którzy na ogół nie zabierają głosu w sprawach międzynarodowych. Rosyjski ambasador został odwołany z Waszyngtonu do Moskwy na konsultacje.

Odpowiedzi udzielił też Putin. Najpierw wywodem o psychologii polityki, okraszonym podwórkową mądrością „kto się przeżywa, ten się tak nazywa”, a potem zaproszeniem do dwustronnej wideokonferencji o polityce światowej. Reakcja była wstrzemięźliwa. Rzeczniczka Bidena stwierdziła, że prezydent jest zajęty. Dzień później wypowiedział się półgębkiem i Biden: „Kiedyś na pewno się spotkamy”.

Komunikat USA jest klarowny: Putin przekroczył czerwone linie, morduje oponentów, miesza się w nasze sprawy, a my nie zamierzamy udawać, że nic się nie dzieje. To mocne uderzenie w wizerunek Putina jako przywódcy podziwianego przez świat.

Komunikat Moskwy też jest czytelny: chcemy rozmawiać, bo w ten sposób potwierdzamy nasz status. Jednak Rosji nie udaje się narzucić swoich zasad gry: dialog z Zachodem – tak, ale na naszych warunkach. A ciąg dalszy i dalsze sankcje nastąpią.

©



COVID-19 NIE OSZCZĘDZA POLITYKÓW. W dniu wyborów prezydenckich w Republice Konga zmarł główny kandydat opozycji Guy-Brice Parfait Kolélas. Głosowanie zakończyło się bez niespodzianek – wygrał 77-letni Denis Sassou-Nguesso, który z pięcioletnią przerwą rządzi krajem od 1979 r. Aby zapobiec nieprawomyślności obywateli, na kilka godzin przed początkiem głosowania władze profilaktycznie wyłączyły w kraju internet. Na zdjęciu: policjanci przewożący urny z głosami, Brazzaville, 21 marca 2021 r. © P

Etiopia: jest nowy front

CHOĆ ZNIKŁA Z NEWSÓW po zdobyciu w grudniu przez etiopskie wojsko Mekele, stolicy zbuntowanego regionu Tigray – w Etiopii trwa „cicha wojna”. Dokonywane przez armię masakry na cywilach napędzają chęć odwetu i w okolicznych górach formuje się nowa partyzantka. Przybył też nowy front: do Tigraju wkroczyły siły zbrojne innej etiopskiej prowincji, Amhary.

Amharowie, tradycyjnie niechętni Tigrajczykom, wysuwają pretensje do części ich ziem. Są obawy, że spór między nimi wywoła efekt domina – zachęci innych do rewizji wewnętrznych granic. Etiopia, kluczowe państwo Rogu Afryki, jest federacją dziesięciu półautonomicznych regionów, w większości zorganizowanych etnicznie. Czas kruchej równowagi między nimi właśnie się kończy.

Tymczasem, pomimo zapewnień premiera kraju Abiyya Ahmeda o „przywrocie rządów prawa” w Tigraju, dziesiątki tysięcy etiopskich żołnierzy, wspieranych przez oddziały z sąsiedniej Erytrei, kontroluje tylko dwie trzecie prowincji. W mieście Samre, o które w lutym toczyły się intensywne

walki, doszło do egzekucji cywilów, podpalono kilkadziesiąt domów, mnożą się też doniesienia o groźbach amputacji stóp i dłoni, kierowanych do zwolenników Tigrajskiego Ludowego Frontu Wyzwolenia. W szpitalu w Mekelle przebywa kilkadziesiąt ofiar gwałtów dokonanych przez żołnierzy. Od grudnia regularnie atakowane są także miejsca kultu religijnego. Rząd w Addis Abebie zaprzecza oskarżeniom o zbrodnie, ale atmosfera terroru napędza pobór do tigrajskiej partyzantki. Tigraj, górzysty region ze ścieżkami i drogami znanymi często tylko lokalnie, może na długo stać się terenem wojny podjazdowej; wojny, która militarnie jest nie do wygrania dla żadnej ze stron.

Sekretarz stanu USA nazwał już zbrodnie w Tigraju „czystkami etnicznymi”, ONZ wzywa do przeprowadzenia niezależnego dochodzenia, które wyjaśniłoby okoliczności prawdopodobnych zbrodni wojennych i zbrodni przeciw ludzkości, w proteście zaś przeciw polityce Addis Abeby do dymisji po dał się zastępca ambasadora Etiopii w USA. Możliwości wpływu zagranicy na wydarzenia w Tigraju są jednak ograniczone – region jest zamknięty nawet dla pomocy humanitarnej.

© P MARCIN ŻYŁA

Taktowanie napięcia

CZY PO XIX-WIECZNYCH wojnach opiumowych dzieje Azji wzbogacą się o „wojnę czipową” – a jej ofiarą padnie Tajwan, uważany przez Pekin za zbuntowaną prowincję?

Chiny, których gospodarka dość szybko strząsnęła z siebie pandemię (wstępne szacunki mówią o wzroście PKB o 2,3 proc.), ze wzmagającą się irytacją śledzą problemy z dostępnością procesorów wykorzystywanych nie tylko w produkcji elektroniki, ale również w motoryzacji, medycynie, AGD czy w branży maszynowej. Na początku 2020 r. dostawcy czipów zmniejszyli produkcję, szykując się na globalną recesję, ale nie wzięli pod uwagę, że spadek zapotrzebowania na czipy w jednych branżach może zostać z nadadkiem zrekompensowany wzrostem popytu w innych. Tak też się stało – wielki apetyt na procesory mają dziś zwłaszcza producenci sprzętu medycznego oraz motoryzacja, która złapała wiatr w żagle dzięki inwestycjom w logistykę.

Lwią część globalnego popytu zaspokajają fabryki amerykańskiego Intela i AMD, południowokoreańskiego Samsunga oraz tajwańskiej firmy TSMC. Właśnie ta ostatnia ma dla Pekinu znaczenie kluczowe, bo zaopatruje większość chińskich marek rywalizujących z amerykańskimi i koreańskimi konkurentami. W USA gubernatorzy ośmiu stanów zaapelowali już do prezydenta o ograniczenie eksportu amerykańskich czipów, których brakuje rodzimej gospodarce. Podobny krok rozważa Seul. Zdaniem niektórych obserwatorów kryzys procesorowy może skłonić Pekin do dalszego zaostrzania polityki wobec Tajpej.

© P MAREK RABIJ



Pierwsze
Radio
Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY

„TYGODNIKA” co tydzień goszczą w programie „Światopogląd”

Agnieszka Lichnerowicz w Radiu TOK FM.

Stuchaj od wtorku do piątku o godz. 15.00.

Zapraszamy!

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław

96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź

97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

– www.tokfm.pl

Nie was błogosławi Bóg wszechmogący

EDWARD AUGUSTYN



KONGREGACJA NAUKI WIARY OGŁOSIŁA, że nie można błogosławić związków jedнопłciowych. Wyjaśnia, że Kościół nie odmawia błogosławieństwa żadnej osobie, jednak błogosławiąc homoseksualną parę (lub niesakramentalny związek kobiety i mężczyzny) sprzeciwiałby się dotychczasowej nauce o małżeństwie i błogosławił grzech. Dokument zaakceptował papież Franciszek.

Zaskoczeni są wszyscy. Nawet ci, którzy pytanie do kongregacji przesłali i dostali odpowiedź po swej myśli, do tego jasną i konkretną. Podejrzewali, że Watykan będzie zwlekał lub kluczył. Bo skoro osobom żyjącym w grzechu i niesakramentalnym związku można udzielić komunii (o czym mówi papieska adhortacja „Amoris laetitia”), to dlaczego nie wolno ich pobłogosławić?

Ci, którzy Franciszka zawsze chwalili – za otwartość i przekonanie, że ważniejszy jest człowiek niż doktryna – teraz nie mogą uwierzyć, że odmawia komukolwiek Bożego błogosławieństwa. Przypominają, że są obrzędy błogosławienia rzeczy i zwierząt oraz że księży – zdarza się – święcą broń. Ale parom homoseksualnym będą musieli odmówić.

Doktryna po raz kolejny rozmija się z życiem. Błogosławienie par homoseksualnych to coraz częstsza praktyka w krajach Europy Zachodniej i Ameryki Płn. Biskup Antwerpii Johann Bonny publicznie skrytykował dokument (powołując się właśnie na „Amoris laetitia”) jako krzywdzący dla „homoseksualnych legalnych małżeństw, które mają dzieci, tworzą ciepłą i stabilną rodzinę, a ponadto aktywnie uczestniczą w życiu parafii”. Kilku set księży z Niemiec i Austrii już zapowiedziało niesubordynację. Czy KNW – sukcesorka Świętej Inkwizycji – będzie ich teraz karać za udzielanie błogosławieństwa?

Do zaskoczeń i zdziwień dodajmy jeszcze jedno. Odpowiedź KNW to pierwszy oficjalny dokument Kościoła, który zrównuje związki homoseksualne z niesakramentalnymi związkami kobiety i mężczyzny. Obydwóm jednakowo odmawia błogosławieństwa, ale i w obydwu dostrzega „obecność elementów pozytywnych, które same w sobie zasługują na uznanie i docenienie”. I tego naprawdę nikt się nie spodziewał. ©P

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

MŁODZI

59 proc. nastolatków badanych przez Centrum Profilaktyki Społecznej stwierdziło, że ich religijność w ostatnich dwóch latach osłabła. 62 proc. uważa, że „Kościół chce przeczekać aferę pedofilii, zamieść ją pod dywan”. Tylko połowa badanych zadeklarowała, że wychowa swoje dzieci w wierze katolickiej, prawie 30 proc., że w przyszłości zrezygnuje z udziału w życiu religijnym.

PROROCY

Podczas wykopalisk na Pustyni Judyckiej odkryto fragmenty ksiąg proroków mniejszych (głównie Zachariasza i Nahuma) sprzed 2 tys. lat. „To najważniejsze odkrycie archeologii biblijnej od znalezienia rękopisów z Qumran” – ocenia prof. Marcello Fidanzio, dyrektor Instytutu Archeologii i Kultury Ziemi Biblijnych w Lugano. Skrawki pergaminu pochodzą bowiem z czasu, w którym tekst biblijny nie został jeszcze ostatecznie ustalony.



ISRAEL ANTIQUITIES AUTHORITY / MAT. PRASOWE

RODZINY

19 marca, zgodnie z wezwaniem papieża, rozpoczął się Rok Rodziny Amoris Laetitia. Według prefekta Dykasterii ds. Świeckich, Rodziny i Życia kard. Kevina Farrella nadszedł czas, by rodzina stała się podmiotem, a nie przedmiotem działań duszpasterskich. Konieczna jest też „większa troska o przygotowanie tych, którzy następnie towarzyszą rodzinom i je formują” oraz „rozszerzenie współpracy z rodzinami jako ewangelizatorami”.

Trzecia fala: czy zamykać kościoły?

WOBEC ROSNĄCEGO wskaźnika zachorowań na COVID-19 (głównie w brytyjskim wariantcie) pojawiają się sugestie, by zamknąć kościoły. Argument epidemiologiczny jest trudny do odparcia: wobec zakaźności nowej odmiany wirusa trudno o reżim sanitarny, który zapewniłby bezpieczny udział w nabożeństwach.

Przeciwnicy zamknięcia kościołów wskazują, że dla osób wierzących liturgia ma fundamentalne egzystencjalne znaczenie – nieporównywalne do żadnej innej aktywności. Znaczenie to jest tym większe, im dłużej trwa pandemia, im większa niepewność co do przyszłości, im wyraźniej ujawnia się kruchość ludzkiej egzystencji. Nie można więc – brzmi argument – odbierać ludziom najważniejszego, a bywa, że jedyne źródła duchowej siły – właśnie ze względu na egzystencjalne pandemiczne spustoszenia. Argument ten powinien trafić także do niewierzących – pozabiologiczne, psychiczne i społeczne koszty COVID-19 są empirycznie uchwytne.

Trudno zatem wymagać od duszpasterzy, by zamykali świątynie. Warto jednak, by wskazywali na możliwość czerpania duchowej siły z wiary także poza przestrzenią kościołów i namawiali tych, którzy to potrafią, do pozostania w domach.

©P PIOTR SIKORA

Kardynał mówił prawdę

PODEJRZEWANY o chęć ukrycia, że w diecezji kołńskiej tuszowano przypadki pedofilii, kard. Rainer Maria Woelki niechcący wyznaczył nowe standardy w Kościele. Dziennikarze nie zostawili na nim suchej nitki, gdy kilka miesięcy temu, zamiast ogłosić przygotowywany od dłuższego czasu raport badający przypadki wykorzystywania seksualnego małoletnich, zapowiedział sporządzenie nowego. Wtedy tłumaczył, że pierwszy dokument ma poważne metodologiczne wady. Brzmiało to jak: „ten raport za bardzo mnie obciąża, dlatego nie może ujrzeć światła dziennego”.

Okazało się, że kardynał mówił prawdę. Kolejny raport sporządzony przez niezależną od Kościoła kancelarię prawną, ogłoszony 18 marca, wywołał istne trzęsienie ziemi. W jego wyniku dwóch byłych wikariuszy generalnych archidiecezji – biskup pomocniczy Dominikus Schwaderlapp oraz obecny arcybiskup Hamburga Stefan Hesse – poprosiło papieża o przyjęcie ich rezygnacji. To pierwsi niemieccy biskupi, którzy podali się do dymisji. Czy ten standard trafi także do Polski?

©P ARTUR SPORNIAN

KULTURA W SKRÓCIE

OSKARŻENIA

Mobbing, poniżanie, przemoc – również seksualna. Tak, według jednej z absolwentek tódzkiej Filmówki, Anny Paligi, wygląda codzienność na wydziale aktorskim. Przykłady przemocy, wraz z nazwiskami wykładowców, którzy mieli się jej dopuścić, znalazły się w opublikowanym na Facebooku liście, który Paliga odczytała także przed radą szkoły. Rektor uczelni, Milenia Fiedler, zapowiedziała wyciągnięcie konsekwencji wobec winnych.

INSPIRACJE

Co inspirowało autora „Solaris”? Biblioteka internetowa Wolne Lektury opublikuje 18 książek, które miały istotny wpływ na twórczość Stanisława Lema, m.in. „R.U.R.” Karela Čapka, w nowym tłumaczeniu Martyny M. Lemańczyk, oraz „Wspomnienia z martwego domu” Fiodora Dostojewskiego w przekładzie Józefa Treliaka.

MROŻENIE

Twórczość Władysława Szymborskiej zostanie zdeponowana w Światowym Archiwum Arktycznym na Spitsbergenie. Od października jest tam już dorobek Olgi Tokarczuk.

POŻEGNANIE

Zmarła Jolanta Brach-Czaina, profesorka filozofii, autorka książek z zakresu estetyki, filozofii sztuki i kultury, antropologii, gender studies. Wydała m.in. „Szczeliny istnienia” (1992) i „Błony umysłu” (2003), które podpisała: „Jolanta, córka Ireny, wnuczka Bronisławy, prawnuczka Ludwiki”. W rozmowie z „TP” mówiła o tym: „ten mój kobiecy rodowód, rodzinna ciągłość, którą podkreślam imionami, jest w jakimś sensie odpowiedzią na męską cywilizację. Bo ona przerywa związki między kobietami i wymazuje ślady powiązań”.



PHILIPPE RUAUT / MATERIAŁY PRASOWE

LAUREATAMI NAGRODY PRITZKERA, zwanej architektonicznym Noblem, za całokształt osiągnięć zostali w tym roku Anne Lacaton i Jean-Philippe Vassal z Paryża – specjalizujący się w adaptacji i modernizacji budynków komunalnych, osiedli i bloków z lat 60. i 70. (na zdj. budynek mieszkalno-biurowy w Chêne-Bourg w Szwajcarii). Uważają oni, że nie trzeba burzyć starych i budować nowych obiektów, by poprawić jakość życia mieszkańców. Ich postawa etyczna, która uwzględnia nie tylko komfort użytkowników podczas przebudowy, niższe koszty, ale też minimalizuje ingerencję w naturalne środowisko, wyznacza zdaniem jury nowy trend w architekturze. Od roku przewodniczącym Nagrody Pritzkera jest Alejandro Aravena, Chilijczyk znany z projektowania osiedli komunalnych dla ofiar tsunami. © PM

Jak przestraszyć ludzi pozbawionych wyobraźni

PRZECZYTANIE STRASZNEJ HISTORII nie wystarczy, by zacząć się bać – do tego potrzeba jeszcze wyobraźni. W szczególności tej wzrokowej. Takie wnioski płyną z eksperymentu Marcusa Wickena i współpracowników, w którym obserwowano reakcje fizjologiczne osób z afantazją – czyli takich, które nie potrafią wyobrazić sobie scen czy przedmiotów, a gdy czytają, rozumieją sens zdań, ale nie „mają przed oczami” opisywanych wydarzeń.

Uczestnikom badania zaprezentowano krótkie historie, które powinny wzbudzać strach. U osób z typową wyobraźnią obserwowano wzrost przewodnictwa skórno – reakcję charakterystyczną dla pobudzenia emocjonalnego. W grupie osób z afantazją taki efekt nie wystąpił – ich poziom przewodnictwa się nie zmienił, z czego można wnioskować, że historie nie wywarły na nich większego wrażenia. Kiedy zastąpiono je zdjęciami, różnice między grupami zniknęły, co wydaje się potwierdzać, że wynikały z różnic w zdolności do zobrazowania historii. Opublikowane w „Proceedings of the Royal Society B” doniesienia sugerują, że obrazy oddziałują na emocje silniej niż przekazy werbalne oraz wskazują na możliwość „wzmacniania” odczuć przez wyobraźnię wzrokową.

© KATARZYNA DZIADOWICZ

Reputacja delfina

MASZ DO WYBORU dwie opcje: jeśli wybierzesz pierwszą, dostaniesz nagrodę. Jeśli drugą, taką samą nagrodę dostanie też twój towarzysz. Wiedzieliśmy, że postawione przed takim zadaniem szympansy zwyczajne, bonobo czy słonie spontanicznie decydują się na (niekosztowną dla nich) opcję prospołeczną – choć czasem tylko wtedy, gdy towarzysz jest osobnikiem z tego samego stada. Jak donoszą na łamach „Animal Cognition” Mathilde Lalot i współpracownicy, do grona prospołecznych gatunków należy dodać także delfiny butlonose.

Zwierzęta dokonywały wyborów, dotykając pyskiem tabliczki z odpowiednim symbolem. Zachowywały się bardziej prospołecznie, gdy beneficjentem był osobnik przeciwnej płci, a częściej odwzajemniały uprzejmość, jeśli partnerem był osobnik tej samej płci (po każdej sesji eksperymentu następowała zamiana ról obu osobników). Stwierdzono także „efekt publiczności”: dorosłe delfiny były bardziej prospołeczne przy świadku, ale tylko wtedy, gdy było nim ich własne młode.

© PM ŁK



Z DRUGIEJ STRONY INTERNETU

Pandemia nadała nowy sens pytaniom o skutki zanurzenia młodych ludzi w przestrzeni wirtualnej. Ale przeniesienie ich komunikacji do sieci może mieć zaskakujące efekty.

Przeciwnie, niż chcieliby alarmiści.

TEKST **AGATA KAŹMIERSKA I WOJCIECH BRZEZIŃSKI**

ILUSTRACJE **MARIANNA KANIEWSKA**

ZABAWA, KTÓRA FASCYNUJE MILIONY dzieciaków na świecie, pozornie wygląda niewinnie. W shiftingu – jak można się dowiedzieć z filmików na TikToku – chodzi o przeniesienie się do alternatywnej rzeczywistości. Bez używek. Wystarczy wyobraźnia. Użytkowniczka Allisobry wyjaśnia: „Wystarczy zrozumieć, że świat tak naprawdę składa się z wielu alternatywnych rzeczywistości, a my, na jawie, tylko utkneliśmy w jednej z nich, niekoniecznie najlepszej”. By przenieść się z CR (skrót od *current reality*, obecna rzeczywistość), wystarczy położyć się z rozłożonymi rękami i nogami „na gwiazdę” i odliczać od stu do jednego, albo – wedle metody na „Alicję w Krainie Czarów” – wyobrazić sobie, że się biegnie za osobą, z którą chce się znaleźć w alternatywnej rzeczywistości, i wskoczyć z nią do króliczej nory. To ma otwierać drogę do alternatywnego świata w „świadomym śnie, w którym można spędzić tyle czasu, ile się chce i z tym, z kim się chce” (obecnie najpopularniejszy jest Draco Malfoy, postać z serii o Harrym Potterze).

Allisobry, wnioskując po 11,1 mln polubień na TikToku, uchodzi w sprawie shiftingu za ekspertkę. Hasło #shifting tylko na tym portalu ma 3,2 mld wyświetleń, a do tego są jeszcze m.in. #shiftingrealities (1 mld) czy #shiftingrealities (549 mln) oraz setki innych z niemal równie imponującymi zasięgami. Instrukcje, jak przenieść się do alternatywnej rzeczywistości, można też znaleźć m.in. na Reddicie czy YouTube.

I można by było to wszystko uznać za zabawę, może niezbyt mądrą, ale pożyteczną, bo wymagającą używania wyobraźni, gdyby nie jeden drobiazg: rywalizacja. Coś, co dorosłym może się wydawać nieprawdopodobne: dzieciaki rywalizują ze sobą na to, czy *shift* był dłuższy, barwniejszy, ciekawszy. Tak jak można znaleźć setki samozwańczych ekspertów opowiadających z pasją o metodach „zmiany rzeczywistości na równie prawdziwą”, tak równie łatwo można się natknąć na filmiki dzieciaków, które opowiadają ze łzami w oczach, że są do niczego, bo *shift* im się nie udał, albo że obudziły się zdecydowanie w wcześniej i wcale nie chcą wracać do CR. Z drugiej strony, czy w realnym świecie dzieciaki także nie rywalizują? Również na dzisiejsze sposoby i z niejednokrotnie dramatycznymi konsekwencjami?

Zapewne nie ma przypadku w tym, że *shifting* podbija internet w czasach społecznej izolacji, dając możliwość ucieczki od rzeczywistości dzięki narzędziom, którymi się dysponuje, będąc zamkniętym w czterech ścianach.

Czy z nimi jest gorzej?

„Prawie połowa nastolatków w Kalifornii zgłasza problemy ze zdrowiem psychicznym” – głosi komunikat z raportu naukowców z Uniwersytetu Kalifornijskiego. Niemal identyczne wyniki przynosiło opublikowane także w połowie marca badanie na zlecenie dziecięcego szpitala psychiatrycznego przy Uniwersytecie w Michigan. Wynika z niego, że najczęstsze problemy psychiczne w czasach pandemii wśród dzieci i młodzieży to pojawienie się depresji i stanów lękowych. Pogorszenie stanu psychicznego dziecka sygnalizowali rodzice co trzeciej dziewczynki i co piątego chłopca. Podobne proporcje dotyczyły zaburzeń snu. Rodzice mówili też o wycofaniu dziecka z życia rodzinnego (24 proc. dziewcząt i 21 proc. chłopców) oraz o agresywnym zachowaniu (odpowiednio 8 i 9 proc.).

Czy to znaczy, że dzieci i młodzież na tle innych grup wiekowych wyjątkowo źle znoszą czas izolacji? A może to przebywający częściej z nimi w domu rodzice zwracają na nie więcej uwagi? Na te pytania badacze, przynajmniej na razie, nie mają jednoznacznych odpowiedzi.

Choć problemów nie wolno lekceważyć, to prof. Mike Males, socjolog i autor książki „Scapegoat Generation”, zauważa, że podobne alarmujące doniesienia o fatalnej kondycji młodzieży powtarzają się regularnie. Już na początku XX w. słynny psycholog ze Stanforda Lewis Terman alarmował o samobójstwach dzieci twierdząc, że ich skala jest „oszałamiająca”. Niepełna 30 lat później zespół szanowanych amerykańskich psychologów twierdził, że testy wykazały stany lękowe i depresję u trzech na czterech chłopców. W latach 40. i 50. XX w. mowa była o „trudnych dziewczętach”. W latach 80. znana psycholog Tipper Gore, żona ówczesnego senatora Ala Gore’a, prowadziła w mediach krucjatę przeciwko rapowi, bo – jak twierdziła – doprowadza on do fali samobójstw wśród nastolatków. W kolejnej dekadzie powstał słynny raport Carnegie Corporation, filantropijnej organizacji wspierającej programy edukacyjne, którego autorzy twierdzili, że zdrowie psychiczne po-

łowy młodszych nastolatków pokolenia X jest zagrożone. Teraz mowa o fatalnym wpływie mikstury pandemii i internetu na współczesną młodzież.

„Dla psychologów najbardziej szalona młodzież to zawsze ta, która jest dzisiaj” – napisał w opublikowanym niedawno felietonie prof. Males podkreślając, że wiele wskazuje, iż w zachowaniu dzisiejszych nastolatków jest mniej niepokojących trendów niż w zachowaniu dorosłych.

Pokolenie niejednorodne

Uzależnieniami od sieci zainteresowała się już kilka lat temu Unia Europejska. W ramach programu EU Kids Online naukowcy od 2006 r. przyglądają się zachowaniom dzieci i młodzieży w internecie. Najnowsza edycja ma datę 2020, ale dotyczy roku poprzedzającego pandemię. Sondaż obejmuje 19 krajów. Wynika z niego, że aż 80 proc. młodych Europejczyków codziennie korzystało z internetu za pomocą smartfona, a z komputerów 40 proc. W sieci spędzali średnio 231 minut.

Czy można wyciągać z tego jednoznaczne wnioski? Marc Prensky, autor i biznesmen zajmujący się edukacją, w artykule opublikowanym w „On the Horizon” proponował, by ludzi urodzonych po 1980 r., gdy internet i komputery stały się powszechne, nazywać „cyfrowymi tubylcami”, w przeciwieństwie do „cyfrowych imigrantów”, dla których nowe technologie nie są środowiskiem naturalnym. Choć te pojęcia zrobiły zawrotną karierę, są błędne. Nigdy bowiem nie było jednorodnego pokolenia internetu, tak jak nie było jednorodnego pokolenia millenialsów, pokolenia X czy następującego po II wojnie światowej pokolenia baby boomersów.

„Ludzie wierzą, że sposoby korzystania z mediów cyfrowych są spójne dla ludzi z danego rocznika czy pokolenia, albo że wszyscy członkowie danego pokolenia mają podobne doświadczenia z technologiami” – twierdzi prof. Simeon Yates, socjolog z Uniwersytetu Liverpoolu, który postanowił rozbić monolit pokolenia postmillenialsów. W swoich badaniach podzielił ich na pięć grup, nie rozgraniczając ich według wieku, lecz pod kątem tego, jak „cyfrowi tubylcy” korzystają z sieci. W ten sposób wyróżnił użytkowników „intensywnych politycznych”, „intensywnych”, „ogólnych”, „ograniczonych” i „użytkowników ↗

→ mediów i mediów społecznościowych”. Dwie pierwsze grupy utrzymują szerokie kontakty ze światem cyfrowym, dwie kolejne – odpowiednio węższe.

Najbardziej do myślenia może dawać charakterystyka grupy „użytkownicy mediów i mediów społecznościowych”. Korzystają oni przede wszystkim z portali i aplikacji społecznościowych, a także cyfrowej rozrywki, jak YouTube, Netflix czy gry. To jednak grupa najmniej świadoma zagrożeń związanych z cyfrowym światem, która właściwie nie wnosi tam własnych treści. Są wyłącznie konsumentami. Prof. Yates stwierdził, że prawdopodobieństwo przynależności użytkowników do tej właśnie grupy silnie koreluje ze wskaźnikami wykluczenia społecznego: słabym wykształceniem, zatrudnieniem i warunkami mieszkaniowymi. Dla porównania obie grupy użytkowników „intensywnych” to częściej ludzie, którzy studiowali, studiują bądź zamierzają studiować i są znacznie lepiej zorientowani w mechanizmach funkcjonowania cyfrowego świata.

Nie dadzą się nabrać

„Kompetencje cyfrowe” to zespół powiązanych ze sobą umiejętności, które określają, w jakim stopniu użytkownik potrafi pozyskiwać treści służące dla jego własnego rozwoju i korzyści. Ponieważ młodzi są w tym środowisku „tubylcami”, ich kompetencje są wyższe niż u ich rodziców czy dziadków. 59 proc. młodych deklaruje, że łatwo potrafi sprawdzić, czy znaleziona w sieci informacja jest prawdziwa. O tym, że rzeczywiście umieją to robić, świadczą przeprowadzone kilka lat temu badania pod kierownictwem Eugene’a Loosa z Uniwersytetu Utrechckiego. Naukowcy opublikowali na Facebooku serię sponzorowanych postów z fałszywymi informacjami, np. o tym, że Unia Europejska domaga się od Wielkiej Brytanii oddania Big Bena. Wśród reagujących nie było niemal nikogo poniżej 24 lat. 63 proc. miało powyżej 55 lat.

Co ciekawe, z badań wynika, że w znakomitej większości młodzi użytkownicy doskonale zdają sobie sprawę, iż w internecie krążą fałszywe informacje, rozumieją motywy ich twórców i są sceptyczni wobec znalezionych w sieci treści. Tyle że nie poświęcają im uwagi. Nie sprawdzają wiarygodności informacji z założenia, dopóki nie wzbudzą one ich zainteresowania. Starsi użytkownicy na-



Negatywnie na umiejętność poruszania się dzieci w sieci wpływa... restrykcyjne ograniczanie im dostępu do internetu. Im bardziej dorośli starają się od niego odgrodzić dzieci, tym gorzej sobie one później w nim radzą.

wyku sprawdzania nie mają w zasadzie wcale.

Jednym z najważniejszych wniosków z projektu EU Kids Online jest to, że choć dla młodych ludzi korzystanie z możliwości dostępnych w sieci jest równoznaczne z narażaniem się na obecne tam zagrożenia, to jednocześnie obecność zagrożeń nie przekłada się na faktyczne szkody czy krzywdę. Dlaczego? Badacze stawiają hipotezę, że umiejętności cyfrowe łagodzą efekty płynące z sieciowych zagrożeń, redukując negatywne konsekwencje dla dzieci i młodzieży oraz wzmacniając zdolność radzenia sobie z problematycznymi sytuacjami. Słowem – im lepiej użytkownicy rozumieją sieć, tym rzadziej wpadają w zastawione na nich pułapki. A młodzi zwykle rozumieją ją zdecydowanie lepiej niż starsi.

I tu wracamy do kompetencji. Sophie Vandoninck, Leen d’Haenens i Keith Roe, badacze z Uniwersytetu Leuven, którzy przeanalizowali to, jak dzieci radzą sobie z zagrożeniami w sieci, zauważyli, że te o niższych umiejętnościach cyfrowych reagują na zagrożenia biernie. A te o wyższych – aktywnie, blokując kontakty czy kasując agresywne wiadomości.

Być sobą w sieci

W tym miejscu na obrazku pojawiają się rodzice. Ich rola – co wynika z europejskich badań – często wcale nie jest tak pozytywna, jak sami by sobie tego życzyli. Z badań wynika, że im bezpieczniej dzieci się czują w internecie, tym lepiej go rozumieją, co z kolei przekłada się na ich umiejętności. Najsilniej skorelowana z umiejętnościami cyfrowymi jest ilość podejmowanych aktywności oraz wiara we własną zdolność do rozwiązywania problemów. Negatywnie na umiejętność poruszania się dzieci w sieci wpływa... restrykcyjne ograniczanie im dostępu do internetu. Im bardziej dorośli starają się od niego odgrodzić dzieci, tym gorzej sobie one później w nim radzą, co paradoksalnie w ostatecznym rozrachunku może sprawić, że będą bardziej narażone na rozmaite zagrożenia, których nie będą rozumieć, dostrzegać ani zwalczać.

Jeśli z pandemii może wyniknąć cokolwiek dobrego, to może się tak stać za sprawą powszechnie znienawidzonej przez wszystkich edukacji zdalnej. Młodzi użytkownicy, zmuszani do cyfrowego nauczania, muszą korzystać z sieci na całkiem nowe sposoby. Nawet te dzieciaki, dla których smartfon był wcześniej jedynie narzędziem do sprawdzania postów na TikToku albo grania w sieci, dziś muszą się uczyć korzystania z internetu na nowe sposoby. Muszą tam same szukać wiarygodnych informacji, tworzyć prezentacje, wreszcie – muszą się komunikować. A komunikując się, mają szansę sobie uświadomić, że po drugiej stronie znajduje się nie jakiś anonimowy użytkownik, którego można strollować, lecz inny człowiek. Taki sam jak oni. Dotąd takiego doświadczenia mogły nie mieć. To także ogromna szansa zwłaszcza dla tych spośród nich, które do tej pory były zamknięte w ciasnych, niepozwalających na rozwinięcie skrzydeł zagrodkach mediów społecznościowych.

Starsze pokolenia nie muszą rozumieć sposobów, na jakie młodzi ludzie

funkcjonują w sieci – i za jej pośrednictwem – w świecie. Badania pokazują jednak jasno, że wszelkie moralne paniki mogą być zupełnie chybione. Przeniesienie aktywności do sieci nie sprawia, że życie nastolatków zmienia się w zseksualizowane, przesiąknięte jadem i prześladowaniami piekło. To prawda, wszystkie te zjawiska w internecie istnieją, tak jak istniały w realnych szkołach lat 90., 70. czy 50. Przeniesienie ciężaru komunikacji do internetu może mieć zaskakujące efekty – przeciwnie temu, przed czym przestrzegają alarmiści.

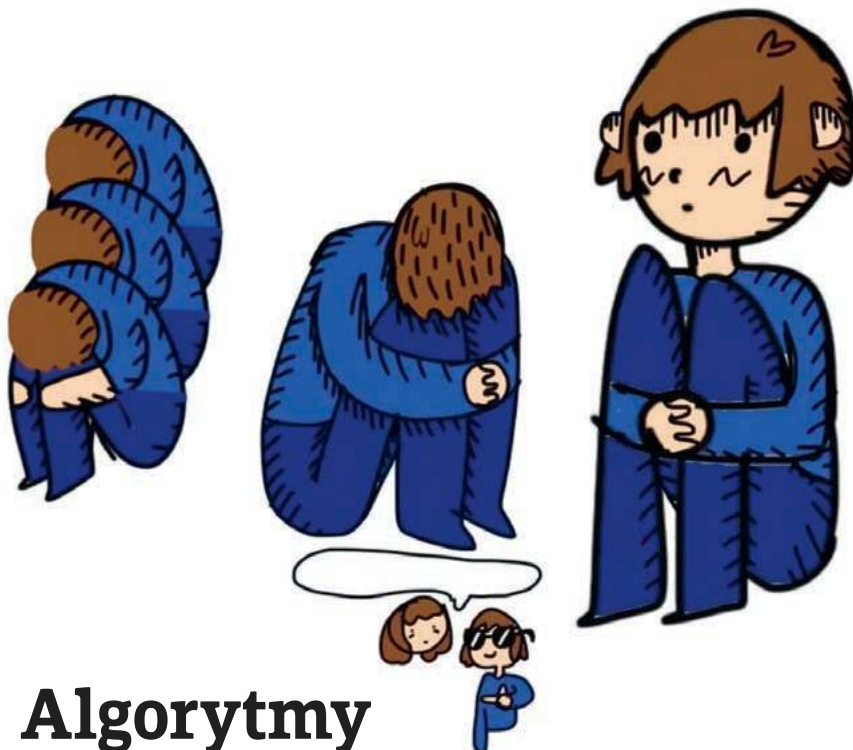
Z pewnością opisany na początku *shifting* może niepokoić, a nawet przerażać nieprzygotowanego dorosłego. Ale żaden dorosły nie miał czasu się na coś takiego przygotować, bo zjawisko rozwinęło się błyskawicznie: z danych Google Trends wynika, że hasła „reality shifting” nie wyszukiwano w internecie niemal wcale jeszcze na początku sierpnia ubiegłego roku. Do końca września wyszukiwań były już miliony. Trend, dla postronnego obserwatora nieco dziwny i zagadkowy, ewidentnie stał się odpowiedzią na jakąś głęboką potrzebę młodych ludzi.

Samotność w czasach lockdownu doskwiera wszystkim. Młode pokolenie, także przez to doświadczenie, ale i przez wszechobecność internetu, zapewne już jest całkiem niepodobne do poprzednich. Ale tak samo, jak poprzednicy, stara się znaleźć sposób, by być sobą. Czasem to „bycie sobą” przybiera postać autokreacji na Instagramie, gdzie często najcenniejszą walutą jest wspomagana cyfrowymi filtrami uroda i iluzja bogactwa. Innym razem – shiftingu i rywalizacji na to, kto dłużej „żyje” w Hogwarcie.

Częściej dla młodych ludzi „bycie sobą” oznacza po prostu tyle, że w sieci są swoimi słowami, wpisywanymi na czacie, komunikatorze czy mediach społecznościowych. Słowami i myślami – a nie ciałem, płcią czy urodą.

©
AGATA KAŹMIERSKA
I WOJCIECH BRZEZIŃSKI

AUTORZY są dziennikarzami specjalizującymi się m.in. w tematyce społecznych i politycznych konsekwencji nowych technologii oraz bezpieczeństwa sieci. Wspólnie napisali książkę „Strefy cyberwojny” (4eM, Warszawa 2018), stale współpracują z „Tygodnikiem”. Agata Kaźmierska kieruje portalem Zielona Interia, Wojciech Brzeziński jest reporterem Polsat News.



Algorytmy moralnej paniki

JACEK PYŻAŁSKI, EKSPERT W ZAKRESIE EDUKACJI MEDIALNEJ:

Bez kontekstu nie ma sensu rozmawiać o problemach młodych ludzi z urządzeniami ekranowymi. A kontekst brzmi: wszyscy się pogubiliśmy.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Jak Pana znam, będzie Pan adwokatem diabła.

JACEK PYŻAŁSKI: Diabła, czyli urządzeń ekranowych? Całkiem możliwe, choć nie da się ukryć: mamy problem.

Problem z tzw. higieną cyfrową.

Która – zaznaczam to na początku i będę powtarzał – wszystkim nam się wymknęła spod kontroli.

Przyzwyczajiliśmy się myśleć, że to my – dorośli, w domyśle mądrzejsi, roztropniejsi – patrzymy z niepokojem na to, jak urządzeń ekranowych używają młodzi.

Tymczasem nic nie wskazuje na to, by uczniowie – także w czasie pandemii – mieli większy problem niż ich rodzice czy nauczyciele. W przypadku części wskaźników to dorośli mają gorsze wyniki.

Taki obraz wyłania się z badań, których jest Pan współautorem i które doczekały się pod koniec ubiegłego roku książkowego omówienia: „Edukacja zdalna: co stało się z uczniami, ich rodzicami i nauczycielami”.

Duża część naszych badań, kierowanych przez prof. Grzegorza Ptaszka, dotyczyła wspomnianej higieny w czasie edukacji zdalnej, ale też związanego z nią samopoczucia – fizycznego i psychicznego.

Bo efektami tzw. syndromu cyfrowego przeładowania – jak piszą autorzy rozdziału o higienie cyfrowej Magdalena Bigaj i Maciej Dębski – mogą być: „spadek trafności podejmowanych decyzji (...), deficyt uwagi, wzrost poziomu stresu z powodu nieustającego braku możliwości przetworzenia wszystkich docierających do nas da- ➔



nych, podwyższone ciśnienie krwi, osłabienie widzenia, niestrawność, frustracja i zagubienie w życiu, (...) wzrost agresji czy kłopoty z koncentracją i snem”.

Sieci zaczęliśmy używać inaczej – zarówno jeśli idzie o czas, jak też jakość tego, co robimy. Jeszcze przed pandemią dzięki badaniu EU Kids Online 2018 dowiedzieliśmy się, że jedynie 4,8 proc. uczniów w weekend i 7 proc. w dzień roboczy nie używa sieci w ogóle lub prawie wcale.

A co dziesiąty w dni robocze i niemal co piąty w weekendy korzysta z internetu sześć godzin lub więcej. Obecnie to się znacząco zmieniło.

W epidemii to już była norma.

Norma, ale odnosząca się – że znowu przypomnę – tak do dzieci, jak i dorosłych. A nawet najbardziej, spośród trzech badanych przez nas grup, dotycząca nauczycieli. Aż 87 proc. z nich deklarowało częste lub bardzo częste pozostawanie w nieustannej gotowości do odbierania połączeń i powiadomień, 85 proc. mówiło, że miewa dość siedzenia przy komputerze, a 59 proc. przyznawało, iż ma potrzebę bycia „nieдоступnym dla nikogo” w sieci.

Jeśli idzie o uczniów, uwagę zwraca np. fakt, że aż 67 proc. z nich przyznawało się do częstego korzystania z narzędzi ekranowych tuż przed pójściem spać.

Zdalne nauczanie uczyniło i tak poważny problem jeszcze poważniejszym?

Jeśli bierzemy pod uwagę wyłącznie kategorię „czasu ekranowego”, to pewnie tak – w epidemii znacznie się on wydłużył. Wydłużał się zresztą sukcesywnie już wcześniej, w ciągu ostatniej dekady ulegając podwojeniu w większości krajów, gdzie prowadzone było badanie EU Kids Online.

Tyle że interpretując te wyniki, nie możemy zapominać o jednym: dziesięć lat temu młodzi ludzie używali ekranów głównie stacjonarnie, przy komputerze. Teraz czynią to mobilnie, zwykle z tele-

fonem. Wcześniej mówiliśmy o byciu online i offline, teraz mówimy o stopniu bycia online. Siedzę z grupą ludzi, ale równocześnie podglądam chat, coś sprawdzam w sieci. Mówimy coraz częściej o tym, jak bardzo jesteśmy online, a nie o tym, czy jesteśmy, czy nie.

Epidemia tę sferę naszego życia, którą zwykliśmy nazywać „realem”, niemal zlikwidowała.

Do pewnego stopnia na pewno tak. A do jakiego – to zależało w dużej mierze od nas samych, głównie od nauczycieli. Owszem, lekcje odbywały się i odbywają online, ale już projekty przygotowywane po lekcjach, zadania domowe mogły być – przy odrobinie kreatywności nauczyciela – robione bez użycia technologii. Niektórzy nauczyciele tak pracowali, inni nie.

W praktyce jednak większość zadań wymagała pracy online. Zresztą na tym nie koniec problemu: z Waszych badań wynika, że uczniowie poświęcali też więcej czasu na aktywność cyfrową zupełnie niezwiązaną ze szkołą. Np. niemal co drugi uczeń więcej czasu niż przed epidemią poświęcał na oglądanie filmów i seriali, a prawie co trzeci więcej grał w sieci bądź uprawiał indywidualnie e-sport.

To prawda, choć upieram się, że nie czas spędzony przed ekranami jest największym powodem do niepokoju.

A co nim jest?

Sytuacja, w której używanie technologii nie tyle jest częścią życia, ile to życie nam zakłóca. Warunki, w których to nie my używamy technologii, ale ona używa nas. Tak głęboko w nie wkracza, że zaczyna je – często bez udziału naszej świadomości – modyfikować. I to w złą stronę.

Jednym ze wskaźników istnienia tego problemu jest konieczność kompulsywnego odbierania powiadomień na komunikatorze bądź telefonie. Niektórzy potrafią się obudzić w nocy tylko po to, by się upewnić, że nie przyszły nowe wiadomości.

A co do pytania o to, jak epidemia wpłynęła na nasze życie pozazawodowe i pozalekcyjne, to odpowiedź brzmi: różnie wpłynęła. Owszem, zwiększyła pulę czasu spędzanego przed ekranem, ale wśród wyników badań odnajdziemy też

To nie czas spędzony przed ekranami jest największym powodem do niepokoju. Jest nim sytuacja, w której nie my używamy technologii, ale ona używa nas.

i te mniej jednoznaczne. Np. 17 proc. pytanym przez nas uczniów deklaruje, iż przed pandemią więcej czasu poświęcało na czytanie dla przyjemności. Jednak tyle samo twierdzi, że jest dokładnie odwrotnie – to w czasie zamknięcia szkół więcej czytają. Istnieją też czynności – jak pomaganie koleżankom i kolegom w nauce, robienie rzeczy wspólnie z rodziną – które w pandemii wykonywaliśmy znacznie częściej. Ten czas różnie wpłynął na różne osoby – choć próbujemy generalizować.

To samo zestawienie pokazuje, że częściej się też z domownikami kłóciliśmy. A równocześnie znacznie częściej próbowaliśmy się od nich odizolować. W ogóle epidemia to chyba – zwłaszcza dla ludzi młodych – czas samotności. I wyraźnego pogorszenia naszego stanu psychicznego, co też widać w Waszych badaniach.

To prawda: obraz jest tu dość jednoznaczny. Odsetki tych, którzy czują się gorzej niż przed epidemią, są spore i sięgają ponad 50 proc. Dotyczy to zresztą, znowu, nie tylko uczniów, ale też rodziców i – w największym nawet stopniu – nauczycieli.

Często się mówi, że edukacja to relacja. Chodzi oczywiście o relacje nauczyciel–uczeń, ale też pomiędzy uczniami. Idąc dalej, należałoby powiedzieć: dobra relacja to dobra komunikacja.

Teraz byliśmy skazani na komunikację pośredniczoną, która musiała wpłynąć na jakość relacji. Nic więc dziwnego, że połowa pytanym przez nas uczniów deklaruje, iż ma teraz gorsze relacje z rówieśnikami, niż miała przed marcem 2020 r.

Nie mogę przy tej okazji nie wspomnieć o niewielkiej grupie stanowiącej kolejny wyjątek od reguły – to uczniowie,

którzy w epidemii poczuli się lepiej i odbierali obecne relacje zarówno z rówieśnikami, jak i wychowawcami jako lepsze niż przed zamknięciem szkół.

Zapewne to młodzież cierpiąca np. na fobie społeczne, czująca się gorzej w grupie.

Nauczyciele, z którymi rozmawiałem, mówili też o młodych ofiarach przemocy rówieśniczej, inni wspominali o uczniach mających złą opinię w grupie. Jeden z nauczycieli opowiadał mi o dziewczynce, która nigdy wcześniej nie odzywała się na jego lekcjach. Teraz się przekonał, jak ona pięknie mówi i jak dużo wie. „Przez cztery lata jej praktycznie nie słyszałem” – mówił.

Te obserwacje to coś więcej niż badawcze ciekawostki. To jest też wiedza o ludziach, a właściwie o ludziach i technologii. Możemy tę wiedzę po powrocie albo wykorzystać, albo zmarnować.

Z otwartością bywa też odwrotnie: kamera sprawia, że otwarty w edukacji stacjonarnej uczeń zamyka się.

I wyłącza kamerę. A my, dorośli, spieszymy z szybkimi wnioskami: „Nie chcą się angażować w zajęcia” albo: „Robi w tym samym czasie jakieś głupoty”.

To nieprawda?

Zapewne bywa i tak, ale to nie są jedyne powody. Z prof. Natalią Walter z Zakładu Edukacji Medialnej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu postanowiliśmy sprawdzić, jakie mogą być te inne. Przepytaliśmy studentów i okazało się, że istnieje cała paleta przyczyn. „Mam zniekształcenie twarzy, nie chcę być na zbliżeniu” – mówił ktoś. „To straszna trauma, gdy każdy może tak sobie mnie oglądać” – dodawał kto inny. Kolejna osoba mówiła, że gdy są włączone kamery, nie potrafi się skupić. Było też wiele lęków społecznych: ktoś nie chciał pokazać swojego domu, swojej rodziny, jakiegoś wstydliwego fragmentu życia, naznaczonego np. przemocą czy choćby słowną agresją.

Ale wśród powodów wyłączenia kamer jest też wielozadaniowość, w którą wszyscy – dorośli i dzieci – wpadliśmy w epidemii po uszy.

To prawda: w naszym badaniu przyznaje się do tego aż 28 proc. uczniów. ➔

→ Mówią, że w czasie lekcji zdalnych robią coś innego, np. przeglądają internet na smartfonie albo w coś grają. To jest duży problem: skupienie się na zajęciach „ekranowych” jest samo w sobie trudniejsze niż w przypadku zajęć tradycyjnych. A gdy do tego dochodzą inne czynności, to w nic nie jesteśmy tak naprawdę zaangażowani.

Bywa, że dorośli – dyrektorzy, nauczyciele, rodzice – są tymi wyłączonymi kamerami przerażenia. W jednej z podstawówek dyrekcja odkryła, że uczniowie prowadzili podczas zajęć lekcyjnych drugie życie – na zamkniętych grupach, na czatach. Obgadując rówieśników, obrażając nauczycieli, umawiając się na imprezy. Zagrożono śledztwem i konsekwencjami.

Znam podobną historię, ale z jakże inną puentą. Znajoma nauczycielka, bardzo przez uczniów lubiana, otrzymuje pewnego dnia wydruki z rozmowy na zamkniętej, uczniowskiej grupie internetowej. Piszą tam o niej rzeczy nieprzyjemne, brzydkie, czasem wręcz chamskie. Co ciekawe, wśród piszących są i ci, którzy kilka dni wcześniej z tą nauczycielką rozmawiali, radzili się w ważnych sprawach itd. Cała sytuacja mocno ją zabolowała, miała nawet ochotę wkroczyć na ścieżkę

Wcześniej mówiliśmy o byciu online i offline, teraz mówimy o stopniu bycia online. Siedzę z grupą ludzi, ale równocześnie coś sprawdzam w sieci. Mówimy o tym, jak bardzo jesteśmy online, a nie o tym, czy jesteśmy.

prawną, domagając się wyciągnięcia konsekwencji.

Ale?

Ale zrobiła inaczej, zgodnie zresztą z moją radą. Otóż na lekcji, nie nawiązując wprost do owego incydentu, zagała: „Nie znam się na tych nowych czasach, chciałabym się was poradzić. Wyobraźcie sobie nauczycielkę, która ma wrażenie, że lubi swoich uczniów, a oni lubią ją. Dowiaduje się, że ci sami uczniowie na jakiejś zamkniętej grupie piszą o niej złe rzeczy. Pytanie: w co ta nauczycielka ma bardziej wierzyć – w to, co widziała w klasie, czy może w te wydruki?”. Wszyscy

czerwoni, skonsternowani, próbują coś tłumaczyć, choć raczej nikt wprost.

A nauczycielka osiąga swój cel: skłania ich do refleksji. Gdyby zostali potraktowani wyłącznie karnie, gdyby wyciągnięto wobec nich surowe konsekwencje, na pewno skupiliby się na bronieniu siebie – a nie pomyśleliby, jakie konsekwencje dla innych ludzi mogą mieć wypowiedziane przez nas w sieci słowa. To też ważny element świadomego korzystania z internetu: refleksja, że wszystko w tej przestrzeni gdzieś zostaje, jest rejestrowane.

Ale nie byłbym sobą, gdybym i w tym wątku nie wrócił do swojej melodii.

Że my, dorośli, też...

...bywamy tak samo nieostrożni, tylko podczas podobnych wzmożeń w ogóle o tym nie myślimy.

Myślę o opowiedzianej przez pana historii, w której dorośli wystąpili jako zastrakani kontrolerzy, i nasuwa mi się pytanie: czy naprawdę bylibyśmy spokojni, gdyby upubliczniono nasze prywatne rozmowy na czatach czy w mailach?

Nie bylibyśmy. Tylko co z takiego wniosku miałyby wynikać?

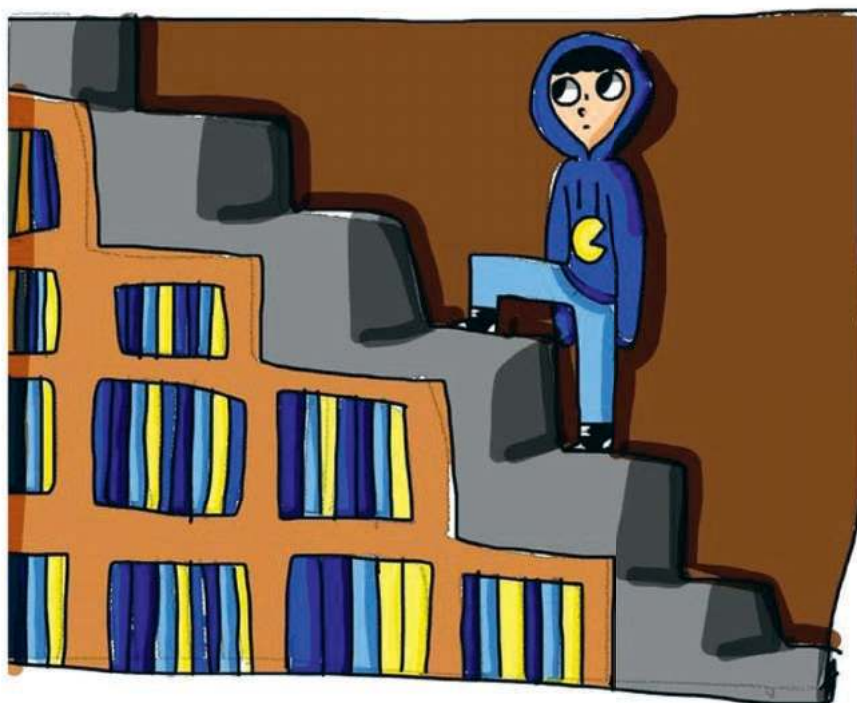
Że i uczniowie, i skuteczniej jest rozmawiać z młodymi ludźmi nie z pozycji recenzentów, ale uczestników życia. Jakże inaczej wyglądałyby te rozmowy, gdybyśmy mieli śmiałość powiedzieć: „Słuchajcie, wszystkim nam nowe media trochę pomieszały w głowach. Pogadajmy o nowych zasadach, które pozwolą nam odzyskać kontrolę”.

Co to za zasady?

Na pewno warto ustalić pory i przestrzenie, w których nie używamy ekranów. Spacer, wyjście do toalety, wspólne posiłki – to są sytuacje, w których moglibyśmy uwolnić się od urządzeń. Warto też rozmawiać o używaniu ekranów przed snem.

Epidemia zburzyła granice między strefami. Szkoła, praca, dom – wszystko w jednym miejscu.

Jedna z nauczycielek napisała na forum: „Ja nie pracuję w domu. Ja mieszkam w pracy”. Nie ma końca, nie ma początku. Jeśli po lekcjach odpowiadam coś uczniowi, a jeszcze wieczorem odbieram powiadomienia od rodzica, to kiedy kończy się moja praca?



Wszystko to jednak w epidemii ma swój ważny kontekst: coś, co uważamy za przekleństwo, dla młodych ludzi było też przecież ratunkiem – przed samotnością.

Naturalnie: komunikacja zapośredniczona była długimi okresami jedyną formą komunikacji. Łatwo więc rozmawiając o cyfrowej higienie doprowadzić do sytuacji, w której lekarstwo – np. restrykcyjne ograniczenia – okaże się gorsze od choroby.

Od roku słyszymy: zachowaj dystans społeczny. W pewnym momencie Światowa Organizacja Zdrowia poprosiła, by nie używać tego pojęcia – bo niczego innego nie potrzebujemy teraz bardziej niż bliskości społecznej – a zamiast niego mówić o dystansie fizycznym. Wychodząc właśnie z założenia, że możemy osiągnąć jakiś rodzaj bliskości dzięki sieci i komunikatorom, nie możemy tak po prostu powiedzieć: „Tak, relacje są ważne, ale takich relacji to my nie chcemy”. Bo alternatywą był brak relacji.

Ale nie możemy też na czas pandemii zawiesić ważnych pytań. Np. jak media społecznościowe wpływają na nas i nasze dzieci?

Naturalnie, bardzo ważna jest nasza ze sobą i nasza z młodymi ludźmi rozmowa o tym, jakie samoograniczenia możemy na siebie nałożyć, by mieć większą kontrolę nad naszym życiem. Ale też warto zdać sobie sprawę, że to nie jest pierwsza taka rozmowa. Czy nie podobną toczyliśmy, gdy pojawiły się gry komputerowe?



UAM / MATERIAŁY PRASOWE

DR HAB. JACEK PYŻALSKI jest pedagogiem, profesorem UAM w Poznaniu. Ekspert w zakresie edukacji medialnej, autor wielu badań dotyczących agresji elektronicznej, nowych mediów, cyberprzemocy wśród młodzieży. Redaktor naukowy bezpłatnej publikacji „Edukacja w czasach pandemii wirusa COVID-19. Z dystansem o tym, co robimy obecnie jako nauczyciele” (zdalnie.edu-akcja.pl). Członek zespołu badawczego zdalnenauczenie.org.

Czy podobnie brudnych chwytów, jak dzisiaj media społecznościowe, nie używają od dekad twórcy reklam, próbując na nas wpłynąć?

Eksperci mówią jednak coraz częściej o specyfice mediów społecznościowych, choćby TikToka – łatwo uzależniających, z osaczającymi nas algorytmami.

Oczywiście, że można mówić o ich specyfice: o charakterze powiadomień,

o zmyślnym, bo samouczącym się mechanizmie podążania za użytkownikiem. Ale znowu: jedynym lekarstwem na nadużycia jest świadomość, wiedza – one sprawdzają się zawsze lepiej niż kontrola i restrykcje.

A już najgorszą strategią reagowania wydają mi się paniki moralne – jak ta ostatnia, dotycząca TikToka. Ona niczym się nie różni od wcześniejszych: gdy pojawiły się gry komputerowe z agresywnymi treściami i wrócono im, że doprowadzą do tragedii; gdy wymyślono łapanie pokémonów, które miało wtrącić nasze dzieci w jakąś hybrydę świata realnego z wirtualnym. Nic takiego się nie stało – teraz też się może nie stanie.

Jak płynnie wrócić do świata sprzed marca 2020 roku?

Po pierwsze, zdać sobie sprawę, że to nie będzie powrót do rzeczywistości, jaką z tego marca zapamiętaliśmy – życie się przecież toczyło. Wiele zespołów klasowych będzie trzeba integrować na nowo. Wielu uczniów będzie potrzebowało naszej pomocy: kilka, może kilkanaście procent wróci szczególnie psychicznie pohańcanych. Będziemy też mieli ofiary wyostrzonych przez pandemię nierówności edukacyjnych.

A co do higieny cyfrowej: zwiększamy świadomość, starajmy się, gdy trzeba, odzyskiwać kontrolę nad naszym życiem. I nie popadajmy w moralne paniki – one nic nam nie dadzą.

© Rozmawiał

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabiń,
Mariusz Sepioto, Krzysztof Story,
Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażewska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioto,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński,
Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka,
Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
Sylvia Frotow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska,
Maja Kucmińska (kierownik), Mateusz Gawron,
Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna
Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Kłata, Andrzej Stasiuk,
Jacek Podsiadło, Dorota Mastowska, Zuzanna Radzik,
Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz,
Wojciech Brzeziński, Beata Chomętowska,
s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska,
Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek,
Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík,
ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka,
Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław
Łubieński, Szymon Łucy, Józef Majewski,
Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja,
Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło,
Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski,
Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak,
Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Stawek,
Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław
Stróżewski, Marcelina Szmer-Bryś

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kucmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET
GRUPA TOŻA

S-NET zapewnia wsparcie
technologiczne
dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz: Praca i szabat



W OSTATNICH ROZDZIAŁACH KSIĘGI WYJŚCIA wiele miejsca zajmuje kwestia budowy Przybytku. Mojżesz, zgromadziwszy Dzieci Izraela, przypomina im pokrótce o przestrzeganiu szabat, po czym relacjonuje z detalami Boże instrukcje dotyczące przenoszenia Świątyni. Czy coś wynika z bliskości tych dwóch zagadnień w biblijnym tekście? Po pierwsze, szabat nie wolno łamać nawet dla tak świętego celu, jakim jest budowanie Przybytku. „Przez sześć dni praca [hebr. *melacha*] będzie wykonywana...” (Wj 35, 2). Szabat jest pamiątką dzieła Stworzenia, a Stwórca „odpoczął w dniu siódmym od wszelkiej pracy [hebr. *melachto* = Jego praca], którą wykonywał” (Rdz 2, 2). W szabat należy więc odpoczywać, powstrzymując się od pracy. Ale co oznacza w tym kontekście praca? Talmud wymienia 39 jej kategorii. *Melacha* to czynność, której wykonanie było konieczne przy budowie Przybytku.

Pierwszych 11 *melachot* (oranie, sianie, żęcie, zbieranie i snopowiązanie, młócenie, wianie, wybieranie, mielenie, przesiewanie, mieszenie, pieczenie) wiązało się z produkcją barwników do tkanin i przygotowywaniem chleba ofiarnego. Kolejne 13 dotyczyło wytwarzania wełny, z czego pięć pierwszych (strzyżenie, wybielanie, czesanie, farbowanie, przedzenie) – samej przędzy, a osiem (cztery etapy tkania, wiązanie węzła, rozwiązywanie węzła, szycie, prucie) – robienia z niej pokrycia namiotu. Następne siedem czynności (usidlanie, uśmiercanie, obdzieranie ze skóry, garbowanie, liniowanie, wygładzanie, wycinanie) było wykonywanych przy oprawianiu skór zwierzęcych na zewnętrzne pokrycie. Pisano na słupkach, które stanowiły szkielet Przybytku, aby umieszczać je w tym samym układzie przy kolejnym rozstawianiu. W przypadku pomyłki oznaczenie należało zetrzeć i napisać ponownie. Budowanie i burzenie wiązało się z wkładaniem słupków do podstaw i ich wyciąganiem przy kolejnych przenosinach. Ostateczne uderzenie młota wieńczyło dzieło. Tylko jedna *melacha* została wymieniona w Torze w sposób bezpośredni – mianowicie: rozpalać ogień. Gazono i rozpalano przy okazji farbowania i topienia metali. Numer 39 to przenoszenie przedmiotów między terenem publicznym a prywatnym.

Wyżej wymienione czynności noszą nazwę *awot melacha* – „czynności (prace) wzorcowe”. System *melachot* nie należy do najprostszych. Warto się jednak z nim zapoznać, gdyż – jak powiada rabin Chija syn Aby w imieniu rabina Jochana: „Kto właściwie obchodzi szabat, nawet gdyby popełnił grzech bałwochwalstwa, jak pokolenie Enosza, jest mu wybaczone – jak jest napisane u Izajasza (56, 2): »Szczęśliwy śmiertelnik [enosz]... strzegący szabat przed łamaniem go [mechalelo]« – nie czytaj *mechalelo*, tylko *machul lo* (jest mu wybaczone)».”

©

O. WACŁAW

Oszajca: Krokodyle łzy



PAWEŁ APOSTOŁ NAPISAŁ, ŻE JEZUS „UNIŻYŁ siebie samego, stając się posłusznym aż do śmierci, i to śmierci na krzyżu”. Dziś posłuszeństwo, podobnie jak ofiara, ma wydźwięk pejoratywny. Nie bez powodu. Papież Franciszek w „*Patris corde*”

mówi: „Szczęście Józefa nie polega na logice ofiary z siebie, ale daru z siebie (...) który jest dojrzewaniem zwyczajnej ofiarności. (...) Tam, gdzie powołanie, czy to małżeńskie, do celibatu, czy też dziewicze, nie osiąga dojrzałości daru z siebie, zatrzymując się jedynie na logice ofiary, to zamiast stać się znakiem piękna i radości miłości, może wyrażać nie-szczęście, smutek i frustrację”. Logika ofiary sprawia, że mylimy „służbę z serwilizmem”, a posłuszeństwo staje się bezdusznym wydawaniem i wykonywaniem nakazów. Siostra Faustyna zauważyła: „Nigdy się przed nikim nie płaszczę. Nie znoszę pochlebstwa, a pokora jest tylko prawdą, nie ma w prawdziwej pokorze płaszczenia się. (...) Cieszę się godnością oblubienicy Jezusa. Mniejsza o to, że nieraz spotykam się ze zdaniem, jakoby była pyszna, ale przecież wiem, że sąd ludzki nie dostrzega pobudek działania”. Czegoś podobnego doświadczył Jezus.

Zgodnie z prorocką zapowiedzią Jezus wjeżdża do Jerozalema na osłędzie. Ten szczegół umyka uwadze apostołów. Tłumy obwołują Jezusa królem Izraela, ale nie są świadome, że Jezusowi nie chodzi o taką władzę. Władza religijno-polityczna też nie „dostrzega pobudek działania” Jezusa. Mając Go za zdrajcę „sprawy narodowej” i za odstępcę od wiary w Boga, szukają sposobu, jak by się Go bezboleśnie dla siebie pozbyć. Nie umieją i pewnie nie chcą dostrzec w Jezusie kogoś, kogo Bóg posłał, podobnie jak Mojżesza, „aby zgromadzić w jedno rozproszone dzieci Boże”. To tragiczne opisane w Biblii rozmijanie się ludzi z Jezusem, a w rezultacie z Bogiem, nieustannie, aż do dzisiaj, powtarza się również w Kościele. Świadczą o tym ukrywanie pedofilii i malwersacje finansowe wynikające z klerykalizmu. Ślady nierozumienia „pobudek działania” Boga mamy również w liturgii wielkopostnej, w gorzkich żalach i drogach krzyżowych, a wiadomo, że „norma modlitwy – normą wiary”.

Wylewamy nad Jezusem „gorzkich łez potoki”, współczujemy Jego Matce, pytając „Czemuś, Matko ukochana, ciężko na sercu stroskana? Czemu wszystka truchlejesz?”, jakbyśmy nie pamiętali, że to z naszego powodu Jezus wisi na krzyżu. Winę za Jego śmierć zrzucamy na innych, choćby na „niewdzięcznego ucznia” i „zaprzanego” Piotra. Jeśli nie chcemy wylewać nad Jezusem krokodylich łez, zapłacmy nad sobą: „Oby się serce we łzy rozplętkowało, / Że Cię, mój Jezu, spróchnie obrażało; / Żal mi, ach, żal mi, ciężkich moich złości, / Dla Twej miłości”.

©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Dwa cuda

Ustyszałam:
„Poszukuj siebie we Mnie
i szukaj Mnie w sobie”.

TERESA Z ÁVILA



Nic tak nie oczyszcza
jak poznanie,
a odnajdzie je w Sobie,
z czasem, każdy, kto dąży
do doskonałości w jodze.

BHAGAWADGITA



W KANIE GALILEJSKIEJ dopada Jezusa „urzędnik królewski” (u synoptyków to rzymski setnik) z Kafarnaum (zob. J 4, 43-54). Przebył całą tę drogę, by poprosić o uzdrowienie umierającego syna. Jest natarczywy i zdesperowany – krzyczy: „Panie, przyjdź, zanim umrze moje dziecko!”.

Jezus odpowiada nie jednym, lecz dwoma cudami. Pierwszy to uzdrowienie syna – rzekł do niego: „Idź, syn twój żyje”. Drugi cud opisany jest w ostatnim zdaniu epizodu: „Uwierzył on sam i cała jego rodzina”.

Pierwszy dzieje się wręcz automatycznie: drogę z Kany do Kafarnaum słowo Jezusa przebiega w sekundę; „O tej godzinie [„siódmej”, czyli 13.00], kiedy Jezus rzekł do niego: Syn twój żyje”, opuściła chłopca gorączka.

Drugi cud potrzebuje jednak czasu – potrzebuje „drogi” (bo wiara jest drogą). Droga z Kany Galilejskiej do Kafarnaum wynosi 45 kilometrów; zajęła mu jakieś półtora dnia. Od jej długości ważniejsze (z punktu widzenia duchowej interpretacji wydarzenia) wydaje się jednak coś innego: jest to droga zdecydowanego schodzenia w dół. Kafarnaum leży nad Jeziorem Galilejskim, a więc w depresji 240 metrów poniżej poziomu morza. Kana leży na wysokości 252 metrów nad poziomem morza – różnica wysokości wynosi więc 500 metrów.

Nic dziwnego, że rozmawiając z Jezusem zrozpaczony ojciec prosi Go, aby (dosł.)

„zstąpił” z nim do Kafarnaum; w tekście greckim użyte jest tu słowo: *katabaino* – od *kata*, czyli „w dół”, i *baino*, tzn. „iść”, „spacerować” (i tak też – dosłownie – tłumaczy św. Hieronim: „*rogabat, ut descenderet*” – „prosił, aby zstąpił”). Konsekwentnie, dalej czytamy, że kiedy następnego dnia „zstępował”/„schodził w dół” (łac. *eo descendente* – w. 51), spotkał swoje sługi z dobrą nowiną, że jego syn żyje.

Na drodze dochodzenia do dojrzałej wiary – w szczególności w procesie zwanym katechumenatem (wszystko jedno, czy przed-, czy pochrzcielny) – ów moment „zstępowania” jest niesłychanie ważny. Człowiek musi zejść w dół – do samego dna swojego pogaństwa, bałwochwalstwa i grzechu – musi zejść tak, jak się schodzi w dół po siedmiu stopniach chrzcielnicy. Dotyka w ten sposób śmierci, z której ratuje go Jezus. Od tego momentu pójdzie w górę – odkrywając siłę podarowanego mu na nowo życia. Ale najpierw musi „zejść w dół” – tak jak nasz bohater.

Ta „droga w dół” nie prowadzi go do rozpacz – do „depresji”. Nie – ponieważ całą tę drogę towarzyszy mu słowo wypowiedziane przez Jezusa. Ze słowem Jezusowym człowiek ma odwagę „zejść” do samego dna własnego grzechu, by tak odkryć ze zdumieniem nieskończone miłosierdzie Boga. Radość, której doświadczy, wyleje się z niego tak, że udzieli się „całej jego rodzinie”. Nie będzie jej w stanie zatrzymać wyłącznie dla siebie, lecz stanie się apostołem. ©

CYTANIA LITURGICZNE (28 III – 4 IV)

Niedziela Palmowa: Iz 50, 4-7; Ps 22; Flp 2, 6-11;
Mk 14, 1 – 15, 47;

Poniedziałek: Iz 42, 1-7; Ps 27; J 12, 1-11;

Wtorek: Iz 49, 1-6; Ps 71; J 13, 21-33. 36-38;

Środa: Iz 50, 4-9a; Ps 69; Mt 26, 14-25;

Wielki Czwartek: Wj 12, 1-8. 11-14; Ps 116B;

1 Kor 11, 23-26; J 13, 1-15;

Wielki Piątek: Iz 52, 13 – 53, 12; Ps 31;

Hbr 4, 14-16; 5, 7-9; J 18, 1 – 19, 42;

Wielka Sobota – Wigilia Paschalna:

Rdz 1, 1 – 2, 2; Ps 104; Rdz 22, 1-18; Ps 16;

Wj 14, 15 – 15, 1a; Ps: Wj 15, 1b-6. 17-18;

Iz 54, 4a. 5-14; Ps 30; Iz 55, 1-11; Ps: Iz 12, 2-6;

Ba 3, 9-15. 32 – 4, 4; Ps 19; Ez 36, 16-17a. 18-28;

Ps 42; Rz 6, 3-11; Ps 118; Mk 16, 1-7;

Niedziela Zmartwychwstania Pańskiego:

Dz 10, 34a. 37-43; Ps 118; Kol 3, 1-4;

J 20, 1-9.

Wybrał PIOTR SIKORA

TRZECIE OKRĄŻENIE

Czy wyścig z koronawirusem da się w ogóle wygrać?

Lekarze widzą światło w tunelu:
w krajach przodujących w akcji szczepień
tempo zakażeń wyraźnie spadło.

MACIEJ MÜLLER

DO ZAMKNIĘCIA ZOSTAŁY WŁAŚCIWIE tylko przedszkola i kościoły. Tym razem rząd zatrzasnął nawet drzwi kasy – branży działającej dotychczas prawie bez przeszkód. Niemal rok po tym, jak SARS-CoV-2 zaatakował nasz kraj po raz pierwszy, ponownie siedzimy zamknięci w domach.

Skala tego, co się teraz dzieje, zaskoczyła wielu obserwatorów pandemii, i to nie tylko z kręgów rządowych. Nawet w kolejnych tweetach Michała Rogalskiego – twórcy największej bazy danych o przebiegu COVID-19 w Polsce, który na ogół tonuje nastroje – widać narastający niepokój. W piątek 19 marca, kiedy rząd raportował 26 tys. nowych przypadków, napisał: „Kaźde przyspieszenie na tak wysokim pułapie to bardzo zła wiadomość”.

Zaatakowani

Rafał Halik, epidemiolog i specjalista zdrowia publicznego z Zakładu Monitorowania i Analiz Stanu Zdrowia Ludności NIZP-PZH, nie ukrywa: – Ze względu na nieobliczalność procesów epidemicznych trafne prognozowanie na tydzień wprzód jest już olbrzymim sukcesem. Na razie nie widać końca wypiętrzania się fali, co dla wielu analityków jest niepokojące, bo niektórzy spodziewali się szczytu już w tych dniach (rozmawiamy 19 marca).

– Znajdujemy się najprawdopodobniej już niedaleko od apogeum fali zachorowań – uspokaja Tadeusz Jędrzejczyk, dyrektor Departamentu Zdrowia Urzędu Marszałkowskiego Województwa Pomorskiego, w latach 2014-16 prezes NFZ. – W części regionów fala będzie jednak wyższa, w innych zaś nieco dłuższa. Na efekty w postaci zmniejszenia obciążenia szpitali i ratownictwa przyjdzie nam poczekać przez kolejne dwa-trzy tygodnie od apogeum.

Czym ta fala różni się od poprzedniej? Ze szpitalnych oddziałów płyną doniesienia, że trafiają tam pacjenci młodszy niż jesienią. W dodatku w cięższym stanie.

– Jest za wcześnie, żeby wyciągać zdecydowane wnioski – zastrzega prof. Wojciech Szczeklik, kierownik Kliniki Anestezjologii i Intensywnej Terapii w 5. Wojskowym Szpitalu Klinicznym w Krakowie. – Na oddziale mamy mniej osób po 70. roku życia, a to one przeważały jesienią. Sądzę, że ta grupa jest już zabezpieczona szczepieniami. Możliwe, że nawet jeśli starsza osoba zdążyła przyjąć tylko jedną dawkę, w razie zakażenia przechodzi chorobę łagodniej i nie trafia na intensywną terapię. Średnia wieku pacjentów spadła więc do 50-55 lat, ale leży też u nas sporo osób młodych, np. dwoje 35-latków.

Niedotlenieni

Winna obecnego dramatu jest brytyjska odmiana SARS-CoV-2, która już dominuje w Polsce. – Wariant brytyjski łatwiej się przenosi, jest nieprawdopodobnie zakaźny – podkreśla prof. Szczeklik. – Mieliliśmy na jednym z oddziałów pacjenta, któremu po przyjęciu wyszedł negatywny test, a już po zabiegu – pozytywny. Zdążył tymczasem zakażać dwie osoby leżące na zupełnie innych salach. Jak wskazują szerokie obserwacje prowadzone w Wielkiej Brytanii, ten wariant wywołuje też cięższy przebieg COVID-19.

Młode osoby na ogół nie zgłaszają się po pomoc medyczną zaraz po zaobserwowaniu objawów. Spora grupa nie stara się o skierowanie na test PCR – żeby nie trafić do państwowego systemu. Panuje przekonanie (co nie zaskakuje, gdy wspomnimy chaos w tej kwestii sprzed roku), że wiąże się to z niekończącymi się kwarentanami. W trzeciej fali zmieniły się jednak reguły gry.

Prof. Szczeklik: – Pacjenci, których ratujemy za pomocą tlenoterapii, przez długi czas chorowali w domach. COVID-19 jest podstępny, nie zawsze powoduje np. duszność, więc nie widzieli potrzeby, by dzwonić po pomoc. Poza tym system ochrony zdrowia jest przecią-





Kolejka do punktu pobrań na placu Defilad, Warszawa, 18 marca 2021 r.

żony, karetki już nie po każdego przyjadą, a na SOR-ach tworzą się kolejki. To dodatkowo zniechęca. Ale w efekcie trafili do nas ledwo żywi, niedotlenieni, z układem oddechowym w wysokim stopniu zajęty przez chorobę. Czasem ten stan bywa nieodwracalny.

Anestezjolog radzi w związku z tym, by, podejrzewając u siebie zakażenie, uważnie obserwować jego przebieg. – Większość młodszych osób przejdzie je skąpoobjawowo czy nawet bezobjawowo. U części pojawiają się dokuczliwe, grypopodobne, ale przemijające objawy, a u niektórych dojdzie do problemów z układem oddechowym: a to już oznacza, że potrzebne jest wsparcie. Jeśli czujemy, że brakuje nam powietrza, że dostajemy zadyszki po przejściu z pokoju do pokoju, jest to sygnał ostrzegawczy. Domownicy mogą ponadto zaobserwować u nas przyspieszony oddech, szybsze tętno, zasinienia na palcach czy ustach. Warto wyposażyć się w pulsoksymetr, który pozwala sprawdzić, ile tlenu mamy we krwi. Jeżeli wskaźnik spada poniżej 95 proc., może dziać się coś niepokojącego, a poniżej 90 proc. zdecydowanie powinniśmy zadzwonić do lekarza rodzinnego lub na pogotowie.

NFZ wydało komunikat zachęcający dyrekcje szpitali do zawieszania zabie-

gów planowych. System ochrony zdrowia przedstawia się na tryb covidowy. Ruszają szpitale tymczasowe, tworzone w halach targowych czy na stadionach – mimo to ambulanse krążą po całym województwie szukając placówki, która przyjmie nowego pacjenta. Wąskim gardłem są oddziały intensywnej terapii, ostatnia linia obrony, gdzie za pomocą respiratorów i innych terapii tlenowych ratuje się chorych w stanach krytycznych. Nie chodzi tu nawet o samą liczbę respiratorów. – Ta jest dostateczna – mówi prof. Szczeklik. – Jednak łóżko IT dla chorego na COVID-19 to nie tylko sprzęt, ale przede wszystkim opieka wykwalifikowanego zespołu. Na moim oddziale niedawno utworzyliśmy osiem dodatkowych łóżek, które zapełniły się w ciągu półtora dnia. Teraz tworzymy kolejne cztery, w kolejnym tygodniu następne. Baza łóżkowa zwiększa się w krótkim czasie o kilkaset procent i bardzo trudno jest zapewnić personel do jej obsługi.

Zmęczeni

Od miesięcy trwa przeciąganie liny między środowiskiem lekarskim a Ministerstwem Zdrowia. Resort, chcąc załatać braki personalne, chce szeroko otworzyć granicę dla specjalistów zza wschodniej granicy. Nie kładąc przy tym nacisku

– co punktuje samorząd lekarski – na standardy, według których kształcili się potencjalni kandydaci, ani nawet na znajomość języka. Tym bardziej niezrozumiała wydawała się decyzja ministra, by odwołać wiosenną sesję Państwowego Egzaminu Specjalizacyjnego. Adam Niedozielski tłumaczył, że nie chce, by młodzi lekarze odchodzili teraz od łóżek. Lekarze – że do tego egzaminu przygotowali się od miesięcy, biorąc urlopy szkoleniowe, ucząc się nocami, zaniedbując rodziny. I że nie rozumieją, czemu resort chce im utrudnić uzyskanie specjalizacji. Minister uległ, komunikat zniknął z internetu.

Dla lekarzy ta sprawa to kolejny dowód, że Niedozielski, wprowadzając doktor, ale ekonomii, nie rozumie systemu ochrony zdrowia. Bo problemów jest więcej. Nakazy pracy w szpitalach covidowych, których przyjęcie może wiązać się z utratą zatrudnienia w macierzystej jednostce – bo rząd nie zadbał o odpowiednie zabezpieczenia prawne. Albo przepisy dotyczące „dodatków covidowych” za pracę z zakażonymi pacjentami, które sformułowano tak niejasno, że dyrektorzy jednostek kreatywnie je obchodzą.

Jedynym chyba atutem znacząco zmieniającym sytuację systemu ochrony

→ zdrowia jest niemal pełne wyszczepienie grupy zero, czyli przede wszystkim personelu szpitali. Oddaliła się groźba zawieszania pracy całych oddziałów. Prof. Szczekliki: – Mniej boimy się o siebie. Poważniejszym problemem jest zmęczenie. Pandemia trwa już rok. Wiele osób jest zmuszonych do wykonywania obowiązków, które normalnie do nich nie należą. Ginekolodzy czy onkolodzy leczą pacjentów zakaźnych. Takie zmiany mocno działają na psychikę, powodują stres i wypalenie.

Ślepi

Walka z wirusem odbywa się nie tylko w szpitalach – to jeden z odcinków frontu. Pozostałe to testowanie, izolowanie chorych i osób z kontaktu, szczepienia populacyjne i wreszcie: polityka zdrowotna rządu, czyli nakładanie obustrzeń.

Od czasu reform, które wprowadził jesienią Adam Niedzielski, za raportowanie wyników testów do państwowego systemu odpowiedzialne są same laboratoria, a mają na to 48 godzin. W dodatku testowanie ograniczono praktycznie tylko do chorych objawowo.

Od początku mechanizm ten działa wadliwie: Michał Rogalski i inni niezależni statystycy wykazywali, że dane raportowane przez Ministerstwo Zdrowia przestały sumować się z cząstkowymi danymi z lokalnych sanepidów. W efekcie rząd zakazał stacjom publikowania liczb, co właściwie uniemożliwiło kontrolę społeczną nad procesem zliczania zakażeń. Testów przeprowadza się niewiele: Polska ciągnie się pod tym względem w ogonie państw europejskich. Wykonaliśmy dotychczas 281 testów na tysiąc mieszkańców, podczas gdy wskaźnik ten dla Austrii wynosi 2140, a dla Wielkiej Brytanii 1585; w Unii Europejskiej za nami jest tylko Bułgaria (276). Mamy też ogromny wskaźnik testów pozytywnych: obecnie na poziomie 26 proc., podczas gdy według standardów WHO przekroczenie poziomu 5 proc. oznacza, że epidemia wymknęła się spod kontroli.

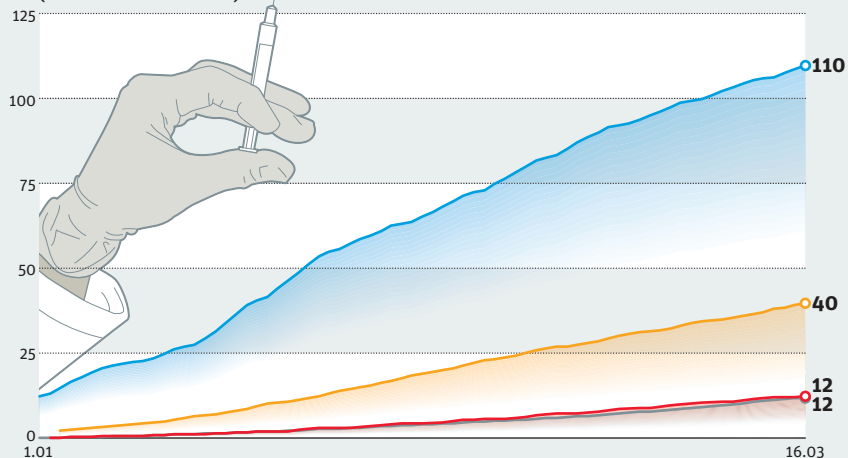
Nieliczni

Inspektorat sanitarny, instytucja, wydawałoby się, kluczowa dla walki z zakaźnym wirusem, została jesienią wycofana na trzeci plan. Już wiosną zeszłego roku, przy nieporównywalnie mniejszej skali

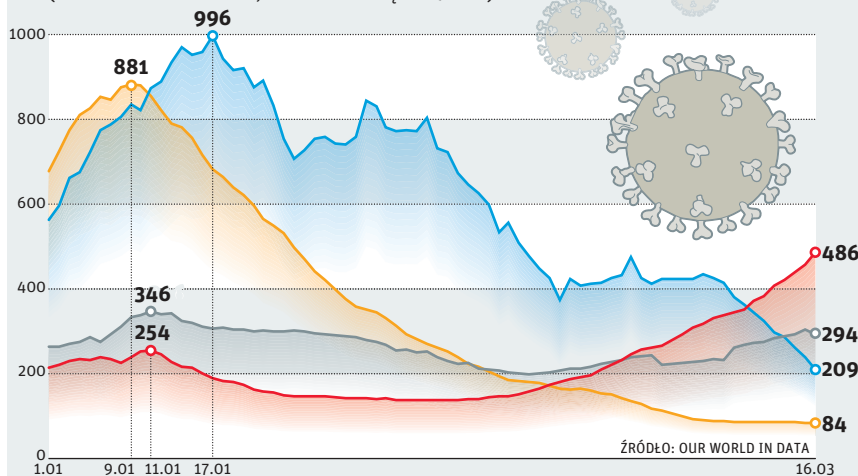
WPŁYW SZCZEPIEŃ NA ZAKAŻENIA COVID-19

Izrael Wielka Brytania Unia Europejska Polska

Liczba podanych dawek szczepionki
(na 100 mieszkańców)



Liczba nowych zakażeń
(na 1 mln mieszkańców, średnia krocząca z 7 dni)



ŹRÓDŁO: OUR WORLD IN DATA

LECH MAZURCZYK

zakażeń, inspektorzy nie byli w stanie w dostatecznym stopniu śledzić ognisk. Ale nie składano broni: do osoby z pozytywnym wynikiem testu dzwonili pracownicy stacji i starali się zdefiniować grupę osób, z którymi spotykała się w okresie, kiedy już rozsiewała wirusa.

Państwa, którym udało się skutecznie wdrożyć model śledzenia zakażeń i kontaktów, zwany *test & trace*, „dość szybko poradziły sobie z opanowaniem epidemii. Warto podkreślić, że w tej grupie znalazły się niemal wyłącznie kraje azjatyckie, m.in. Korea Południowa, Japonia, Tajwan, a także Chiny, które po początkowej fazie rozwoju epidemii bardzo szybko ją opanowały” – czytamy w raporcie „Sanepid w ogniu” wydanym przez Centrum Polityk Publicznych Uniwersytetu Eko-

nomicznego w Krakowie. Tempo działań krajów azjatyckich, a także wysoka dyscyplina społeczeństw w przestrzeganiu zaleceń sanitarnych, wynikały m.in. z doświadczeń z czasów epidemii SARS (2002-03) czy ptasiej grypy (2003).

Tymczasem w Polsce „pomimo skierowania wszystkich dostępnych pracowników inspekcji sanitarnej do prowadzenia wywiadów (...), nie byli oni fizycznie w stanie obsłużyć wszystkich przypadków. Trzeba jednak dodać, że trudności z prowadzeniem wywiadów epidemiologicznych w pełni ujawniły się dopiero pod koniec sierpnia 2020 r., wraz z pojawieniem się większej liczby zachorowań (choć i tak bardzo niewielkiej w porównaniu z tym, co czekało inspekcję kilka tygodni później)”.

Zaniedbani

Jakie są tego efekty? – W Polsce nie prowadzimy obecnie wywiadu epidemiologicznego w takim stopniu, by się dowiedzieć, w jakich sytuacjach najczęściej dochodzi do transmisji wirusa, jak rozkłada się ryzyko zakażenia w różnych sytuacjach i w różnych grupach ludności – mówi Rafał Halik. – Wtedy byśmy wiedzieli w przód, kto jest najbardziej wrażliwy i gdzie są potrzebne działania, by przeciwnąć drogi szerzenia się drobnoustroju. Te pytania są szczególnie ważne przy dobieganiu obostrzeń: tak, by skutecznie powstrzymywały transmisję wirusa.

Zdaniem eksperta z NIZP-PZH od sierpnia zeszłego roku polityka zdrowotna skupiła się w większej mierze na obostrzeniach i zakazach niż na narzędziach epidemiologicznych. System kwarantann i izolowania chorych wymaga według Halika gruntownej rekonstrukcji, bo jest nieskuteczny. Dlaczego? – Wąskie kryteria kwalifikacji do testu tylko dla chorych objawowych i brak testowania w przedłużanych kwarantannach spowodowały, że wiele osób ukrywa infekcję lub kontakt z chorym i roznosi wirusa dalej – mówi epidemiolog.

Sęk w tym, że rząd nie wykorzystał do reformy sanepidu okresów względnego uspokojenia sytuacji, czyli lata 2020 r. i początku 2021 r. – Takich prób dokonywano na poziomie regionalnym – wskazuje Tadeusz Jędrzejczyk. – Na Pomorzu ze środków samorządu zakupiono oprogramowanie dla sanepidów, a kilkudziesięciu pracowników naszego urzędu wzmocniło, na zasadzie dobrowolności, pracowników stacji m.in. przy wydawaniu decyzji o kwarantannie.

Obecnie mechanizm *test & trace* właściwie nie działa. 20 września 2020 r., w momencie wzbierania jesiennej fali, na jeden przypadek zakażenia przypadało dziewięć osób wysłanych na kwarantannę (dane z raportu EUK). Na początku grudnia spadł już do 0,7; obecnie wynosi ok. 1.

– Wbrew stereotypom sanepid to instytucja z wielkim potencjałem dobrze wykształconej kadry – wskazuje Rafał Halik. – Jest jednak niedoinwestowana, a pandemia dopadła nas w momencie jej niedokończonej informatyzacji. Ale jeśli chcemy działać na zasadzie lokalnego różnicowania działań przeciwepidemicznych, to bez sieci stacji sanepidu to nie zadziała.

Dopiero obowiązkowe
szczepienia całych roczników
– z jednej strony młodych
dorosłych, z drugiej seniorów
– przez kilkanaście lat
**dałyby nadzieję na
wykorzenienie choroby.**

Uśrednieni

Problem w tym, że Polsce od początku nie wychodzi walka z wirusem na poziomie lokalnym. Lockdowny ogłasza się albo dla poszczególnych województw, albo – jak teraz – dla całego kraju. Tymczasem, na co wskazywali nieraz np. immunolog dr Paweł Grzesiowski, w przypadku województwa warmińsko-mazurskiego epidemia tliła się początkowo w trzech powiatach, tymczasem rząd jakby czekał, aż zakażenia się rozleją – i zamknął całe województwo.

– Lockdowny na poziomie powiatów to dobry pomysł, pod warunkiem solidnego monitorowania epidemii na tych obszarach, jak i badania przyczyn i warunkowań rozsiewu wirusa w skali lokalnej – zastrzega Rafał Halik. – Wtedy obostrzenia mogłyby być celnie dobrane i skuteczne. Bo w zupełnie inny sposób dochodzi do transmisji wirusa w aglomeracji, gdzie duża część ludności jest młoda i pracuje w wielkim ośrodku miejskim, inaczej w powiatach ze średnimi miastami, a zupełnie odmiennie w tych o charakterze wybitnie wiejskim, gdzie ludność ma ograniczoną mobilność i inną strukturę demograficzną.

– Analityka rządowa i podstawy podejmowania decyzji pozostawiają wiele do życzenia – dodaje Tadeusz Jędrzejczyk. – Na przykład w momencie wdrażania ograniczeń na Pomorzu mieliśmy liczbę hospitalizacji niemal dokładnie na poziomie średniej ogólnopolskiej. Wyższy wskaźnik zapadalności wynikał po prostu z większej liczby wykonywanych testów.

Zabezpieczeni

Radość z wynalezienia szczepionek już w grudniu osłabiły doniesienia o pojawieniu się nowych mutacji SARS-CoV-2. Pustoszący obecnie Europę wariant bry-

tyjski na szczęście nie potrafi przełamać odporności nabytej dzięki szczepieniom. Niepokój budzą natomiast warianty południowoafrykański i brazylijski. – Część szczepionek działa na te mutacje słabiej – przyznaje prof. Szczeklik. – Wygląda na to, że one będą potrafiły wymykać się nabytej odporności.

Czy wobec tego wyścig z koronawirusem da się w ogóle wygrać? Prof. Szczeklik: – Sądzę, że tak. Popatrzmy na kraje przodujące w akcji szczepień, jak USA, Wielka Brytania czy Izrael. Tempo zakażeń wyraźnie spadło, mimo że wszędzie tam dominował wariant brytyjski. To światło w tunelu dla nas wszystkich. Szczepionki w połączeniu z zasadą masek-dystans-dezynfekcja, którą już dobrze znamy, pomogą w końcu wrócić do normalności.

– Mamy już technologię szczepionek, a to bardzo dużo – podkreśla Rafał Halik. – Możliwy jest scenariusz, w którym będziemy się musieli dodatkowo szczepić preparatem odpowiednio „zaktualizowanym” do nowych wariantów wirusa. Może akcja nie będzie globalna, ale będzie czymś w rodzaju sezonowych szczepień, takich jak na grype. Aby jednak trzymać kontrolę nad koronawirusem, trzeba będzie utworzyć system monitorowania jego obecności i zachowania, np. jakie nisze w środowisku naturalnym sobie znajduje. Wiadomo przecież, że będzie krążył nie tylko wśród ludzi, o czym świadczy problem zakażenia się nim norek.

Przed defetyzmem przestrzega też Tadeusz Jędrzejczyk: – Można mieć uzasadnioną nadzieję, że szczepionki zabezpieczą przed większością mutacji ze względu na fakt, że są skierowane na tzw. białko S. Jego ukształtowanie (a więc i cechy rozpoznawane przez przeciwciała i komórki pamięci) jest jednocześnie odpowiedzialne za wnikanie wirusa do komórki. Wyrażna mutacja w tym białku powinna zadziałać nie tylko na „oszukiwanie” nauczonych przez szczepienie układu odpornościowego, ale także jako zepsucie „klucza do zamka”. Jakkolwiek ze względu na astronomiczne liczby potencjalnych mutacji niczego do końca wykluczyć nie można.

Główny ciężar akcji spoczywa dziś na gabinetach POZ – to przy nich utworzono większość z 6 tys. punktów szczepień. Początek akcji wiązał się z chaosem: lekarze pozapisywali seniorów, tymczasem Pfizer ogłosił obniżenie stawek o połowę. ➔

→ Wizyty trzeba było przenosić. – Ale sądzę, że od kwietnia akcja wyraźnie przyspieszy – mówi Jacek Krajewski, lekarz rodzinny, kierownik dużego gabinetu POZ w Udaninie na Dolnym Śląsku oraz prezes Porozumienia Zielonogórskiego skupiającego lekarzy pierwszego kontaktu. – Skończy się też sezon infekcyjny, co pozwoli wygospodarować więcej czasu na chętnych do zaszczepienia.

Przestraszeni

„New York Times” niedawno zastanawiał się, z jakiego powodu szczepienia w Europie idą tak żółtym tempem. Zarzucił błędy Komisji Europejskiej – podczas gdy Unia zastanawiała się nad wspólnym solidarnościowym mechanizmem zamawiania i rozdzielania dawek, kraje działające na własną rękę już podpisywały z koncernami umowy (to spojrzenie ignoruje fakt, że gdyby nie zasada solidarności, Polska, Rumunia czy Grecja mogłyby co najwyżej przyglądać się, jak się szczepią Niemcy, Francja i Hiszpania). UE żądała poza tym zdecydowanie niższych cen i w efekcie to przede wszystkim Unię dotknęły przerwy w dostawach.

Obecnie program dostał zadyszki z innego względu. 30 przypadków śmiertelnych związanych z chorobą zakrzepowo-zatorową u ludzi zaszczepionych preparatem koncernu AstraZeneca skłoniło rządy kilku krajów do wstrzymania jego stosowania. Temperaturę podbijają media, a w Polsce szczepionka AZ ma fatalną opinię także dzięki nieudolnej komunikacji rządu. Kiedy okazało się, że badań klinicznych związanych z rejestracją szczepionki nie prowadzono dla osób powyżej 65. roku życia, ogłoszono, że wobec tego najpierw będą nią szczepieni nauczyciele. Efekt był łatwy do przewidzenia: grupa zawodowa, która nie ma powodu, by rządowi Zjednoczonej Prawicy specjalnie ufać, uznała, że przeznaczono

dla niej produkt drugiej kategorii. Historia narosła do tego stopnia, że np. w krakowskim Szpitalu Uniwersyteckim nie zgłaszała się jedna trzecia umówionych na zastrzyk pacjentów. Placówka zawiesiła zamówienia.

W zeszłym tygodniu uspokajający komunikat wydała Europejska Agencja Leków, a jej szefowa Emer Cooke podkreśliła: „Szczepionka nie jest w żaden sposób powiązana ze zwiększeniem liczby przypadków zakrzepowych, a korzyści z jej przyjęcia zdecydowanie przeważają nad ryzykiem”.

Jacek Krajewski liczy, że stanowisko EMA wpłynie na zmianę postaw pacjentów. Bo na razie jest nerwowo. – Była możliwość zaszczepienia AstrąZenecą między 22 marca a 5 kwietnia. Szukałem chętnych, ale było ich tak mało, że musiałem zrezygnować z dostawy stu dawek. Wielu woli czekać nawet wiele tygodni na dostawę Pfizera czy Moderny. I to mimo że przecież wcześniej te preparaty, przygotowane na bazie technologii mRNA, też budziły niepokój.

Lekarz POZ uważa, że kluczowe znaczenie dla niechęci do tego preparatu ma fakt występowania w niektórych przypadkach krótkotrwałych objawów przypominających grypę po podaniu pierwszej dawki. – Szczepionkę przyjmowali nauczyciele, którzy są często liderami społeczności lokalnych. Ich opinia wpływała na społeczne nastroje. Liczę jednak na to, że po świętach emocje opadną.

– To dobra szczepionka, wokół której jest masa zawirowań – ocenia prof. Szczekliki. – Jeśli udar czy zawał następuje po podaniu jakiegoś leku, mamy odruchową tendencję do łączenia tych faktów. Tymczasem tutaj jednoznacznego związku nie ma. Badania kliniczne na kilkudziesięciu tysiącach osób wykazały, że zdarzenia zakrzepowe występowały tak samo często u pacjentów, którzy dostali Astrę-

Zenecę, jak i u tych, co otrzymali placebo. Ostrożność ze strony odpowiedzialnych za szczepienia jest wskazana, ale nie powinno się wstrzymywać używania AZ na dłuższy czas. Żeby poradzić sobie z pandemią, musimy jak najszybciej wyszczepić jak najwięcej osób. Na jednej szali mamy ewentualne powikłania, których związku z podaniem preparatu nie udowodniono, na drugiej zabezpieczenie społeczeństwa przed COVID-19. Bilans korzyści i strat jest dla mnie oczywisty.

Zasada MDD

Według Tadeusza Jędrzejczyka istnieje szansa, że kolejnej jesiennej fali zachorowań już nie będzie. – Powinna jej zapobiec odporność populacyjna Polaków: tych, którzy przechorowali COVID-19, i tych zaszczepionych – mówi. – Oczywiście zachorowania będą się zdarzały przez kolejne lata. Nie spowodują jednak znaczącego obciążenia szpitali. Dopiero obowiązkowe szczepienia całych roczników – z jednej strony młodych dorosłych, z drugiej seniorów – przez kilkanaście lat dałyby nadzieję na wykorzenienie choroby. Osobnym problemem będą tysiące pacjentów, którzy po przechorowaniu COVID-19 będą zgłaszali się do lekarzy z powodu problemów z wydolnością oddechową, zaburzeniami rytmu serca czy objawami neurologicznymi.

Warunkiem koniecznym dla uniknięcia kolejnego ataku wirusa po wakacjach jest osiągnięcie do tego czasu odporności populacyjnej, czyli 60-70 proc. społeczeństwa. Rafał Halik: – By to osiągnąć, musimy zdynamizować proces szczepienia, bo sami ozdrowieńcy do tego nie wystarczą. Zachorowalność na COVID-19 nie spadnie od razu na łeb na szyję, ale będzie się stopniowo, acz widocznie wygaszała, tak jak widać to np. w Izraelu. Dlatego tak ważne jest, by równolegle wspierać szczepienia działaniami, które mają na celu zmniejszenie ilości wirusa w populacji: tak, by nie było „zaczynu” do kolejnej fali. Oprócz szczepień ważne jest szerokie testowanie, by namierzać chorych, izolować ich oraz poddawać kwarantannie osoby z kontaktu – mówi epidemiolog. – Do tego zasada MDD. Strategia ta ma za zadanie zбить zapadalności na tę chorobę do możliwego minimum, tak by nawet endemiczne jej występowanie było na niskim poziomie. Nazywa się ją „zero COVID”.

Sąd Rejonowy w Brzesku, Wydział I Cywilny, pod sygn. I Ns 215/20 prowadzi postępowanie z wniosku Tauron Dystrybucja S.A. z siedzibą w Krakowie o stwierdzenie nabycia spadku po Helenie Marmol zm. 12 czerwca 1987 r. w Brzesku, mającej ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Jadownikach gm. Brzesko. Zmarła była wdową.

Sąd wzywa spadkobierców Heleny Marmol do zgłoszenia się do tut. sądu i udowodnienia swych praw do spadku w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

OGŁOSZENIE



Kraków, 20 kwietnia 2020 r.

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Inflacja ma wielkie oczy

RAFAŁ WOŚ

Czy rosnące ceny w Polsce to faktycznie powód do zmartwienia i kara za złą politykę gospodarczą?

WEDŁUG EUROSTATU W MINIONYCH dwunastu miesiącach ceny wzrosły w Polsce o 3,4 proc. – najwięcej w całej Unii Europejskiej. Tymczasem np. w strefie euro inflacja utrzymuje się na poziomie poniżej 1 proc. Wątek „drożyny” próbuje oczywiście politycznie eksploatować obecna opozycja. Zazwyczaj odbywa się to przez wyciąganie z tzw. koszyka inflacyjnego jakiegoś pojedynczego towaru. Na przykład owoców lub pieczywa, które w ubiegłym roku podrożały o 6-7 proc. Takie zagrywki ze strony polityków można jeszcze zrozumieć. Znamienne jednak, że alarmistycznych tonów nie trzeba długo szukać nawet wśród zawodowych ekonomistów. Wprawdzie inflacji dwu-, trzy-, a nawet czteroprocentowej nikt nie nazwał katastrofą, z wielu ust padło już jednak złowrogie „cierpliwości...”. Według tej argumentacji rosnąca w Polsce inflacja to coś w rodzaju nadciągającej kary za złą politykę gospodarczą. Za „rozdawnictwo” czy „życie ponad stan na koszt przyszłych pokoleń”. Katastrofy tej wciąż

jeszcze nie widać, ale przecież kiedyś „na pewno” nadejdzie.

Przepełniony garnek

Wokół inflacji narosło wiele nieporozumień. Trudności dostarcza już sama odpowiedź, skąd się właściwie bierze? Pierwsza instynktowna odpowiedź głosi, że z „drukowania pustego pieniądza”. „Inflacja jest zawsze i wszędzie zjawiskiem monetarnym” – napisał w roku 1956 słynny ekonomista Milton Friedman. Na tym założeniu opierały się potem kolejne pokolenia ekonomistów i praktyków polityki ekonomicznej, których zwykło się nazywać „monetarystami”. Głosili, że w obiegu może funkcjonować pewna optymalna ilość pieniądza. Gospodarka – powiadali – jest jak garnek o określonej pojemności. Jeśli wlejemy do niego za dużo wody, to zacznie się rozlewać i wszystkich nas zatopi. Taką powodzią miała być właśnie inflacja – największe nieszczęście, jakie się może w życiu społecznym przytrafić.

Ta argumentacja trzymała się mocno aż do kryzysu 2008 r. Ale potem padła

w starciu z rzeczywistością współczesnej gospodarki nadpodaży. Tak się bowiem składa, że przez większość poprzedniej dekady rządy i banki centralne po obu stronach Atlantyku pompowały w gospodarkę grube biliony dodatkowych dolarów i euro na programy stymulacyjne i ratunkowe. Dzieje się to również teraz – w czasie pandemii. I co? No właśnie nic. Inflacja w Ameryce sięga „szokujących” 1,7 proc. A w ciągu całej minionej dekady tylko raz zbliżyła się do 4 proc. W strefie euro jest jeszcze gorzej, a euroland regularnie ociera się o doświadczenia deflacyjne.

Gdzie, jeśli nie w mitycznym „druku pustego pieniądza”, szukać przyczyn inflacji? Oczywistym podejrzanym jest – zdawałoby się – wzrost płac. Tu, owszem, jesteśmy dużo bliżej prawdy. Bo jeśli ludzie – zwłaszcza ci, którzy latami zarabiali słabo – zaczynają zarabiać lepiej, to stać ich na nierealizowaną wcześniej konsumpcję towarów i usług. Producenci się zaś do tego zwiększonego popytu dopasowują zwiększając produkcję. Ale też podnosząc ceny. Tutaj jednak drogi ekonomistów znów zaczynają się rozchodzić. Ci bardziej liberalni znów powołują się na Milтона Friedmana i powiedzą, że takie sprzężenie wzrostu płac i cen to zawsze zjawisko bardzo niebezpieczne. Powiadają oni tak: jeśli w ślad za płacami w górę będą szły także ceny, to zaraz płace znów będą musiały pójść do góry. Po czym w górę pomkną ceny. I tak w kółko. Z 3 proc. inflacji zaraz robi się nam więc 5 proc. Z 5 wskoczymy na 10. Z 10 wejdziemy na 20 proc. I tak dalej. Aż dojdziemy do hiperinflacji.

Lekcje z historii

Logiczne? Może i tak. Tylko że w prawdziwym życiu to tak nie działa. Zajrzyjmy do klasycznej pracy Steve’a Hankego i Nicholasa Krusa (obaj Uniwersytet Johns Hopkinsa) dotyczącej najbardziej spektakularnych hiperinflacji w historii. Znajdziemy tam wielu dobrych znajomych. Choćby przypadek Republiki Weimarskiej (1922-23). Jak szacują Hanke i Krus – ceny rosły tam średnio w tempie 20 proc... dziennie. Albo – jeszcze bardziej efektowną – hiperinflację węgierską (lata 1945-46), gdy ceny zwiększały się dziennie o 200 proc. Będą →

→ tam również (dużo mniej dramatyczne) polskie hiperinflacje z lat 1923-24 czy 1989-90. Oraz hiperinflacje najnowsze: te z Zimbabwe albo Wenezueli, które bywają przywoływane jako polityczne memento dla wszystkich ekonomicznych marzycieli.

Jeśli więc weźmiemy te wszystkie przypadki pod lupę, zobaczymy, że mają wspólny mianownik. Nie jest nim ani nadmierny wzrost płac, ani druk pustego pieniądza, tylko coś, co ekonomiści nazywają „szokiem podażowym”. Spójrzmy na Weimar. Tam owym „szokiem podażowym” była porażka w I wojnie światowej oznaczająca – z jednej strony – ogromną zapaść zdolności produkcyjnych niemieckiej gospodarki, z drugiej zaś ogromne reparacje narzucone przez Anglię i Francję. W efekcie niemiecka gospodarka nie była w stanie dostarczyć odpowiedniej ilości towarów, które chcieli konsumować (nawykli do pewnego poziomu rozwoju) obywatele. Niemcy musieli więc impor-

tować. Ale nie mogli, bo nie mieli za co. Na dodatek traktat wersalski zmuszał ich do... pompowania eksportu, by pozyskać złoto, w którym należało spłacać reparacje. Dopiero w takich warunkach mogła zacząć się nakręcać hiperinflacyjna spirala, po której zostało (żywe w Niemczech do dziś) wspomnienie pieniądza tracącego w oczach na wartości. Oraz społeczna trauma z tym związana.

I to jest właśnie stały schemat hiperinflacji: wstrząs polityczny (wojna, rewolucja), który prowadzi do załamania sił twórczych, w konsekwencji niezdolność gospodarki do obsłużenia popytu nawet na najpotrzebniejsze towary, a potem załamanie zaufania do państwa i własnej waluty, której wartość zaczyna się zniżać do papieru, na którym została wydrukowana. Ten schemat znajdziemy wszędzie. Od hiperinflacji z lat 1923-24 w biednej i wycieńczonej wojną II RP po współczesne Zimbabwe, gdzie radykalna i przeprowadzona pośpiesznie reforma prezydenta

Mugabego doprowadziła do załamania produkcji rolnej. W tym dwóch kluczowych filarów tamtejszej gospodarki: kukurydzy i tytoniu.

W tym schemacie mieści się także hiperinflacyjne doświadczenie późnego PRL-u. Tu „szok podażowy” brał się – jak pamiętamy – z trwającego przez lata 80. ostrego konfliktu politycznego (karnawał Solidarności, stan wojenny oraz jego konsekwencje), co nie pozwalało gospodarce wrócić do optymalnej produkcji z czasów wczesnego Gierka. To sprawiało z kolei, że gierkowskie inwestycje w rozbudowę i modernizację przemysłu nie dostały nawet szans, by się spłacić (nie wspominając o marnotrawstwie i błędach zarządzania, których nie udało się tamtej ekipie uniknąć również z powodów ideologicznych). W efekcie zadłużenie w dolarach z dobrej okazji (jaką było tanie kredytowanie w latach 70.) zmieniło się dekadę później w pułapkę zadłużeniową. Jeśli prezentowany tutaj tok rozumowania nie do końca zgadza się z narracją, do której większość czytelników zdążyła nawyknąć, nie jest to przypadek. Ostatnie pokolenie władców PRL-u (za zgodą solidarnościowej opozycji) zrobiło wszystko, by odsunąć od siebie odpowiedzialność za tę ekonomiczną katastrofę. Stało się to poprzez puszczenie w obieg wygodnej dla siebie (bo zdejmującej z nich odpowiedzialność) opowieści o „Gierku marnotrawnym”.

W rzeczywistości jednak winowajcą kryzysu hiperinflacyjnego był nie żaden Gierek (przez całe lata 70. inflacja nie przekroczyła nigdy 10 proc.), tylko raczej rząd Mieczysława Rakowskiego, który zdecydował się na faktyczny skok w kapitalizm, uwalniając w 1989 r. ceny żywności. Oliwy do ognia dolali zaś autorzy tzw. planu Balcerowicza. Oficjalnie ich misją było tamowanie inflacji (już wtedy kilkusetprocentowej). Robili to jednak poprzez takie narzędzia jak popiwek – czyli podatek od ponadnormatywnych wzrostów wynagrodzeń w przedsiębiorstwach państwowych. Brał się on właśnie z gorliwego monetarystycznego przekonania, że wzrost cen ma źródło wyłącznie w niekontrolowanym wzroście płac. Trzeba więc obniżyć płace, by ludzie nie mieli czego wydawać.

Pomińmy już antyspołeczny wymiar tamtych posunięć. Popiwek miał również tę konsekwencję, że *de facto* niszczył przemysł i krajową produkcję, skazując

Ś.†P.

Lonny Glaser

zmarła 16 marca 2021 r. w Wiedniu w wieku 96 lat.

Austriaczka wychowana w Polsce, całe dojrzałe życie poświęciła budowaniu mostów między dwoma krajami, które uważała za swoje dwie ojczyzny, wspieraniu polskiej nauki, kultury i Kościoła. W 1957 r. z inspiracji kard. Stefana Wyszyńskiego i przy wsparciu kardynała Wiednia Franza Königa założyła w Wiedniu Fundację „Janineum”, która nazwę zawdzięcza polskiej zakonniczce Janinie Wizer, ukochanej wychowawczyni Lonny w gimnazjum w Bielsku-Białej. Fundacja przyznała ponad sześć tysięcy stypendiów, nie tylko Polakom. Podczas stanu wojennego Lonny Glaser, kierująca wtedy austriackim Pax Christi, organizowała konwoje z pomocą humanitarną dla Polski, sprowadzała do Wiednia pacjentów wymagających specjalistycznego leczenia i pomagała polskim uchodźcom. W 1993 r. prezydent Lech Wałęsa odznaczył ją Krzyżem Komandorskim Orderu Zasługi RP, w 2008 r. otrzymała tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego. A jeden z dzwonów w bieńczyckim kościele Arce nosi imię Lonny.

Była wspaniałym, prawym człowiekiem o otwartym sercu. Żegnamy ją z wielkim żalem, a Jej córce, pani Annie Glaser, składamy najserdeczniejsze wyrazy współczucia i łączności w modlitwie.

„TYGODNIK POWSZECHNY”

polską gospodarkę na import towarów z zagranicy, co osłabiało pozycję złotego. Innymi słowy: plan Balcerowicza zamiast niwelować, zwiększał ów „szok podaźowy”, który jest źródłem doświadczeń hiperinflacyjnych. Jeden z najważniejszych adwersarzy Balcerowicza, a potem jego następca w roli ministra finansów, Grzegorz Kołodko pisał nawet, że polska hiperinflacja została wówczas wybrana świadomie. A jej celem było zwiększenie gotowości społeczeństwa do poniesienia kosztów terapii szokowej. Czyli mówiąc wprost: osłabienie pola do potencjalnego buntu czy oporu.

Pracownik w górę, rentier w dół

Aby zrozumieć zjawisko inflacji, trzeba bez wątpienia otworzyć głowę i odrzucić wielu myślowych kalek, które zostały w czasach neoliberalizmu podniesione do pozycji prawd objawionych. Na czele listy takich dogmatów do rozbicia jest przekonanie, że inflacja „uderza przede wszystkim w biednych”. Nie jest prawdą powtarzane czasem przekonanie, że ceny automatycznie dopasowują się do rosnących płac, a pracujący obywatele wychodzą „na zero”. W nowszej historii Polski mieliśmy okresy, gdy szybki wzrost płac wyprzedzał inflację. Oczywiście słabiej zarabiający Polacy łatwiej dostrzegają zmiany cen chleba, masła czy energii. Są po prostu bardziej przyzwyczajeni i wytrenowani w baczym obserwowaniu cen. Jednak wzrost płac powoduje, że jednocześnie zwiększa się faktyczna wartość ich portfela. I tak w czasie ostatniego szybkiego wzrostu płac przewaga dochodu nad wydatkami przeciętnego gospodarstwa domowego zwiększyła się z 30 proc. do 45 proc. To kolejny dowód, że inflacja (3-4 proc.) nie miała szans, by te wzrosty płac pożyć.

Oczywiście nie jest tak, że na inflacji nikt nie traci. Prawdziwym – choć sprytnie ukrytym na drugim planie – przegranym faz inflacyjnych jest zakumulowany kapitał. Ale – uwaga – nie każdy kapitał. Inflacja nie uderza bowiem ani we właścicieli nieruchomości (najbardziej konserwatywna inwestycja naszych czasów), ani też w kapitał zainwestowany w firmach (bo przecież kilkuprocentowa inflacja towarzyszy rozwojowi gospodarczemu). Na wzroście cen traci przede wszystkim pieniądź rentierski, niezainwestowany i bezproduktywnie odmalujący udziału w życiu gospodarczym. Nie chodzi tu

Prawdziwym przegranym inflacji jest beczynny kapitał rentierski.

Zwłaszcza że jednocześnie zwiększają się dochody i pozycja tych, którzy utrzymują się z pracy.

o tzw. drobnych ciułaczy. Jeśli mamy na niskoprocentowanej lokacie 10 tys. zł, to inflacja rzędu 5 proc. pożre nam zaledwie 500 zł w skali roku. To jeszcze nie jest dramat. Ale gdy mowa o 10 mln zł, realna strata rentiera rośnie do 100 tys. zł.

Im większy kapitał, tym inflacja szkodzi bardziej. Zwłaszcza że jednocześnie zwiększają się dochody i pozycja tych, którzy utrzymują się z pracy. Wniosek: moment inflacji połączonej ze wzrostem płac to hipotetycznie w zasadzie jedyny moment, gdy mogą się faktycznie zmniejszać społeczne nierówności.

W minionych 30-40 latach w rozwiniętych społeczeństwach działa się jednak dokładnie odwrotnie. W tym miejscu trzeba wrócić znów do Milтона Friedmana. W 1967 r. przyszły noblista wprowadził do gry koncepcję znaną dziś jako NAIRU, czyli z angielska *Non-Accelerating Inflation Rate of Unemployment* (dosłownie: stopa bezrobocia, która nie powoduje przyspieszenia inflacji). Działa to tak: według Friedmana istnieje konkretny poziom bezrobocia, który jest dobry dla gospodarki. A rząd oraz banki centralne nie powinny próbować schodzić poniżej tego poziomu. Dlaczego? Friedman dowodził, że jeśli państwo będzie parło do pełnego zatrudnienia, to nieuchronnie wywoła inflację. W demokracji rządy są zbyt podatne na głosy wyborców, z których zdecydowana większość to pracownicy. Dlatego prawdziwa władza musi zostać przesunięta do niedemokratycznego (oficjalnie nazywanego „niezależnym”) ośrodka władzy, jakim jest bank centralny. Bo to on może stać się jedynym gwarantem, który pozwoli uchronić interesy zakumulowanego kapitału przed wpływami inflacji.

Inflację powstrzymywać należy poprzez podwyższanie stopy procentowej, która jest niczym innym jak rodzajem płacy minimalnej dla kapitału. Gwaran-

tuje bowiem, że kapitał – choć beczynny – będzie generował zyski wyższe niż inflacja. Oczywiście polityka wysokich stóp procentowych schłodzi gospodarkę. Ale nic to! To nawet lepiej. Wyższe bezrobocie to mniejsza szansa, że pracownicy będą się mogli skutecznie domagać podwyżek płac. Nie będzie więc presji na nadmierny wzrost cen. W ten sposób interesy kapitału zostaną zabezpieczone.

To friedmanowskie przesłanie było pierwszym tak otwartym wypowiedzeniem wojny keynesowskiej koncepcji pełnego zatrudnienia, którą z powodzeniem stosowano na Zachodzie w złotych czasach powojennego kapitalizmu. Początkowo brzmiało jak herezja. Jednak już od lat 80. amerykańscy (a potem także zachodnioeuropejscy) politycy i bankierzy centralni w pełni je przyjęli. Od lat 90. zaś bankierzy centralni w stylu Alana Greenspana (szef Rezerwy Federalnej w latach 1987–2006) już nawet nie udawali, że interesuje ich coś innego niż walka z inflacją. A krytycy? W zasadzie nie mieli prawa głosu. Znamienne, że gdy w Polsce właśnie taką friedmanowsko-greenspanowską politykę monetarną (czyli dopuszczenie do wysokiego bezrobocia w zamian za niską inflację) prowadził w fotelu szefa NBP Leszek Balcerowicz (2001–07), to jako jedyny z polityków śmiało go krytykował Andrzej Lepper. Za co był z resztą gremialnie wyśmiewany jako nieuk albo (w najlepszym razie) populistą dążący do naruszenia świętej niezależności banku centralnego.

Przeszłości nie zmienimy. Możemy jednak wyciągać z tych inflacyjnych lekcji wnioski na przyszłość. I nie chodzi tylko o PiS i anty-PiS. Rzecz raczej w tym, by zrozumieć, jak działa współczesny kapitalizm. I by nie dać się zagnać z powrotem do pełnego przeinaczeń straszenia inflacją. Pod wieloma względami inflacja może być cennym sojusznikiem w budowie powszechnego dobrobytu.

© P RAFAŁ WOŚ

RDC JAKUB MAJMUREK opowie
Grzegorzowi Chłacie
Polskie Radio o dystopii i serialu „Nowy wspaniały świat” (czytaj tekst na s. 78) w środę 24 marca o godz. 7.30. Audycję można także odsłuchać w podcastach na stronie internetowej radia.
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl



Życie warte rozmowy

DR HALSZKA WITKOWSKA, SUICYDOLOG:

Samobójstwo nie jest postrzegane jako coś przyziemnego, co może przytrafić się ojcu czy babci. Filmy i książki utrzymują nas w przekonaniu, że samobójca jest kimś niezwykłym. To nieprawda.

ANNA KIEDRZYNEK: „Dzieje samobójstwa w chrześcijańskiej Europie to dzieje oficjalnego oburzenia i nieoficjalnego nieszczęścia” – pisze Al Alvarez w „Bogu Bestii”. Podmieńmy „oburzenie” na „przerażenie” i mamy jak ułał opis tego, co wokół tematu samobójczej śmierci dzieje się dzisiaj.

HALSZKA WITKOWSKA: To prawda. W nagłówkach mamy „przerażające statystyki”, „plagę” lub „epidemię” samobójstw. Teraz w przestrzeni publicznej mówi się o samobójstwach bardzo dużo i jednocześnie bardzo mało. To nadal jest tabu.

Tabu? Przecież widzimy liczby. 15 śmierci samobójczych dziennie. Setki prób. Pięć tysięcy ofiar rocznie w Polsce. To musi działać na wyobraźnię.

Wielkie liczby raczej odczłowieczają tych, którzy kryją się za statystykami. Są potrzebne, aby zwrócić uwagę opinii publicznej na problem, ale na pewno nie mówią wszystkiego.

Samobójstwo od wieków stanowiło temat tabu niemal na każdym gruncie: religijnym, prawnym, społecznym, kulturowym. W dziewiętnastowiecznej Rosji próby samobójcze były karane i dochodziło do kuriozalnych sytuacji, w których osoba poraniona po takiej próbie była potem wieszana przez kata. W Europie zwłoki samobójców zakopywano pod rozstajami dróg. Czasami w ich serca wbijano kołki, aby po śmierci samobójca nie przemienił się w wampira. Niekiedy odcinano rękę, którą człowiek dokonał takiego czynu. Kary, także te pośmiertne, miały odstraszyć ludzi od podejmowania prób zamachu na własne życie. Na to nakładało się podejście religii chrześcijańskiej, w myśl której samobójstwo to naj-

wiekszy grzech. Ludzie bali się zbłąkanej duszy takiego nieszczęśnika, więc jego zwłoki wynosili np. przez okno, by duch nie odnalazł powrotnej drogi do domu.

W czasach współczesnych dużo niedomówień zaistniało za sprawą literatury i filmu, które skutecznie zakłamały obraz samobójcy w zbiorowej świadomości zachodnich społeczeństw.

Zaczęło się od „Cierpień młodego Wertera”.

I toczyło się dalej w tym kierunku, a czyn samobójczy obudowany został masą mitów i romantyzujących stereotypów. W miejsce zbłąkanej duszy pojawia się dusza wrażliwa, twórcza i udręczona rzeczywistością. Dusza poety, pisarza, muzyka, ewentualnie altruisty, który poświęca swoje życie w imię wyższych celów albo ratowania innych. W latach 70. pojawia się dodatkowo narracja o straceniach z „Klubu 27”, czyli muzykach, którzy żyli szybko i umierali młodo. W dziełach filmowych i literaturze samobójcy pozostawiają po sobie długie, pięknie napisane i pełne pasji listy. Giną w romantycznych okolicznościach. Są niezrozumiani, ale fascynują. Niewiele ma to wspólnego z prawdziwym obrazem samobójstwa, które jest przepełnione cierpieniem, samotne, wstydliwie poukrywane na strychach, w piwnicach i lasach. Prawdziwego obrazu boimy się nadal.

Potężny lęk przed czymś nieznanym, brutalnym, a do tego niezrozumiałym, ni-

gdy do końca nie zniknie. Ale też jeszcze nigdy w historii nie mieliśmy tylu narzędzi, aby skutecznie przeciwdziałać samobójstwom.

Gdyby to było tak proste, statystyki wyglądałyby inaczej.

Nie twierdzą, że to jest proste. Proszę dla porównania wyobrazić sobie proces tworzenia kampanii przeciwdziałającej prowadzeniu pojazdów pod wpływem alkoholu. Wiemy, kto powinien być grupą docelową takiego przekazu, do kogo trzeba skierować propozycje szkoleń i kto ma za to zapłacić. Prewencja samobójstw jest znacznie bardziej skomplikowana. Kogo powinna objąć? Podam przykład: operatorzy numerów alarmowych. Ostatnio skończyły się fundusze na infolinię dla osób w kryzysie psychicznym, którą prowadziła Fundacja Itaka. Teraz ludzie z myślami samobójczymi dzwonią najczęściej na 112. My jako Polskie Towarzystwo Suycydologiczne dostajemy coraz więcej sygnałów od operatorów, że nie wiedzą, jak z takimi osobami rozmawiać. Potrzebują przeszkolenia i narzędzi. Kolejne grupy: psychologowie, psychiatrzy.

Przecież to oni są specjalistami.

Na pewno jest wielu psychologów w Polsce, którzy doskonale wiedzą, jak postępować z osobami w kryzysie albo rodzinami w żałobie suycydalnej. Jednak nie wszyscy. Ostatnio zgłosiła się do mnie kobieta, która po samobójczej śmierci siostry usłyszała od terapeutki, że ma się nie przejmować, bo jej siostra to „głupia egoistka”. Takie słowa, nie dość że fałszywe, są po prostu w tego typu sytuacjach niedopuszczalne. One tylko pogłębiają traumę.

Kto poza psychologami potrzebuje przeszkolenia?

Strażacy. Zdarza się, że ściągną kogoś z przysłówiowego mostu albo dachu, rozmawiają z tą osobą, negocjują. Lekarze pierwszego kontaktu, którzy znają swoich pacjentów i mogą wyłapać niepokojące zmiany w ich zachowaniu. Policjanci, którzy interweniują po próbach samobójczych albo odnajdują zwłoki i muszą powiadomić bliskich zmarłego. Funkcjonariusze powinni wiedzieć, jak się w takiej sytuacji zachować, co powiedzieć, jak zaopiekować się rodziną, która doświadczyła takiej traumy. Dalej: pracownicy oddziałów toksykologicznych – bo tam często trafiają pacjenci po pró-

Jesteś w kryzysie?

Pamiętaj! W sytuacji zagrożenia życia zawsze dzwoń na numer alarmowy **112!**

116 123 – bezpłatny Kryzysowy Telefon Zaufania dla dorosłych, dostępny codziennie w godzinach 14.00–22.00

116 111 – całodobowa i bezpłatna pomoc telefoniczna dla dzieci i nastolatków

800 080 222 – całodobowa i bezpłatna infolinia dla dzieci i młodzieży, rodziców oraz nauczycieli

22 594 91 00 – Antydepresyjny Telefon Zaufania Forum Przeciw Depresji

800 012 005 – Telefon Pogadania (wsparcie dla samotnych osób starszych, czynny codziennie w godzinach 15.00–20.00)

12 333 70 88 – „Dobre Słowa – telefon dla seniorów”, dostępny codziennie w godzinach 10.00–12.00 oraz 17.00–19.00

bach. Pracownicy działów obsługi klienta w bankach – bo człowiek, który chce się zabić, często bywa zagoniony w kąt przez problemy finansowe. Jeżeli ktoś nie płaci, a podczas rozmów z bankiem jest przegaszony, milczący, źle wygląda, warto zainteresować się jego samopoczuciem i w razie potrzeby poinformować, gdzie możliwe jest uzyskanie pomocy. Dalej: nauczyciele i pedagodzy. Tu chyba nie trzeba wyjaśniać, dlaczego.

Dziennikarze, którzy powinni zdać sobie sprawę, że to, w jaki sposób piszą o tym zjawisku, realnie przekłada się na statystyki. Niedopuszczalne jest publikowanie szczegółowych okoliczności zdarzenia, zdjęć zmarłego lub zmarłej oraz fragmentów listów pożegnalnych, nawet jeśli taka osoba umieściła je na powszechnie dostępnym portalu społecznościowym.

Dlaczego jest to tak istotne?

Z powodu ryzyka wystąpienia tzw. efektu Wertera. Wszystko, co może pomóc osobie w kryzysie suycydalnym identyfikować się z samobójcą opisanym w artykule, jest potencjalnie niebezpieczne. Może pchnąć ją do zrobienia sobie krzywdy lub, co gorsza, podsunąć pomysł, w jaki sposób to zrobić. Na szczęście badacze udowodnili, że istnieje także zjawisko odwrotne, czyli efekt Papagena.

Dzięki odpowiednio wyważonym informacjom i podaniu np. numeru infolinii kryzysowej dziennikarz może komuś realnie uratować życie.

Każdy z nas może zrobić wiele w temacie prewencji samobójstw. Dlatego warto mówić głośno o demedycyzacji kryzysu suycydalnego.

To znaczy?

Wróćmy na chwilę do statystyk. Na 15 samobójstw dziennie w Polsce 12 popełniają mężczyźni. Większość z nich ma od 40 do 60 lat. Mieszkają na wsiach lub w małych miasteczkach. Często są bezrobotni, wielu cierpi dodatkowo na uzależnienie od alkoholu. Ten statystyczny obraz polskiego samobójcy nie zmienia się od lat.

Nietrudno zgadnąć, że w tej grupie dostęp do specjalisty zdrowia psychicznego jest poważnie utrudniony. Człowiek w kryzysie nie ma do kogo się udać, bo najbliższy psychiatra urzęduje w mieście powiatowym, albo po prostu nie chce do niego iść, bo obawia się etykiety „wariata”. Na wsi temat zdrowia psychicznego to przecież kolejne tabu. Z kim taki człowiek ma porozmawiać? Zwłaszcza jeżeli jest rozwodnikiem albo wdowcem? Do terapeuty też nie pójdzie, bo nie ma pieniędzy albo się wstydzi. Ale może pójść do księdza. Niestety, w temacie samobójstw panuje wśród duchownych psychologia. Z ankiety przeprowadzonej w poznańskich parafiach wynika, że większość księży uważa, iż samobójstwa to nie ich sprawa. „Od tego są specjaliści. Poza tym w mojej parafii nie ma takich problemów” – napisał w ankiecie jeden z księży. Tak, czasem interwencja lekarska jest konieczna, ale nie oszukujmy się: nie każdy w porę uzyska pomoc.

Co w takim razie może zrobić ksiądz?

Między człowiekiem w kryzysie samobójczym a psychiatrą potrzebny jest bufor – i ksiądz, podobnie zresztą jak nauczyciel, nadaje się do takiej roli idealnie. Nie musi robić wiele, wystarczy że tego człowieka wysłucha, podpyta o jego sytuację, poda numer infolinii pomocowej. Prewencja samobójstw nie polega na wielkich gestach. Często wystarczy bardzo niewiele, żeby wyrwać człowieka ze stanu, w którym rozważa odebranie sobie życia. Jednak do tego potrzebne są narzędzia, podstawowa wiedza z zakresu suycydologii.

→ Jak ją zdobyć?

Np. w internecie, choćby na stronie czytawartejestroznowy.com lub stronie facebookowej kampanii, można też skontaktować się z Polskim Stowarzyszeniem Suicydologicznym i poprosić o szkolenia dla większej grupy. Niedługo w Wyższej Szkole Menadżerskiej w Warszawie ruszają pierwsze w Polsce podyplomowe studia z zakresu suicydologii. Osoby, które je ukończą, poniosą tę wiedzę dalej, wyszkolą innych, a ci będą szkolić kolejnych chętnych. Ta wiedza się rozleje, a prawdziwa dyskusja o samobójstwie, nieobciążona fałszywymi mitami, wreszcie będzie możliwa na szeroką skalę. Taką mamy nadzieję.

Dlaczego tak wiele osób odbiera sobie życie na wsi i w małych miastach?

Poza oczywistymi przyczynami – gorszą sytuacją materialną, utrudnionym dostępem do psychiatry, społecznym tabu – są jeszcze inne. W Polsce mało mówi się o tym, że czynnikiem wpływającym na ryzyko samobójstwa jest niższe wykształcenie. Osoby gorzej wykształcone mają bardziej ograniczone możliwości szukania pomocy, bo nie wiedzą gdzie i jak się po nią zwrócić. Często też mają zawężone perspektywy w kwestii rozwiązywania swoich problemów. Kolejny problem to tzw. deprywacja potrzeb. Z badań przeprowadzonych w Wielkiej Brytanii i Australii wynika, że w miejscach, w których panuje duża bieda, jest mniej samobójstw niż tam, gdzie na jednej przestrzeni mieszkają zarówno ludzie bardzo biedni, jak i bardzo bogaci. Jeżeli na wsi jedna rodzina ma kilka samochodów, a drugiej nie stać na podręczniki i buty zimowe dla dzieci, to ryzyko zachowań autodestrukcyjnych u tych drugich wzrasta. Bo patrzą na zamożnego sąsiadę i wiedzą, że nigdy nie przeskoczą tej poprzeczki, nawet jeśli będą ciężko pracować. Programy telewizyjne o życiu bogaczy i filmiki jutuberów, którzy chwalą się nowymi gadżetami i wyścigami, pogłębiają mechanizm deprywacji potrzeb, zwłaszcza u ludzi młodych.

Kolejna kwestia to wiek i płeć. O mężczyznach już mówiłam, ale warto też zwrócić uwagę na inne niepokojące zjawisko: coraz częstsze samobójstwa ludzi starszych. Takie osoby są szczególnie osamotnione i często pozbawione możliwości uzyskania pomocy psychologicznej. O tym nie mówi się prawie

w ogóle. Bo samobójstwo nadal nie jest postrzegane jako coś przyziemnego, co może przytrafić się czyjemuś ojcu, wujkowi, babci.

W swojej książce „List samobójcy” odkłamuje Pani romantyczny mit, o którym rozmawialiśmy wcześniej.

Ponieważ jest on szkodliwy. Filmy i książki utrzymują nas w przekonaniu, że samobójca jest kimś niezwykłym, niepodobnym do zwykłych śmiertelników. To nieprawda. Gdy w ramach pracy doktorskiej badałam autentyczne listy pozostawione przez samobójców, uderzyło mnie to, jak dużo jest w nich wstydu. To nie są poetyckie wypracowania.

Czasami ktoś zostawia po sobie trzy zdania, a czasami trzy słowa. Kreśli je na tym, co ma pod ręką: paragonie, świstku papieru, ulotce. Zostawia numer i hasło do konta bankowego, przeprasza rodzinę, prosi o wybaczenie. To nie są starannie przemyślane komunikaty, bo człowiek w takiej sytuacji nie znajduje w sobie siły, żeby zadbać o formę. Brak sił, zmęczenie, wyczerpanie – taki temat też pojawia się w listach. Są one świadectwem ogromnego cierpienia, które nie ma nic wspólnego ze wzniosłością znaną z literatury i filmów. Samo napisanie takiego listu to wyjątek, bo tylko od 12 do 30 proc. osób odbierających sobie życie pozostawia jakąkolwiek notkę. Dla większości spisanie ostatnich słów jest zadaniem ponad siły.

Musimy zrozumieć, że samobójca to człowiek taki jak my, który doznał ogromnego cierpienia. Z tych listów wyłania się ludzie zwyczajni, w pewnym sensie bliscy także i mnie. W ostatnim momencie ważne dla nich okazały się rzeczy prozaiczne: oddanie długów, uporządkowanie spraw, organizacja pogrzebu. To były osoby, które każdy z nas mógł mijąć na ulicy. Dlatego moim zdaniem tak istotne jest, aby zacząć myśleć o samobójcy jako o kimś żywym, kogo możemy jeszcze uratować.

Czyli każdy z nas może być takim „buforem”?

Zdecydowanie. Drugi człowiek, który empatycznie wysłucha i nie wyśmiewa osoby w kryzysie samobójczym, działa jak pierwsza pomoc w ratownictwie: może i nikogo nie wyleczy, ale może kogoś odciągnąć od przepaści. Suicydolog profesor Brunon Hołyst lubi mawiać,

że zwykła uprzejmość potrafi uratować ludzkie życie.

Ze stanu presuicydalnego można człowieka wyrwać, dając mu przestrzeń na wygadanie się. Trzeba zrozumieć, że taka osoba patrzy na świat w sposób zawężony. Wydaje się jej, że jest beznadziejna, wszystkim przeszkadza i że powinna uwolnić świat od swojego ciężaru.

Trudno jest jej pomóc w takim sensie, że niemożliwe byłoby stworzenie kampanii społecznej, która przemówi do każdego potencjalnego samobójcy. Przyczyny zachowań suicydalnych są w końcu bardzo różne. Czasami towarzyszy im choroba psychiczna, np. depresja, ale nie zawsze. Dlatego tak kluczowe jest uwrażliwianie na te kwestie otoczenia, czyli nas wszystkich. Potencjalnie każdy z nas może kiedyś mieć do czynienia z osobą w stanie presuicydalnym. Dlatego bądźmy na siebie uważni. Rozejrzmy się wokół. Znajomy z pracy izoluje się od ludzi, kiepsko wygląda, chudnie w oczach? Zaprośmy go na kawę, zapytajmy, co się dzieje. Nasza sąsiadka straciła pracę i zachorowało jej dziecko? Zaprośmy ją na spacer. Poświęćmy jej pół godziny, wysłuchajmy. Nie pytamy: „Co słychać?”, tylko: „Jak sobie radzisz?”. A gdy powie: „Wiesz, czasem myślę, żeby z tym wszystkim skończyć”, nie zbywajmy tego machnięciem ręki. Nie mówmy: „Daj spokój, nie gadaj głupot, popatrz na Halinę, ona ma jeszcze gorzej”. Nie obracajmy tego w żart. 80 proc. samobójców wspomina wcześniej o swoim zamiarze znajomym lub rodzinie. Nie bagatelizujmy takich słów. To normalne, że się ich boimy, i że czujemy się niezręcznie, słysząc je. Nikt nas nie nauczył, jak o tym rozmawiać. Dlatego, gdy je kiedyś usłyszymy, miejmy z tyłu głowy taką myśl: moja reakcja może tej osobie uratować życie.

© Rozmawiała ANNA KIEDRZYNEK



ARCHIWUM PRYWATNE

DR HALSZKA WITKOWSKA jest członkinią Zarządu Polskiego Towarzystwa Suicydologicznego. Jedną z inicjatorek

ogólnopolskiej kampanii społecznej „Życie warte jest rozmowy”, mającej na celu propagowanie prewencji samobójstw.

DOROTA

Masłowska: *Lalo-balo*



PAPIROSY-PAPIROSY, PIĘKNA PANI, LALO-BALO! – wychrypiął kiedyś do mnie u wlotu Bakalarskiej pewien Ormianin, wodząc kusząco dłońmi po rozepchanych kieszeniach czarnego skajowego serdaka.

Ta pochwała podrabianych wyrobów tytoniowych, połączona z zachętą do flirtu w samorobnym esperanto, była tak ostentacyjnie absurdalna, że oboje się roześmialiśmy. To porozumienie w nieporozumieniu przypominam sobie zawsze, przyjeżdżając do warszawskiego chinatownu. Chinatownu nietypowego o tyle, że jest wietnamsko-afrykańsko-ukraińsko-ormiańskie. To jest jak przyjechać tramwajem do jakiegoś nieprawdopodobnego, suwerennego śródkraju. Jego ogrodzenie, zadaszenie i ogólna architektura przepierzeń, ciasnot, kanciap, kotarek i kantorków nadaje mu niepowtarzalny, abstrakcyjny mikroklimat.

Właściwie już wcześniej, na rogu alei Krakowskiej, w orbicie bazaru rezydują niestrudzone, całodobowe sejmiki papirosiarzy. Regenerując cyklicznie siły życiowe w rozklekotanym wózku z kawą, którego powierzchnie obklejono strategicznie różnymi książeczkami i bohaterami nieznanym nam bajek, czarnoocy mężczyźni w fantazyjnych koszulach i weselnych butach z wąskimi szpicami nigdy nie tracą zapалу do swego szeptanego marketingu. Wśród sztucznych kwiatów i wiązanek pogrzebowych kręcą się w rzadkim przedwiosennym śniegu, morsują w swych oceanach wolnego czasu. Knują, przyczajają się, marudzą, obserwują. Dyskutują, popijając smolistą kawkę i kopiąc jak smoki, w napadach saudade przyjmując czasem pozycję kuczną. Czmychają bezszelestnie na widok straży miejskich, antycypując zaś zbliżanie się potencjalnych nabywców jednomyślnie zstępują się, tworząc rzadko używaną w Polsce figurę kupiecką „szpaler”. Pani, papirosy, papirosy, pani tanio – mantrują potajemnie, nisko, ochryple, urabiając i hipnotyzując osaczającego przechodnia.

Dalej bardziej zindywidualizowane, poruszające się pojedynczo lub w dwójkach papirosiary, baby. Malowane, suto zdobione, z rzęsami, z perłowymi powiekami, zakutane w kurtki, chusty, obrusy z frędzlą, futra z różowych niedźwiedzi. Papirosy? papirosy? Ej, pani – nęcą swymi przestęrowanymi, nikotynowymi barytonami. Za ich plecami rozciąga się wietnamskie zagłębienie manicurów hybrydowych i fryzur. Więc głowy, mnóstwo głów, atrapy i prawdziwe, pochylone w skupieniu albo puste, bezokie. W niektórych zakładach na patencie – ze względu na niedobory języka polskiego – wiszą po prostu ponumerowane zdjęcia z gotowymi fryzurami do wyboru. Zza drzwi niesie się niesamowity zapach chemikaliów do przyklejania tych różnych atrybutów urody: rzęs, brwi, baków, różnych doczepów, wypustek. Ta mania doklejania rymuje mi się jakoś dziwnie z wszędobyłskimi tu manekinami, bledziutkimi i nagimi. Samodzielnymi nogami albo torsami nieraz beładnie rzuconymi na kopy, a czasem przeciwnie – salutującymi brakiem rąk w zdyscyplinowanych dwuszeregach. Świdrujący fetor butaprenów kosmetycznych miesza się z zapachem zupy pho, gotowanego w parowarach ryżu, dziwnych warzyw i owoców; smrodkiem podrobów i owoców morza sprzedawanych w wietnamskich sklepikach, zaś obsesyjne zaklinania, podszepty, a czasem przynaglenia i groźby handlowe (tanio! tanio kup. Spódnica, pani, spodnie) z radzieckim disco-dance dobiegającym zza klombów majtkowo-stanikowych. To czyni jeszcze bardziej hipnotycznym ten dziwny, przebudowujący się bezustannie labirynt toreb sumek, kartonów, kop zdeparowanych adidasów, pękających z obfitości kiści koronkowych cyckonoszy; nawisów wielobarwnych maseczek i maseczek.

Ścieżki wyznaczają kartony, rzucone na chodnik elementy jakichś mebli, szaf. Bluzki, setki bluzek. Futra, futerka, poncza. Szczypiące w oczy kolory, rakotwórcze desenie, aplikacje potworniaki miksujące ze sobą cekiny, tworzywa, plusze, skaje. Wreszcie – kalekie napisy, nieporadne skądś odkałigrafowane. I ten niezwykły język. Polski biznesowy fonetyczny. Kiedyś nawet byliśmy świadkami awantury Afrykanki i Azera o, jak się zdaje, komplet opon – jedynym możliwym językiem, w jakim mogli się tu pokłócić, była polszczyzna. Polszczyzna-nieojczyzna; bez Kochanowskiego i Mickiewicza, z elementami mowy ciała; płytka, bezgramatyczna, ale niezwykle, obsesyjnie wręcz komunikatywna. „Lalo-balo” znaczy w niej tyle, co „a my się i tak nie rozumiemy, więc możemy sobie gadać, co nam się rzownie podoba”. ©

TP JUŻ W NASTĘPNYM, WIELKANOCNYM WYDANIU „TYGODNIKA” ZNAJDĄ PAŃSTWO DODATEK

POWRÓCIŁY. WIELKA GALA ARRASÓW NA WAWELU

Dr hab. ANDRZEJ BETLEJ, dyrektor Zamku Królewskiego na Wawelu:

Michiel I Coxcie, twórca projektów arrasów biblijnych, był określany mianem „Rafaela Flamandzkiego”.

Ranga krakowskich arrasów porównywalna była z najszlachetniejszymi arrasami wykonanymi według kartonów Rafaela.



**ZAMEK
KRÓLEWSKI
NA WAWELU**

ZAPRASZAMY DO LEKTURY!



DROGA KRZYŻOWA ROZCZAROWANYCH

Chrystus cierpi dziś w tych, których Kościół zawiódł, zostawił, osądził – zamiast zrozumieć.

IGNACY DUDKIEWICZ

I

Jezus na śmierć skazany

WIELE ODCHODZI. ODCHODZĄ ZNAJOMI, przyjaciele i przyjaciele, ktoś z rodziny. Jedni dokonują apostazji, inni odchodzą po cichu. Przeszli wiele, bili się z myślami, ostatecznie uznali, że wyborem uczciwszym, bardziej zgodnym z ich sumieniami, jest odejść. Są też tacy, co trwają, choć nie jest im łatwo. Zmagają się. Walczą o zmianę. Albo udają się na wewnętrzną emigrację. Wielu jest nas – czujących frustrację, gniew, osamotnienie.

Każda historia jest inna. Ale są motywy, które powtarzają się jak refren. Podobne emocje. Doświadczenia. Dylematy. Etapy. Niektóre z nich przypominają stacje drogi krzyżowej. Odważna metafora? Może. Ale przecież jesteśmy wezwani do odnajdywania siebie w doświadczeniu Jezusa. A Chrystus cierpi dziś także w tych, których Kościół – wspólnota i jej liderzy – zawiódł, zostawił, ocenił, osądził, zamiast zrozumieć. W tych, którzy są na którejś ze stacji swojej drogi krzyżowej.

*Platforma widokowa z krzyżem.
Tyrol Południowy, Włochy,
31 lipca 2020 r.*

Jak często słyszeć tę pretensję. „Kim jesteś, żeby krytykować biskupów?”. „Nie kalaj własnego gniazda!”. „Nie powinieś nazywać siebie katolikiem”. „Sam stawiasz się poza Kościołem”. Odchodzący, wątpiący, krytykujący, pytający – ciągle są poddawani w naszym Kościele sądowi. Zbiera się Sanhedryn i grzmi. „Byłaś w Oazie, a teraz na Strajku Kobiet?”. „Twoja wiara jest niedojrzała”. „Kto wierzy naprawdę, ten nie odejdzie, nie zgorszą go problemy Kościoła” (cóż za eufemistyczne określenie systemowego krycia gwałtów na dzieciach!).

Nie sądzi ktoś spoza wspólnoty, żaden Piłat nie umywa rąk. Wspólnota sama bierze się do sądenia, często bez litości. Nie chce słuchać. A w odpowiedzi na krytykę pyta tylko: „Tak odpowiadasz arcykapłanowi?”.

II

Bierze krzyż na swoje ramiona

Chrystus wziął krzyż na swe ramiona, ale przecież nie zgłosił się na ochotnika. Ktoś

Go zdradził, ktoś pojmał, więził, prowadził przed kolejne trybunały, biczował. Wreszcie ktoś Mu ten krzyż na barki włożył – zbyt był ciężki, by go po prostu podnieść. Sąd, który sędzi człowieka, a nie widzi okoliczności, jest ślepy na jedno oko. Sąd, który nie widzi, że sam jest częścią systemu ze wszystkimi tego konsekwencjami, nie może sądzić sprawiedliwie. Sąd, który nie ma na celu uratowania każdego i każdej, nie jest ewangeliczny.

III

Upada po raz pierwszy

Kolejne odłony kryzysu nie przynoszą niemal niczego nowego, ale ich oglądanie jest obowiązkowe – w imię prawdy, solidarności z pokrzywdzonymi, przyzwyczajenia. Tego wszystkiego, o czym zdaje się nie myśleć większość biskupów. Słuchamy więc kolejnych doniesień, czytamy wyniki dziennikarskich śledztw, śledzimy kolejne skandale. Wreszcie przestajemy sobie zadawać pytania o to, jak to było możliwe, bo rozumiemy coraz więcej. Za-uwazamy zepsuty system, niezdolnych do zmiany działania biskupów obarczonych własnymi biografiami i winami, →

→ strukturę. A im bardziej widzimy przegniłą instytucję, tym trudniej jest nam w niej odnaleźć siebie – człowieka.

IV

Spotyka swoją Matkę

Wbrew sądowi o niepogłębionej wierze często to właśnie sfrustrowani i porzuceni przez hierarchów katolicy idą w głąb. Czytają. Szukają. Dowiadują się. Uzmysławiają sobie, jak ważne są dla nich sakramenty. Jak bardzo nie chcą odchodzić z Kościoła, w którym spotkali Chrystusa, bo przecież to dla Niego w nim trwają – nie dla tego czy innego biskupa plotącego androny, siejącego nienawiść, kryjącego zbrodnie, udającego idiotę przed kamerami telewizyjnymi. Im gorzej jest im w Kościele lokalnym, tym bardziej poszukują wiary w Kościół powszechny. Dostrzegają, że ten Kościół – Matka nasza – może być poukładany inaczej. Otwarty na wykluczanych. Ewangelizujący. Przyznający się do winy.

I pytają: kiedy taki będzie możliwy u nas? Czy na tej drodze do niego dostrzeżemy?

V

Szymon z Cyreny pomaga nieść krzyż Jezusowi

Pomoc przychodzi często z nieoczekiwanej strony. Od rozumiejących znajomych spoza Kościoła, którzy akurat nie oceniają ani trudności, ani samego trwania w Kościele. Od osób, które też mają doświadczenia bycia we wspólnocie, która wiele daje, ale w której relacje bywają toksyczne. W miejscu, w którym odnajdujemy sedno swojej tożsamości, a jednocześnie doświadczamy opresji. W instytucji, w której najistotniejsze jest to, co ją przekracza, z czego trudno zrezygnować, ale która sama w sobie frustruje i tak często to, co najważniejsze, skutecznie zakrywa.

Albo po prostu od kogoś, kto – niezależnie od tego, z jakich pozycji wychodzi – zwyczajnie zada pytanie o samopoczucie lub domyśli się trudnych doświadczeń, i wysłucha odpowiedzi. Bez oceniania, bez moralizowania, bez trywializowania.

Jak Szymon.



JACEK TARAN

„Odzyskajmy nasz Kościół” – protest katolików pod kurią biskupią w Krakowie,
10 października 2019 r.

VI

Weronika ociera twarz Jezusa

Nie zawsze trzeba czekać na kogoś z zewnątrz. Wędrującym katolikom i katoliczkom pomagają też ich bracia i siostry w wierze. Trafiamy więc do księży, którzy potrafią pomóc. Często tych samych. Wysyłamy sobie ich nazwiska, numery, adresy. Robią to wierzące osoby LGBT+, kobiety po doświadczeniu aborcji albo stojące przed podobną decyzją, osoby wykorzystane i skrzywdzone w Kościele, wierni poszukujący i wątpiący, mający dość. I niekiedy rzeczywiście znajdujemy ukojenie i nadzieję. W rozmowie, rozumiejącej spowiedzi, w umiejętnym wskazywaniu na Tego, o którego naprawdę w tym wszystkim chodzi.

VII

Upada po raz drugi

Chrystus upada po raz drugi – zapewne pod samym ciężarem krzyża, Jego skatowane ciało nie daje już rady. Nic nie wiadomo o tym, by ktoś Go wtedy popchnął, podstawił Mu nogę. Ale jakże wymowne jest to, że nikt nie pomaga Mu wstać.

Nie trzeba krzyczeć, by szydzić. Czasami wystarczy milczeć, by lekceważyć cierpienie. Ile razy pytaliśmy: czemu milczycie? Tak pięknie mówicie o Ewangelii, znacie Pismo, historię, w prywatnych rozmowach potraficie mówić mocno, twardo, bez owijania w bawełnę. Ale publicznie maksimum waszych możliwości wyjścia przed szereg to pół dużego palca u stopy. Nieznośne jest to milcze-

nie „sensownych” biskupów, tych „rozsądniejszych”, „umiarkowanych”, „rozumiejących”. Milczenie w sprawie nagonki na mniejszości. Krycia przestępstw seksualnych nie w ogólnym sensie, ale gdy trzeba wprost skrytykować kolegę. Mariażu Kościoła z władzą. Oburzających wypowiedzi innych hierarchów.

Przestajemy więc pokładać nadzieję nawet w tych, co piszą ładne rozważania i wygłaszają dobre konferencje. Przestajemy wierzyć, że ktoś pomoże wstać tym, którzy już tak długo leżą, skoro tych, którzy może i widzą nieco więcej, nie stać na zrobienie kroku w ich stronę.

VIII

Spotyka płaczące niewiasty

Szukamy więc siebie nawzajem – tych, którzy też doświadczają podobnych stanów i trudności. Świeckich, zakonnic i zakonników, księży – tak często również niewysłuchiwanym, samotnym, niezrozumianym przez przełożonych czy współbraci. Pocieszamy się wzajemnie, licząc, że coś z tego zostanie. Że to pomoże. I pomaga, bo gdzie dwóch lub trzech... – więc jest łatwiej, lepiej, solidarniej. W modlitwie. W rozmowie o Piśmie i lekturach. W małych wspólnotach. W grupach w mediach społecznościowych. W spotkaniach przez internet. W proteście, gdy wie się, że nie jest się tam wcale jedyną osobą wierzącą. Jedynym pytającym katolikiem. Jedyną niezgadającą się wierną.

Bo jest nas więcej. Jest nas wielu i wiele. Zobaczyć się nawzajem – to już sporo. Dotknąć wzajemnie swoich ran – to już wspólnota.

IX

Upada po raz trzeci

A kiedy nie dajemy już rady, to czasem robimy sobie przerwę, bo mamy dość. Przystajemy się modlić, bo modlitwa kojarzy nam się z opresyjną wspólnotą, w której się jej nauczyliśmy. Odkładamy spowiedź, bo boimy się, jak przebiegnie. Nie idziemy na mszę, bo czasowo odrzuca nas nawet kościelna przestrzeń, a pandemia tym bardziej sprzyja takiemu wyborowi.

Przekonujemy się (i słusznie), że mamy do tego prawo. Ale wielu z nas nie słyszy wtedy głosów wsparcia, zrozumienia, pytania, czy wszystko w porządku. Wiele słyszy głos sędziego – którym jest drugi lub my sami. Że to porażka. Że to dowód, że naprawdę nic nie rozumiesz. Że Kościół nigdy nie był dla ciebie ważny, skoro dajesz za wygraną. Że nie chodzi o ciebie i twoje emocje, ale o Chrystusa.

A przecież od czasu Wcielenia gdy chodzi o Boga, to zawsze chodzi też o człowieka.

X

Z szat obnażony

Nasze trwanie w Kościele mimo wszystko staje się coraz bardziej niezrozumiałe – również dla osób spoza niego. Pytają, jak możemy być w instytucji, która kryła takie czyny. Jak możemy być częścią Kościoła, który bardziej troszczy się o swoją dominację kulturową, ekonomiczną i polityczną niż o zbawienie? Zarzucają, że legitymizujemy organizację, którą tak krytykujemy. Dlaczego wciąż tam chodzimy?

Stajemy więc coraz bardziej nadzy, coraz bardziej obnażeni – zawsze pomiędzy. Dla jednych niewystarczająco ortodoksyjni (jakże by się chciało, by polscy biskupi przestali mieć usta pełne frazesów o ortodoksji, a zamiast tego zaczęli dbać o własną ortopraksję!). Dla innych współwinni i nieumiejący się wyzwolić. Przecież także te słowa będą dowodem w sprawie dla jednych i drugich. A kto nie chce już być sądzony, lecz wysłuchany, tego tym bardziej odziera się z szat.

XI

Przybity do krzyża

Wielu katolików i katoliczek w kryzysie przeżywa jakieś jego epicentrum, kulmi-

nację, moment węzłowy. Często nie są to słowa najbardziej oburzające, sprawa najbardziej bulwersująca, milczenie najbardziej doniosłe. Kropla, która przelewa kielich, nie musi być duża. Wystarczy, że jest kolejna.

XII

Umiera na krzyżu

Chrystus nie umiera na krzyżu bezgłośnie. Wypowiada słów niewiele, za to kluczowych. Zawija wspólnotę między tymi, co zostają, nie pozwalając im na osunięcie się w beznadzieję: „Oto matka twoja, oto syn twój, oto nie jesteś sam”. Człowiekowi ze złamanym życiorysem i poplątanym wnętrzem obiecuje raj. Tęskni, doświadcza samotności, pyta w niebo: „Czemuś Mnie opuścił?”. Wreszcie mówi: „Pragne!”.

XIII

Zdjęty z krzyża

Wspólnota, która wspiera. Obietnica, której można wierzyć. Tęsknota, która prowadzi do miłości. Pragnienie, które może być zaspokojone.

To trwanie mimo wszystko często wymaga przepracowania. Uświadomienia sobie swoich ograniczeń, potrzeb, granic.

Przewartościowania, odrzucenia tego, co zbędne, co niestałe, co wtórne. Wyzwolenia, wyjęcia gwoździ, przebaczenia. To proces trudny, bolesny, kosztowny. Niekiedy dosłownie, gdy wymaga terapii, by pozbyć się traumatyzujących doświadczeń z wewnętrznie chorej wspólnoty, odrzucić wyobrażenia Boga z czasów katechizacji, dla których nie sposób znaleźć uzasadnienia w Ewangelii, odciąć kontakty, które nas niszczą. Czasem – by odejść. A czasem by zostać, ale na innych zasadach. Często bez szczególnych oczekiwań.

Biskupi? Księża? Instytucja? Chrystus.

XIV

Złożony do grobu

Wątpliwości, trudności i wyzwania się nie kończą. Droga wciąż pozostaje trudna. Pytanie o to, czy jeszcze mam siłę, nie traci na aktualności. Czy jest na co czekać? Czy jestem gotów trwać znacznie dłużej niż trzy dni?

Czy na końcu tej drogi aby na pewno jest Zmartwychwstanie?

© IGNACY DUDKIEWICZ

Autor jest redaktorem naczelnym Magazynu Kontakt (www.magazynkontakt.pl).

POZEGNANIE

Z wielkim żalem dowiedzieliśmy się o śmierci w Wiedniu

ś.†P.

Lonny Glaser

założycielki Dzieła „Janineum”, miejsca, w którym spotykały się pokolenia polskich uczonych, artystów i studentów, doktor honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Lonny Glaser była wspaniałą, życzliwą osobą, której wsparcie pozwoliło pokoleniom polskiej inteligencji na utrzymanie związku z zachodnią nauką i kulturą. Lonny Glaser odegrała też ogromną rolę w naszym życiu. Na zawsze pozostanie w naszej modlitwie i pamięci.

ANDRZEJ I FRYDERYK ZOLLOWIE

Kościół ponad prawem

KRZYSZTOF STORY

Parafia notorycznie łamie obostrzenia sanitarne. Interweniuje jeden z wiernych. Tak w Czudcu zaczyna się półroczny spór z udziałem policji, kurii i mediów.

CZTERNASTY MARCA 2021 r., CZUDEK, parafia pod wezwaniem Świętej Trójcy. O 15.30 zaczyna się msza. Kobieta w beżowym płaszczu podchodzi do głównych drzwi kościoła. Klęka i robi znak krzyża. Przyszła na piechotę, więc pewnie stąd. W Czudcu, 20 km na południe od Rzeszowa, mieszka trzy tysiące osób.

Powierzchnia barokowej świątyni w Czudcu to 638 m kw. Od 7 listopada obowiązuje limit wiernych w kościołach – jedna osoba na 15 m kw. Tutaj oznacza to ograniczenie do 42 osób. Kobieta siada na ławce przed kościołem. Do środka nie wejdzie, choć do mszy jeszcze 40 minut. Na drzwiach wisi tablica: „Brak wolnych miejsc”.

Fakt, że parafia w Czudcu respektuje dziś obostrzenia sanitarne, jest zasługą uporu jednego człowieka. Walka o kartonową tablicę trwa już pół roku.

Obok pandemii

Nie chce występować pod nazwiskiem, nazwijmy go K. Jest prawnikiem, obecnie kończy studia doktoranckie w Wyższej Szkole Prawa i Administracji w Rzeszowie. Specjalizuje się w prawie karnym. Jest wierzący, od zawsze związany z Kościołem. W Czudcu od urodzenia, czyli od 40 lat. Spotykamy się w jego domu. K. mówi: – Tutaj byłem chrzczony, bierzmowany, 15 lat byłem ministrantem. Pomagałem parafii, poprzedniemu proboszczowi redagowałem pisma.

W sierpniu 2020 r. proboszczem w Czudcu został ks. Stanisław Grzyb. Jesienią liczba zakażeń koronawirusem zaczęła lawinowo rosnąć, a rząd przywrócił limity wiernych. – Księża w Czudcu zupełnie to zignorowali – wspomina K. – Nie jestem rygorystą, przekroczenia o trzy, cztery głowy nawet bym nie zauważył. Tylko że zamiast 42, w kościele potrafiło być nawet 150 osób.

K. postanowił reagować. Trzy razy spotkał się z ks. Grzybem. – Prosiłem go, żeby

przestrzegał prawa. Za każdym razem słyszałem, że proboszcz wie, co robi. Pytał, czy zdaje sobie sprawę, że walczę z Bogiem i Kościołem.

K. mówi, że walczył tylko o przestrzeganie prawa, a Kościół był po jego stronie. Pokazuje list abp. Gądeckiego z czerwca 2020 r.: „Apeluję więc do wszystkich, aby w poczuciu odpowiedzialności za życie i zdrowie swoje oraz innych przestrzegać wszystkich zaleceń służb sanitarnych. Proszę kapłanów, aby podczas Mszy Świętej przypominali wiernym o zasadach bezpieczeństwa sanitarnego i sami ich rygorystycznie przestrzegali” – pisał przewodniczący Konferencji Episkopatu.

Proboszcz ostrzega K., że jego rodzina może mieć potem trudności z pogrzebem. Trzecie spotkanie kończy wypraszając K. z gabinetu.

To nie był pierwszy spór K. z nowym proboszczem. We wrześniu fundacja Kai Godek Rodzina i Życie zbierała w czudeckim kościele podpisy pod projektem ustawy „Stop LGBT”. O akcji poinformowano w trakcie niedzielnej mszy, listy znajdowały się przy bocznych ołtarzach. Później trafiły na stolik z prasą katolicką. Ich zdjęcia szybko obiegły internet.

– Na tych listach były: imię, nazwisko, adres, PESEL i podpis. Wszystko, co potrzebne do wzięcia pożyczki – mówi K. – Do czwartku leżały na stoliku pod chórem. Spokojnie mogłem wziąć jedną do domu. O samej słuszności akcji się nie wypowiadam, ale ten widok mnie przeraził. Tam są przecież także metadane, które mówią o wyznaniu, poglądach czy orientacji.

K. uprzedzał proboszcza o konsekwencjach, napisał też do Diecezjalnego Inspektora Ochrony Danych Osobowych. Proboszcz nie zareagował, a szkody okazały się realne. Jeden z mieszkańców podpisał listę, a następnego dnia zobaczył na bramie swojej posesji napis „Jebany homofob”. Inni słyszeli obelgi. Diecezjalny



IODO stwierdził naruszenie przepisów, proboszcz otrzymał upomnienie.

Bez mandatu

K. wyciąga z teczek kilka kopert. Wszystkie podwójnie awizowane i opieczętowane jako „Zwrot”. – Ewangelia mówi: „Gdy brat twój zgrzeszy, idź i upomnij go w cztery oczy”. Prosiłem proboszcza, by przestrzegał obostrzeń. Nie chciał ze mną rozmawiać, więc pisałem listy. Grzeczne, zaczynałem od „Wielebny Księżu Proboszczu”. Później maile. I jeszcze wiadomość na Facebooku.

Koperty wracały, maile pozostawały bez odpowiedzi. – W Kościele ciągle słyszałem modlitwy za chorych w parafii, o oddalenie koronawirusa, słyszałem, że musimy przestrzegać zasad, a widziałem zaprzeczenie tych słów. Nie znoszę takiego cynizmu, a jako prawnik nie umiem go tolerować.

Po trzech spotkaniach, trzech listach i kilku mailach K. zadzwonił na 112. Policjanci z Czudca stwierdzili naruszenie

Liczenie wiernych przy wejściu na mszę w parafii pw. Świętej Trójcy w Czudcu. 14 marca 2021 r.



KRZYSZTOF STORY

przepisów i pouczyli proboszcza. Bezskutecznie, bo wkrótce K. znów musiał dzwonić. Od listopada w czudeckim kościele policja interweniowała dziesięciokrotnie. W ośmiu przypadkach limit wiernych był przekroczony. Księża otrzymali sześć pouczeń, a dwa postępowania nadal się toczą.

Piotr Niemiec z Komendy Powiatowej w Strzyżowie nie potrafi wyjaśnić tej pobłażliwości. Sugeruje, że interwencje przeprowadzali różni policjanci, którzy mogli nie znać całej sprawy, choć większość patroli była z małego przecież czudeckiego posterunku.

Z ambony

Konsekwencje spotykają za to samego K. 11 grudnia otrzymuje list od proboszcza: „W związku z zachowaniem Pana wobec kapłanów, które nie przystoi dobremu katolikowi, rozważam poinformować o tym moich przełożonych kościelnych”. Na tablicy ogłoszeń pojawia się tekst: „Gdzie dzieje się dobro, tam za-

wsze diabeł miesza”. K. coraz częściej, choć nie wprost, jest wspomniany z ambony. 29 grudnia proboszcz odprawia nawet mszę w intencji „uzdrowienia dla K.” (bez nazwiska). Księża modlą się o „opamiętanie i nawrócenie dla tych, którzy utrudniają nam kontakt z Panem Bogiem”.

– Byłem na tamtej mszy, słuchałem tych modlitw – wspomina K. – Dzisiaj trochę się z tego śmieję. Proboszcz może sądził, że mnie zastraszy. Wtedy myślałem tylko: za kogo oni się modlą? Bo kontakt z Bogiem utrudniam nie ja, tylko ustawa. Czyli modlą się za prezydenta, rząd i policję?

Po dwóch miesiącach interwencji policji zachodzą pewne zmiany. Członkowie Rady Parafialnej liczą wiernych, limity są na ogół przestrzegane. W lutym przed kościołem wisi kartka: „Nie ma wolnych miejsc. Z uwagi na zgłoszenia na policję musimy przestrzegać limitu osób w świątyni, aby uniknąć wysokich kar”. K. znowu się uśmiecha: – Aby uniknąć

wysokich kar. Czyli powodem nie jest ani państwowe prawo, ani zalecenia episkopatu, ani nawet piąte przykazanie. Powodem jest to, że mogą nas złapać.

Na plakacie

5 lutego, pierwszy piątek miesiąca. K. siedzi w kościelnej ławce, modli się i czyta książkę. – Podszedł do mnie mężczyzna. Około 70 lat i 120 kilo wagi. Właśnie wracał od komunii, jeszcze przeżuwał opłatek. Półgłosem powiedział: „Jak jeszcze raz będziesz liczył ludzi i policję wzywał, to ci na rynku łeb upierdole”. Kilka osób chyba to słyszało.

K. poszedł do proboszcza dowiedzieć się, kim był napastnik. – W zakrystii usłyszałem, że sam jestem sobie winien. I że jestem faryzeuszem.

10 lutego, w następną środę w Czudcu na rynku odbywał się targ. Rano K. odebrał telefon od znajomego. – W słuchawce usłyszałem: jedź szybko, bo cała wioska jest twoimi plakatami oblepiona.

Plakaty to kartki A4 w biurowych foliówkach poprzybijane tapicerskim zszywaczem do płotów i drzew. Zdjęcie K. z czarnym paskiem na oczach i tekst: „Nie daliśmy się zastraszyć i dziennikarskie śledztwo ujawniło manipulacje samozwańczego prawnika”. Dalej padają niejasne oskarżenia pod adresem K. Nie zrywał kartek, sprawę zgłosił na policję. Jeden z plakatów znalazł przybity na liście przed posterunkiem. Postępowanie nadal trwa.

Pytam K., czy się nie boi. – Nie. Nie jest tak, że cała wieś jest przeciwko mnie. To jest garstka osób przywiązanych do proboszcza. Nie siedzę w domu jak w twierdzy. Żyję normalnie, chodzę do kościoła i nie myślę tego zmieniać.

Ponad prawem

23 lutego K. otrzymuje list od ks. Piotra Steczkowskiego, kanclerza kurii w Rzeszowie. Kanclerz pisze, że kuria otrzymała skargi na zachowanie K. wobec kapłanów. Wzywa go do osobistego stawiennictwa i złożenia wyjaśnień. K. odpisuje. W długim piśmie tłumaczy całą sytuację, opisuje spotykające go groźby i pomówienia. Powołuje się też na wiążącą go tajemnicę postępowania (w sprawie wydarzeń →

→ w Czudcu toczą się wtedy cztery). Za jej ujawnienie grozi do dwóch lat pozbawienie wolności.

Kanclerz Steczkowski w odpowiedzi przysłał pismo, które szybko obiega internet i trafia do mediów. Kanclerz pisze, że K. „zasłania się tajemnicą prokuratorską”, a „Kościół w Polsce ma prawo zarządzać swoimi sprawami w sposób autonomiczny, niezależny od działań podejmowanych przez władze państwowe”. Jeszcze raz wzywa K. i informuje, że odmowa „zostanie potraktowana jako przejaw nieposłuszeństwa wobec prawowitej władzy kościelnej”. Grozi też konsekwencjami kanonicznymi.

Nieznamość prawa? Ks. Piotr Steczkowski jest doktorem habilitowanym nauk prawnych, absolwentem m.in. Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. O komentarz do pisma prosił Artura Nowaka, adwokata reprezentującego ofiarę wykorzystywania seksualnego w Kościele, oraz dr. Piotra Szelągę – teologa i prawnika, absolwenta Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego w Rzymie.

– Poza tajemnicą spowiedzi, uwzględnioną w polskim prawie, Kościół nie ma żadnego immunitetu w sprawach karnych i cywilnych – mówi Artur Nowak. – Autonomia Kościoła kończy się na normach państwowych. To Kościół jest częścią państwa, a nie odwrotnie. Nie można na podstawie prawa kościelnego podżegać kogoś do rozpowszechniania informacji z postępowania przygotowawczego. To, co robi diecezja rzeszowska, jest kompletnym pomieszaniem pojęć. A zostawianie takich śladów na piśmie jest po prostu głupotą.

– Ton tego pisma jest dla mnie zabawny. Pokazuje, że kanclerz nie rozumie sytuacji, w której się znalazł – dodaje Piotr Szeląg. – Autonomia wynikająca z konkordatu wyklucza konflikt między tymi porządkami. W dodatku mamy wiernego, który zachował się ewangelicznie. I prawo moralne, i państwowe uzasadniały jego interwencję. A kanclerz pisze do niego w tonie urzędu skarbowego. Formalnie biskup ma prawo wzywać wiernego do wyjaśnień, jeśli uzna, że tego wymaga dobro Kościoła. Tylko że najwyższym prawem kanonicznym jest troska o zbawienie dusz. Kanclerz jest przede wszystkim duszpasterzem, dopiero potem urzędnikiem.

– Pewnym kanonem kultury pism prawnych jest też podanie sankcji, podstawy prawnej, powodów – zwraca uwagę Nowak. – Jeśli dostaje pan wezwanie do sądu, to wiadomo, w jakiej sprawie i pod jakim rygorem. Tutaj nie ma tych informacji. A odwołanie się do „prawowitej władzy kościelnej” ośmiesza Kościół – ocenia Nowak.

– Trybem wezwania świadków Kościół posługuje się prawie wyłącznie przy stwierdzaniu nieważności małżeństwa. I wtedy od razu podaje się, czego dotyczy sprawa – mówi Szeląg. – Urzędowe pismo, straszenie karami jest w mojej ocenie nadużyciem władzy.

I dodaje: – Jako wierni chcemy widzieć Kościół jako wspólnotę. Obrazki, kiedy biskup wchodzi do katedry i wszyscy padają na kolana, znamy z historii. Widzimy, że rzeczywistość się zmieniła, ale nie zdajemy sobie sprawy, że prawo kanoniczne nadal mówi tym samym językiem. Wierni nadal znajdują się na najniższym szczeblu feudalnej struktury.

Dzwonię do kanclerza Steczkowskiego. Pytam, czym właściwie K. zawinił wobec Kościoła:

– Tego dowie się od nas bezpośrednio. Sprawa jeszcze nie jest zakończona. Gdyby dziennikarze byli naprawdę dociekliwi, toby dokładnie sprawdzili, kim jest ten człowiek, i myśle, że wtedy mieliby trochę inne wyobrażenie.

Kanclerz prawdopodobnie odwołuje się do oskarżeń, które umieszczono na oszczerczych plakatach. Do tego, że K. kiedyś stanął przed sądem. Sprawdziłem, owszem, stanął. Sprawa toczyła się ro lat temu, nie dotyczyła Czudca, a wyrok uległ zatarciu. K. nie był karany. Kanclerz nie umie wyjaśnić, jaki związek ma to z obecnym wezwaniem. Pytam, czy kuria planuje wyciągnąć konsekwencje od łamiącego obostrzenia proboszcza.

– Poczekamy, co zrobią czynniki oficjalne. Nie wychylamy się, bo sądy to różnie traktują. Na razie czekamy cierpliwie. Dostali przykazanie, żeby pilnować. Ale z drugiej strony rozumiemy, że ksiądz nie może siłą nikogo wyprowadzać z kościoła, bo nie ma do tego uprawnień.

– Tak samo jak właściciele siłowni czy kin.

– Jesteśmy w sytuacji, w jakiej jesteśmy. Kościoła nie można zamknąć.

Kanclerz Steczkowski mówi, że kuria rozważa upomnienie kanoniczne

wobec K. I że wezwanie wcale nie dotyczyło jego telefonów na policję, a zupełnie innej sprawy. Jakiej i dlaczego nie napisał o tym w liście? O tym mówić nie chce.

– Ciężko mi uwierzyć, że pan K. jest akurat teraz wzywany w zupełnie innej sprawie. W tym samym czasie słyszy groźby karalne, jest nękaný plakatami, wzywany do kurii...

– No i w ogóle jest męczennikiem.

– Tego nie wiem, mówię o faktach. Co ten człowiek zrobił, by na to zasłużyć?

– Wyjaśniłbym to, ale chciałbym najpierw wyjaśnić to jemu.

– Tylko że ksiądz kanclerz wezwał go, nie żeby mu coś wyjaśnić, tylko żeby go przesłuchać.

– Jeśli mam informację jednej strony, chcę mieć też od drugiej.

– Spore szkody spotykają człowieka, a nikt nie chce powiedzieć, dlaczego.

– Nic panu na to nie poradzę. Być może czas pomoże to wyjaśnić.

Dla Piotra Szelągę sytuacja w Czudcu jest zderzeniem światów: – Z jednej strony człowiek, który traktuje Kościół jako miejsce dialogu. A z drugiej kapłan, który czuje się reprezentantem wielkiej instytucji. Polscy hierarchowie często tak o sobie myślą. I zafundowali sobie to, że instytucjonalność Kościoła dla coraz większej liczby ludzi jest oburzająca albo po prostu śmieszna.

Pod listem

K. parzy kolejną kawę. – Ludzie pytają, czy nie straciłem wiary. Czemu miałbym stracić? Dla mnie to dwa różne porządki – administracyjny i duchowy. Jeśli chirurg zepsuje panu operację, nie obraża się pan na medycynę. Przeżycie religijne jest dla mnie niezależne od osoby kapłana. Tyle że nie spowiadałem się już w Czudcu.

– Dobrze się pan tu czuje?

– Tak. Wiem, że ktoś bardziej wrażliwy mógłby się załamać i na kolanach iść do kurii z przeprosinami. Ja przepraszać nie będę, ale i przeprosin nie chcę. Chciałbym tylko, żeby przestrzegania prawa nie nazywać atakiem na Kościół. Być może to proces na pokolenia. Ten przypadek wiele mówi o kryzysie w Kościele. Bo mnie cały czas męczy taka myśl: gdyby pod tym listem z sankcjami i prawowitą władzą nie był podpisany Piotr Steczkowski, tylko Jezus Chrystus. Jak pan myśli, jak by to wtedy wyglądało?

© KRZYSZTOF STORY



Nawa główna katedry w Mejerada del Campo pod Madrytem, 21 stycznia 2021 r.

Szalone szczęście

TEKST I ZDJĘCIA ANNA MIKULSKA Z HISZPANII

Kręcone schody pną się do jeszcze niewybudowanej, kolejnej kondygnacji katedry. Wydaje się, jakby prowadziły do nieba.

PO TYM, GDY USUNIĘTO GO Z ZAKONU, Justo Gallego Martínez wiele lat nie rozmawiał z nikim. Zamiast żyć w klasztorze, poświęcił się Bogu inaczej. Na skrawku rodzinnej ziemi, wtedy otoczonej jeszcze gajem oliwnym, postawił pierwszy kamień pod katedrę, której budowa trwa do dziś. Było to 60 lat temu.

Ofiara

Katedra jest starsza od większości domów, które stoją dziś dookoła niej w miejscowości Mejerada del Campo pod Madrytem. W jednym z nich mieszkał kiedyś Angel, który od ponad dwóch dekad pomaga Justowi, a od ośmiu lat mieszka z nim w katedrze. Warunki nie są łatwe. Nie były zwłaszcza tej zimy, gdy Madryt i jego okolice nawiedziły największe śnieżyce od 50 lat. Kopuła jest jeszcze

nieukończona, więc spoglądając do góry można patrzeć na leniwie przesuwające się chmury, które czasami przecinają samoloty startujące z pobliskiego lotniska. Pod kopułą, na środku budynku, zebrał się śnieg. Gdy odwiedzamy Angela, ze śniegiem i lodem walczą sąsiedzi, którzy pomagają przy budowie.

Justo ma 95 lat, nosi czerwoną welnianą czapkę i niebieski płaszcz przewiązany czerwonym sznurkiem. Porozmawiać dziś się z nim nie da, jest schorowany i nie może mówić. Jego twarz znamy jedynie ze zdjęć, bo o katedrze nieraz pisano w hiszpańskich mediach, i z filmów dokumentalnych nakręconych kilka lat temu. W rozmowie z „New York Timesem” w 2017 r. mówił: „Widziałem, jak komuniści niszczyli wszystkie tutaj kościoły, a ludzie śmiali się

i tańczyli na zgliszcach (...) Ale jeśli wierzysz, możesz własnymi rękami odbudować nowe, piękne miejsce”.

Gdy przychodzimy, śpi w zakrystii. Jego historię opowiada nam Angel.

Justo wstąpił do klasztoru trapistów Santa María de Huerta w prowincji Soria. W wieku 28 lat zachorował na gruźlicę i musiał opuścić zakon ze względu na zdrowie innych. Z czasem wyzdrowiał, ale bracia postanowili, że ryzyko zakażenia jest zbyt duże i że musi odejść. Wrócił do rodzinnej Mejerady i postanowił, że odda się Bogu, tworząc ku Jego chwale dzieło swojego życia. Gdy jego matka rozdzieliła rodzinne ziemie dzieciom, część swojego gruntu sprzedał, a na pozostawionym skrawku zaczął budowę katedry. Miał wtedy 36 lat. Tworzył ją sam, z resztek innych budowli. Wyliczeń dokonywał intuicyjnie, nie korzystając z niczyich porad. Ludzie nazywali go szaleńcem.

Więcej o nim dowiaduję się z plakatu na jednej ze ścian katedry: „Moja podstawowa edukacja została przerwana przez wojnę domową. Zainspirowany książkami o architekturze sakralnej, zamkami i innymi budowlami, stworzyłem w głowie swój własny projekt. Ale moją największą inspiracją była i jest Dobra Nowina (Gospel of Christ). Jezus wskazuje mi

→ drogę i daję pocieszenie. Ofiaruję tę pracę Jemu w podziękę za życie, którym mnie obdarował, i na przeżycie za tych, którzy nie podążają jego drogą (...) będę kontynuował tę pracę do końca moich dni”.

Cud

Angel sprowadził się do Mejorada del Campo z Guadalajary, miasta oddalonego o kilkadziesiąt kilometrów od Madrytu. Katedra go zauroczyła. Postanowił pomóc Justowi w tworzeniu jego dzieła.

– Wiedziałem, że nie może zaferować mi żadnych pieniędzy. To nie był problem, bo jeszcze wtedy miałem pracę i oszczędności. Dziś, po ponad 20 latach, jest dla mnie jak brat. To najbliższa mi osoba – opowiada.

Wieże zbudowane są z wadliwie wypalonych bordowych cegieł dziurawek ułożonych charakterystycznymi otworami na zewnątrz, co tworzy nieregularne wzory na całej powierzchni. Łuki i sklepienia są szare i masywne, a zardzewiałe pręty przebijają spod żelbetonu i podtrzymują konstrukcję. Witraże ułożono z tłuczonego szkła, a posadzkę z kawałków marmuru z odzysku. W kącie leżą obrazy przekazane Justowi przez tych, którzy wspierają jego pomysł. Znajduje się tam m.in. replika fresku „Stworzenie Adama” z puzzli. Wrota katedry są otwarte na oścież. Po krętych schodach chodzą zwiedzający. Aktualnie trwają prace nad ukończeniem podłogi z pokruszonych marmurowych płyt, które układają się w różnokolorową mozaikę. 90 proc. materiałów pochodzi z recyklingu. Całą świątynię wypełniają koliste kształty: okien, sklepień, barier, ogrodzeń, kolumn.

Pod ścianami stoją toaleta, lodówka i materac. Bo katedra dla jej twórców jest także domem. Naprzeciwko ołtarza Angel zaparkował samochód dostawczy i osobowy. Centralna część katedry bardziej przypomina plac budowy niż nawę główną. Tam, gdzie powinno być tabernakulum, umieszczono figurę Maryi w przeszkłonej gablocie. Nad ołtarzem złotymi literami mieni się napis w języku hiszpańskim: „Dom Boga, brama Niebios”.

Angel ma dziś 48 lat, Justa poznał w wieku 24. Podobnie jak on, nie ma żadnego wykształcenia w kierunku architektury czy budownictwa. Mimo to katedra stoi solidnie, wytrzymując kolejne dekady, i dumnie pnie się do góry. Jak to możliwe? Dla Angela odpowiedź jest prosta: – To cud – uśmiecha się – jak inaczej



Angel od ponad 20 lat pomaga Justowi w budowie katedry. Mejorada del Campo, 14 stycznia 2021 r.

wytłumaczyć, że jeden człowiek mógł dokonać czegoś takiego?

Poświęcenie

W międzyczasie Angel porzucił wszystkie pozostałe prace, sprzedał dom i tak jak Justo całkowicie oddał się katedrze. Ma dwie córki i dwie wnuczki. Są wierzące, tak samo jak on. Rodzina, jak mówi, wspiera jego decyzję. Na pytanie, dlaczego zdecydował się na takie życie, odpowiada znów bardzo prosto: – Bo chciałem. I ze względu na moją wiarę. Katedra jest świadectwem dla wszystkich ludzi. Świadectwem wytrwałości i wiary.

Katedra utrzymuje się z datków zwiedzających z całego świata oraz okazjonalnych dotacji organizacji (na plakacie przy wejściu widnieje numer konta bankowego Justa). Jej budowę wsparł m.in. hiszpański bank Santander. W grudniu odbyła się świąteczna loteria, niedawno skończył się nakład książek o życiu Justa.

Cały budynek ma 5800 m kw. Znajduje się przy ulicy Antoniego Gaudiego. To prezent od zarządu miasta: uhonorowanie nielegalnej, ale cudownej budowli. Historia Justa wydaje się niemal przedrukowana z biografii Gaudiego. Kataloński artysta również cierpiał w młodości na różne choroby, co ukształtowało jego naturę samotnika. Był mocno związany z Kościołem katolickim, a ostatnie lata życia spędził na terenie słynnej katedry Sagrada Familia, której budowa trwa nieprzerwanie od ponad 130 lat. I podobnie jak on, Justo chce być pochowany w krypcie swojego dzieła. Jego katedra nazywana jest dziś nieraz Małym Gaudim.

Zanim pojawił się Angel, Justo, nie licząc niewielkiej pomocy innych osób od czasu do czasu, budował ją sam. Bez pozwolenia na budowę ani żadnego planu. Władze miasta nie robią jednak problemów, chociaż zdaniem architektów o le-

galizacji budynku można co najwyżej pomarzyć. Kościół katedry nie uznaje, mimo starań Angela nie ma też mowy o jej konsekracji, ale władze kościelne nie zabraniają dalszej budowy. Podobnie problemów z katedrą, jak zapewnia Angel, nie mają imamowie z niewielkiego meczetu stojącego naprzeciwko. Na jego murach ktoś wymalował czarnym sprayem neonazistowskie symbole.

Pewność

Gdy Angel znajduje w końcu chwilę na rozmowę, siada w fotelu w bocznej nawie z papierosem w dłoni. Na twarz padają mu promienie popołudniowego słońca, które przebijają się przez witraże. Za nim popiersia dwunastu apostołów z Jezusem w centralnym punkcie.

– Pracę zaczynam z samego rana, o szóstej lub siódmej. Nigdy się nie zatrzymuję, nigdy też nie miałem wątpliwości, że wybrałem słuszną drogę. Gdy chcesz coś zrobić, to słowo „trudność” nie istnieje – opowiada, a jego słowa odbijają się echem od ścian. – Brak pieniędzy, zimno, to wszystko da się przetrwać – mówi i zaciąga się papierosem.

– Uwielbiam ją całą. Każdy jej kąt, jej różnorodność, style, które ją tworzą. To najpiękniejsza katedra, jaką widziałem w życiu. Jest dla mnie najważniejsza w świecie rzeczy materialnych – podkreśla, bo najważniejsza w życiu Angela jest rodzina.

Wiara

Religia – tak jak i dla Justa – jest dla Angela jego życiem. Gdy nie pracuje, modli się, a robi to kilka razy dziennie, w różnych miejscach katedry. To także sposób na nudę, bo budowa w pojedynkę może być nużąca.

Buduje dla Boga, chociaż uważa, że Jemu nie trzeba niczego udowadniać. Nie chodzi tu więc o stworzenie monumentalnej katedry, ale o świadectwo swojego życia. Dlatego gdy pytam, czy jest dumny ze swojej pracy, odpowiada, że najważniejsza jest skromność. Że trzeba pracować ku Jego chwale w ciszy.

Największym marzeniem Angela i Justa jest zobaczyć ukończoną katedrę.

– Czy ludzie czasem ci mówią, że to, co robisz, to szaleństwo? – pytam.

– Wiele razy.

– I co wtedy odpowiadasz?

– Że jestem szczęśliwy.

© ANNA MIKULSKA

ZUZANNA

Radzik:

Moja domowa haggada



ZNÓW WIOSNA, ZNÓW LOCKDOWN, ZNÓW zbliża się Wielkanoc domowa. Tylko jakoś bardziej umęczeni jesteśmy własnym Kościołem, któremu świetnie idzie ukrywanie przestępców i błogosławienie samochodów, ale gdy przyjdzie błogosławić

kochającej się parze, to mówi, że nie da rady, bo to grzech.

A tu trzeba go zaraz celebrować, przypominać sobie o najważniejszym. Wtedy widać, jak daleko jesteśmy od takiej wspólnoty, jaką powinniśmy być. Może faktycznie łatwiej być Kościołem na odległość, w transmisji, niż na żywo?

Zatem dom. Święta od dzieciństwa kojarzą mi się z niełatwym dylematem: dom czy kościół? Gdzie należy się więcej lojalności? Nastoletnia ja, odkrywająca dopiero, że Wielkanoc nie sprowadza się tylko do rezurekcji, starałam się nie słyszeć rzucanego za mną „znowu wychodzisz”? Zostawiając udreńczoną pracą zawodową i świątecznymi przygotowaniami matkę, odpowiadałam z nastoletnią dumną mądrością: „Ale w tych świętach nie chodzi o gotowanie!”.

Bo przecież dominikanie, Triduum, wszyscy spędzą wiele godzin w kościele, a ja mam sprzątać szafy i siekać sałatkę? A jednak nie odpuściłabym mazurków – tylko umykało mi ich znaczenie. Rodzinotwórczość stołu, te same potrawy szykowane raz w roku najlepiej jak się da, jako wyraz wspólnoty i ciągłości. Przygotowania też wspólne, wieczory przy muzyce poważnej i rozmowach – raz poważnych, raz błahych. Dziś mamy za sobą święta, podczas których, zamiast siedzieć przy stole, wymieniamy na spacerze potrawy, które każdy z nas zwykle przygotowuje. I już wiem, że to nie smaków, a nawet nie tylko wspólnego stołu brakuje, ale tego pośpiechu, rytualnego nerwu, jak wyszła baba i czy polewa czekoladowa skrzepnie na gładko, czy będzie miękka. Kuchni rodziców, do której schodzimy się jak z pielgrzymką, gotować wspólnie, choć mamy swoje domy.

Jeśli święta nie są o gotowaniu, to kto kazał mi faszerować jaja i kręcić kajmak podczas zagranicznych stypendiów? Czemu tyle razy wybiegałyśmy z sąsiadką Martą do kościoła

w ostatniej chwili, ledwo zdążywszy wylać polewy? W imię czego przysypiam na ukochanej liturgii Wigilii Paschalnej po tym, jak odczyszczalam kuchnię po armagedonie siekanych jaj? Ale przecież nie mogę bez nich zostawić rodziny. To było moje pierwsze wielkanocne zadanie w życiu – nauczyć się ich od cioci Lody i przenieść na nasz stół. Przecież siłą takich prostych a drogich nam dań nie jest mało wyrafinowany smak, lecz ilość włożonej pracy. Wyrażanie miłości przez kuchenny znój odziedziczyłam po wielu pokoleniach kobiet, które rzadko mówiły „kocham”, za to trzykrotnie miały dla wnuków pasztet.

Pandemia rozwiązała dylemat. Choć kościół w domu może się skończyć jak rok temu, gdy zasnęłam zwinięta w kłębek na kanapie podczas wielkanocnego kazania. Jak na słabym filmie. Mierzi mnie liturgia z ekranu. Brakuje uczestnictwa. Jego pragnienie rok temu nasycały koleżanki-feministki, organizując liturgię wielkanocnego poranka. Uszytą z kobiecych głosów ze wszystkich prawie kontynentów. Z mówionym przez kobietę kazaniem. Ubrane na białą (na święto? czy w kolor sufrażystek?), przypominałyśmy sobie, jak tamtego poranka kobiety z dobrą nowiną zostały posłane do świata.

Czy po roku jesteśmy tak samo niegotowi, by zabrać liturgię pod swój dach inaczej niż przez transmisję?

A przecież, gdy zabrakło jerozolimskiej świątyni – centralnej kiedyś dla obchodów Paschy – Żydzi przenieśli ją do domów. Rodzinny stół zastąpił ołtarz. Zawsze im zazdrościłam tej pełnoprawnej, domowej liturgii. Obrzędy, które przewędrowały do domu, porządkuje haggada – domowa księga liturgiczna na paschalny wieczór. Są kolacje paschalne długie i krótkie, pospieszne i obrośnięte w rodzinne zwyczaje. O zreformowanych tekstach, lewicujące i tradycyjne. Do domowego stołu przyniesiono pytanie, czym różni się ta noc od innych nocy i czemu obchodzimy ją w ten sposób. Co znaczą symbole, jedzenie. I hymn wdzięczności za wszystko. Rodzinny stół to spełnienie przykazania, by przekazać synom opowieść o wyjściu z Egiptu (Wj 13, 8). Bo w końcu wyjście wydarzyło się, ale wydarza też dziś.

Czy umiem nie tylko nakryć stół, ale stworzyć moją domową haggadę, opowieść, na kolejną pandemiczną Wielkanoc? Jak w domu o tym mówić, a jak nie, skoro nasze wielkanocne stoły są często przestrzenią spotkania wierzących i niewierzących? Czy potrafimy, niezasłonięci rytuałem i tradycją, wobec babci, partnera, dzieci – dzielić się opowieścią o pustym grobie, o nadziei? A może rytualnie pracochłonna potrawa pozwoli zwyczajnie, niemo, wyznaczyć przy stole bezwarunkową miłość?

©

TYGODNIK
POWSZECHNY

Wolność, równość, siostrzeństwo!

Wydanie specjalne „Moc kobiet” dostępne jako e-book
na powszech.net/emockobiet





TWIERDZA PERPIGNAN

Emmanuel Macron i Marine Le Pen zmierzą się za rok w wyborach prezydenckich. Dziś licytują się, kto ma lepszy pomysł na zahamowanie imigracji. Dobrze widać to z perspektywy granicy francusko-hispańskiej.

TEKST **SZYMON ŁUCYK** Z PERPIGNAN (POŁUDNIOWA FRANCJA), ZDJĘCIA **IDHIR BAH**

DAWNY POSTERUNEK GRANICZNY na przełęczy Col des Balistres we wschodnich Pirenejach od dołu do góry pokrywa kolorowe graffiti. Przez wybite tu i ówdzie szyby widać biurka i krzesła, zajmowane niegdyś przez francu-

ską straż graniczną. Miejsce opustoszało ćwierć wieku temu, wraz z wejściem Hiszpanii do strefy Schengen.

Ten spokój na francusko-hispańskim przejściu granicznym jest złudny. Regularnie przejeżdżają tędy samochodowe

patrole francuskiej żandarmerii i policji. Czasem policjanci ustawiają się przy dawnym posterunku i kontrolują samochody. A nad granicą krążą drony wypatrujące przygranicznych „mrówek” – przemytników.

Francuska policja kontroluje ruch na przejściu granicznym na przełęczy Col des Balistres w Pirenejach, luty 2021 r.



Tego poranka jest tu jednak pusto, nie licząc dwóch cyklistów, którzy przemierzają szosę do posterunku i zaraz zawracają.

Tylko od strony Hiszpanii zbliżają się górską ścieżką dwie niskie, krępe sylwetki. Małe plecaki, na jednym z nich dyndają przywiązane zapasowe trampki. Mogą wyglądać na wędrowców, którzy w ten ciepły słoneczny poranek, na przełomie zimy i wiosny, wybrali się chodzić po górach.

Podchodzą bliżej. Zmęczone twarze, ciężkie oddechy, nerwowe spojrzenia. Jeden macha ręką w moją stronę, mówi po francusku z obcym akcentem. – Monsieur, którędy do Perpignan?

Dodaje ściszym głosem: – Tak, żeby nie wpaść na policję...

Szybko wywiązuje się rozmowa. Okazuje się, że jeden z wędrowców jest Algierczykiem, drugi Pakistańczykiem. Z opowieści pierwszego wynika, że przyplłynął łódką przemytników z okolic algierskiego Oranu na hiszpańskie wybrzeże. Potem, już razem z pakistańskim kompanem, próbował się przedostać z Hiszpanii pociągiem do Cerbère, pierwszej stacji po stronie francuskiej, ale francuscy strażnicy graniczni zatrzymali ich i odesłali na hiszpańską stronę. Wobec tego postanowili przekroczyć granicę na piechotę, idąc górskim szlakiem.

Po naradzie postanawiają, że trasę do Perpignan, oddalonego o ok. 40 km, pokonają autobusem, aby uniknąć ponownej wpadki na stacji kolejowej w Cerbère.

– Oby tylko oddalić się od granicy. Potem jakoś to będzie, mam znajomych w Tuluzie i Lyonie – mówi Algierczyk. Jego pakistański kompan ma inny plan: chce dotrzeć do Niemiec, Francja jest dla niego tylko – jak dla wielu imigrantów – krajem tranzytowym, a nie portem przeznaczenia.

Pępek świata pod nadzorem

Dworzec kolejowy w Perpignan to centrum świata – jeśli wierzyć wizjom surrealisty Salvadora Dalego, z pochodzenia Katalończyka. Stolica francuskiego departamentu Wschodnie Pireneje (historycznie rzecz biorąc: północnej Katalonii) przyjmowała licznych uchodźców już w czasach reżimu generała Franco; chronili się tu hiszpańscy republikanie.

Dzisiaj to 120-tysięczne miasto jest bramą do Francji dla imigrantów z całego świata. Tyle że jest to brama coraz mocniej strzeżona.

Region zachował relikty katalońskiej odrębności – chodząc po wąskich uliczkach starego miasta, napotykamy dwujęzyczne napisy, po francusku i katalońsku. Ten drugi język nie zanikł; mówią nim nie tylko starsi mieszkańcy, uczy się go dziś także w wielu szkołach publicznych i prywatnych jako języka dodatkowego. Przed urzędami i innymi budynkami powiewają – obok francuskich i unijskich – także flagi katalońskie.

To właśnie w Perpignan ponad rok temu lider separatystów z hiszpańskiej Katalonii, Carles Puigdemont – przeby-

wający od 2017 r. na politycznym wygnaniu w Belgii – urządził wiec, w którym wzięło udział 60 tys. zwolenników niepodległości hiszpańskiej Katalonii. W większości byli to przybysze z pobliskiej granicy, którzy zjechali do stolicy francuskiej Katalonii.

Szlak hiszpański

Nawet jeśli większość imigrantów trafiających tu z Hiszpanii chce dotrzeć do mitycznego dla nich Paryża, często zostają w Perpignan. Zatrzymuje ich tutaj słońce, łagodny klimat (choć trwa jeszcze zima, jest tu w dzień 15-18 stopni Celsjusza) oraz bliskość morza. A także rozwinęta sieć pomocy dla imigrantów.

W dwóch ciasnych pokoikach należących do Cimade – najstarszej francuskiej organizacji pomagającej imigrantom – drzwi się nie zamykają. Jacques Ollion, kierownik tej lokalnej filii, co chwila odbiera komórkę. – Ludzie pytają nas wciąż o nocleg, bo w ośrodkach dla azylantów są miejsca tylko dla matek z dziećmi. Ledwie dajemy radę – wzdycha starszy mężczyzna w okularach.

Jacques Ollion tłumaczy, że jeszcze trzy lata temu Hiszpania nie była ważną drogą dla imigrantów z Afryki. Zmieniło się to diametralnie, gdy po dojściu do władzy populisty Mattea Salvinię Włochy zatrzymały napływ przybyszów spoza Starego Kontynentu. Podobnie postąpiła Turcja, blokując drugi dotąd popularny szlak do zachodniej Europy, tzw. szlak bałkański.

Ollion: – Nigdy żadne mury, druty kolczaste ani granice nie powstrzymały ludzi, którzy chcą za wszelką cenę opuścić swój kraj. U nas eksplozja nastąpiła dwa i pół roku temu. Imigranci zaczęli przybywać przez morze z Maroka do hiszpańskich enklaw w pobliżu Gibraltaru. Kiedy władze marokańskie wydały im wojnę, powstała nowa droga do Hiszpanii, prosto z Algierii. Na ogół wystarczą trzy-cztery godziny, żeby przy pomocy przemytników dostać się szybką łodzią, tzw. zodiakiem, z wybrzeży algierskich do Hiszpanii. Stąd docierają do Francji pociągiem, autobusem czy pieszo.

Wzmocnione kontrole

W rzece imigrantów wędrujących szlakiem hiszpańskim jest wielu nieletnich, pozbawionych opieki dorosłych. Według szacunków władz i organizacji pozarządowych, cytowanych przez agencję AFP, →

→ w całej Francji jest od 16 tys. do 40 tys. nielegalnych imigrantów poniżej 18. roku życia; liczni są zwłaszcza Marokańczycy.

Wielu z nich żyje na ulicy dużych miast i często wpada w siatki przestępcze zajmujące się handlem narkotykami i prostytucją. Co prawda we Francji wszystkim imigrantom bez opieki poniżej 18. roku życia przysługuje dach nad głową i wyżywienie – podobnie jak nastolatkom francuskim w identycznej sytuacji. Jednak w praktyce jest inaczej – głównie dlatego, że młodzi często nie mają dokumentów poświadczających ich niepełnoletność.

Od wielu miesięcy władze Hiszpanii i Francji naciskają na Maroko i Algierię, żeby za wszelką cenę powstrzymały napływ imigrantów z Maghrebu. W grudniu 2020 r. Francja podpisała z marokańskimi władzami umowę umożliwiającą przymusowe odsyłanie osób poniżej 18. roku życia bezpośrednio do Maroka w sytuacji, gdy mają opiekunów w swoim kraju. Wcześniej, w listopadzie, francuskie władze ogłosiły wzmocnienie kontroli na granicy z Hiszpanią. Oficjalnie w imię walki z terroryzmem i przemytem narkotyków; w praktyce chodzi głównie o zatrzymanie nielegalnej imigracji.

Aby wzmocnić kontrolę granicy hiszpańsko-francuskiej, ciągnącej się przez ponad 600 kilometrów wzdłuż Pirenejów, Paryż wysłał tu dodatkowe zastępy żandarmerii i policji oraz drony. Część dróg lokalnych zamknięto dla ruchu. Wprowadzono ścisłe kontrole na dworcu w Perpignan dla pasażerów superszybkiego pociągu TGV z Barcelony.

Prefekt departamentu Wschodnie Pireneje poinformował niedawno na łamach dziennika „Le Monde”, że codziennie tylko w tym jednym departamencie mundurowi odsyłają na hiszpańską stronę 40-50 imigrantów, którzy na terenie Francji znaleźli się nielegalnie. Ilu jest takich, którym udaje się przejść mimo kontroli, jak tej dwójce napotkanej przeze mnie? Tego nie wie nikt.

Jacques Ollion mówi, że do drzwi Cimade pukają najczęściej Algierczycy, którzy migrują w poszukiwaniu lepszego życia we Francji. Nie mają szans na azyl – o ile nie byli prześladowani z powodów politycznych czy z racji orientacji seksualnej. Próbuja więc wtopić się w tłum i zostać bez papierów we Francji. Czasem potrafią przetrwać „w podziemiu” wiele lat.

Oprócz przybyszów z arabskiego Maghrebu w Perpignan najwięcej jest imigrantów z frankofońskiej Afryki Zachodniej, głównie z Gwinei, Senegalu i Mali. Liczni są też Albańczycy, Pakistańczycy i Afgańczycy. Przy pomocy takich organizacji jak Cimade starają się o azyl – z różnym skutkiem. Francuskie urzędy imigracyjne odrzucają około trzech czwartych podań o status uchodźcy.

Chrześcijanin czeka na decyzję

Zackary ma 28 lat i pochodzi z Czadu. Mieszka w Perpignan w ośrodku dla azylantów i studiuje prawo na uniwersytecie w Perpignan. Jego los jest nietypowy, bo w przeciwieństwie do wielu innych imigrantów nie ryzykował życia, żeby przybyć do Europy. Dzięki wizie studenckiej przyleciał samolotem z Czadu bezpośrednio do Paryża. Mówi, że musiał uciekać z kraju, bo grozono mu śmiercią. Powód: pochodzi z rodziny muzułmańskiej i nawrócił się na chrześcijaństwo. Dlatego złożył podanie o azyl we Francji. Na decyzję czeka już ponad rok.

Zackary: – Wielu imigrantów wyobraża sobie Europę niczym eldorado, a okazuje się ona dla nich pułapką. Ładują na ulicy na wiele miesięcy, jak ja sam w Paryżu, po przylocie z Afryki. Niektórzy chcą wrócić, ale nie mają już pie-

niędzy. Albo się wstydzą, że ich znajomi będą się z nich śmiać, że wracają z tego rajy z niczym.

– Sam nie tracę czasu, bo studiuje – dodaje mężczyzna. – Ale jak skończę studia, wolałbym wrócić do Czadu. Choć pod jednym warunkiem: że nie będzie mi tam grozić nagła śmierć.

Podobnie jak 150 innych azylantów i uchodźców w Perpignan, Zackary korzysta z pomocy lokalnego stowarzyszenia Welcome To Migrants 66. Biorą udział w różnych zajęciach: sportowych, kulturalnych, kulinarnych. Dziś duża grupa, w tym kilka matek z dziećmi, pojechała na wycieczkę, zwiedzają malownicze miasteczko Collioure nieopodal Perpignan.

Sztafeta mieszkańców

Kandydaci do azylu, oczekujący na decyzję urzędu, dostają we Francji zasiłek miesięczny w wysokości ok. 200 euro miesięcznie (jeśli są zakwaterowani w ośrodku) lub ok. 430 euro (jeśli sami muszą znaleźć kwaterę). Jak na warunki francuskie, to bardzo mało; trzeba mieć dużo szczęścia, aby w mieście opłacić za taką kwotę mieszkanie i wyżywienie.

W praktyce zakwaterowanie dostają „z urzędu” samotne matki z dzieckiem i nieletni (jeśli udowodnią swój wiek). Pozostali imigranci trafiają czasem na bruk, bo ich zasiłek nie wystarcza na opłacenie



kwatery. Dlatego organizacje z Perpignan uruchamiają, zwłaszcza zimą, tzw. sztafetę mieszkańców.

– Prawie zawsze znajdzie się ktoś, kto przenocuje na noc czy dwie ludzi w potrzebie – mówi Ollion. – Zdarzało się też – dodaje – że miejscowi anarchistyczni aktywiści włamywali się do pustostanów, aby wpuścić do nich imigrantów bez dachu nad głową.

Dotychczas władze przysmykały na to oczy, przybysze mogli tak „przezimować” dwa-trzy lata. Teraz policja wkracza szybko do akcji i szybko rozprawia się ze squatterami.

Istotna zmiana nastąpiła osiem miesięcy temu, gdy stery miasta przejął Louis Aliot, polityk związany ze Zjednoczeniem Narodowym (wcześniej nosiło ono nazwę Front Narodowy), którym kieruje Marine Le Pen. W ten sposób Perpignan stał się jedynym francuskim miastem liczącym ponad 100 tys. mieszkańców kierowanym przez burmistrza ze skrajnej prawicy.

Świecki konserwatysta

Mieszkańcy mówią o nim: bezpośredni, łatwo z nim zagadać, troszczy się o zwykłych ludzi. Louis Aliot to dla nich swój: pochodzi spod Pirenejów, mówi ze śpiewnym akcentem z południa i gra amatorsko w rugby, ulubioną dyscyplinę sportową tej części Francji.

Aliot wita mnie w swoim gabinecie, w marynarce i z modnym fulem.

– Polski dziennikarz? Współpracowałem z polskim eurodeputowanym, bardzo sympatyczny, jak on się nazywał: Kurek? Zurek? – zastanawia się głośno. Wreszcie okazuje się, że chodzi o Marka Jurka, prawicowego polityka, niegdyś marszałka Sejmu.

Nieco później Aliot zaznaczył: – Jesteśmy konserwatystami, ale nie takimi jak PiS czy partia Orbána. Kaczyńskiemu blisko do Kościoła, my jesteśmy partią bardzo laicką. Nawet jeśli bronimy tradycji chrześcijańskiej – mer przypomina, że w holu ratusza postawił, zgodnie z lokalnym obyczajem, żłobek bożonarodzeniowy, za co krytykowali go zwolennicy ortodoksyjnej laickości.

– W naszej partii mamy ludzi o pochodzeniu hiszpańskim, włoskim, polskim, nawet o korzeniach z Afryki Północnej. Nie ma z tym żadnego problemu. Bo nie ma Francji wielokulturowej, jest jedna kultura francuska. Republika to asymilacja. Jeśli nie będzie asymilacji, to republika zniknie – twierdzi Aliot.

Z zawodu adwokat, starannie dobiera słowa, unika skrajnych opinii. O nieletnich imigrantach mówi: „Ci biedni ludzie”. Słuchając go dziś, trudno uwierzyć, że przez 20 lat był oddanym współpracownikiem Jeana-Marie Le Pena, za-

łożyciela Frontu Narodowego. Tego samego, którego sądy skazywały wielokrotnie za rasistowskie wypowiedzi o imigrantach oraz za określenie komór gazowych jako „detalu” w historii II wojny światowej.

Przez ostatnią dekadę Louis Aliot był partnerem życiowym Marine Le Pen, córki Jeana-Marie, obecnej liderki ugrupowania. Ich związek zakończył się oficjalnie we wrześniu 2019 r. Choć się rozstali, Aliot oświadczył, że politycznie jest i zawsze będzie „marinistą”.

Pytany o „prywatną” Marine Le Pen, mer odpowiada mi, że to osoba „inteligentna, o silnym charakterze, odważna”, pod wieloma względami – zwykła kobieta.

– Ma silną więź ze swoją matką, z oddaniem zajmuje się trójką dzieci, dziś dorosłych, jej pasją są koty. Politycy to zwykli ludzie, a nie ufoludki, jak się niektórym wydaje – przekonuje.

Priorytety mera Aliota

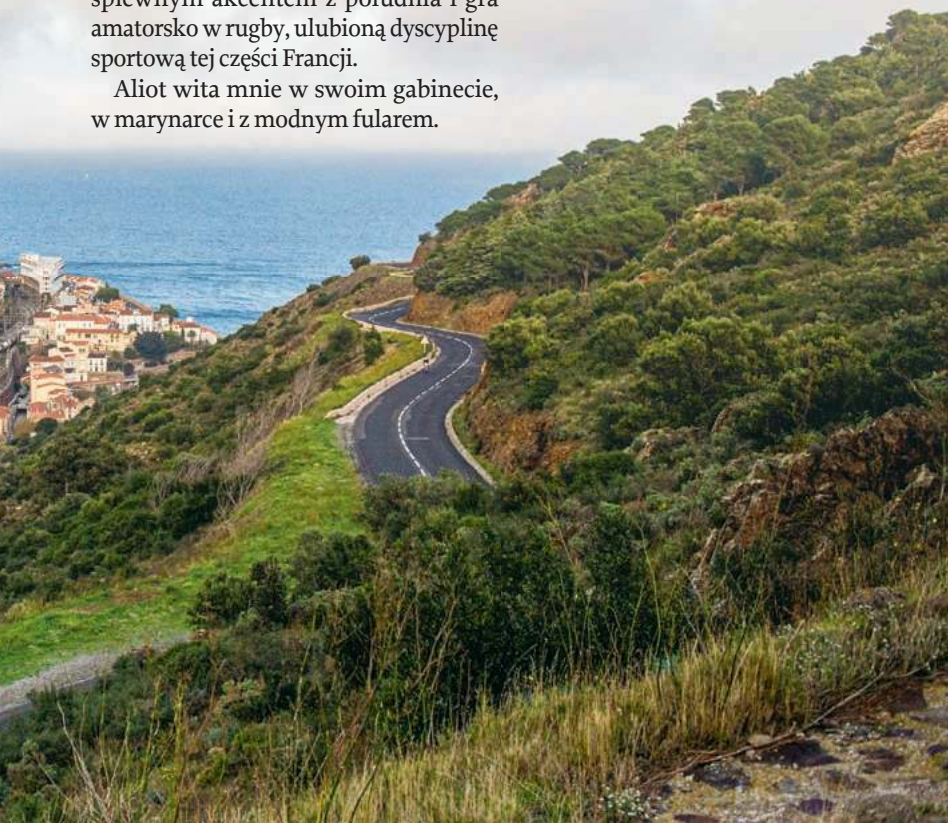
W ciągu ostatnich lat Louis Aliot pracował nad poprawieniem złej, ekstremistycznej reputacji partii. Chce uchodzić za pragmatycznego gospodarza: jego priorytetem są – oprócz kluczowej dziś sytuacji epidemicznej – bezpieczeństwo i czystość w mieście oraz ratowanie gospodarki, a zwłaszcza lokalnego handlu.

Perpignan to jedno z najbiedniejszych i najbardziej zaniedbanych miast we Francji. Ponad jedna trzecia mieszkańców żyje poniżej progu ubóstwa. Kilka dzielnic – jak zabytkowy kwartał św. Jakuba – słynie z wysokiej przestępczości i handlu narkotykami.

Louis Aliot chwali się, że przez pierwsze pół roku rządów otworzył dwa nowe posterunki policji, wkrótce powstaną dwa kolejne. Wystarczy przejść się po centrum miasta, żeby napotkać co chwilę patroli policji na rowerach.

Jak pisał niedawno lokalny portal Made in Perpignan, w mieście rozgorzał konflikt między władzami departamentu (to odpowiednik powiatu), którym rządzą socjaliści, a władzami

Widok z przełęczy na granicy francusko-hiszpańskiej, gdzie autor tekstu spotkał dwójkę imigrantów. W dole miasteczko Cerbère, pierwsza stacja kolejowa po francuskiej stronie. Wędrując przez góry, imigranci muszą minąć Cerbère. Do Perpignan mają jeszcze 40 km. Luty 2021 r.





Perpignan to jedyne większe miasto Francji, którym rządzi polityk Zgromadzenia Narodowego. Na zdjęciu: Louis Aliot w drodze na głosowanie podczas wyborów lokalnych, 15 marca 2020 r.

→ miejskimi Perpignan. Departament zakupił były hotel, aby urządzić w nim ośrodek dla nieletnich imigrantów. Aliot zaprotestował, bo pragnął otworzyć tam posterunek policji. Nie czekając na werdykt sądu administracyjnego, wysłanicy mera umieścili na opuszczonym budynku szyld „Policja”. Sprawa sądowa – jakże symptomatyczna dla francusko-francuskiej wojny o imigrantów – czeka wciąż na finał.

Czy Le Pen pokona Macrona?

Pytany przeze mnie o sytuację nieletnich imigrantów w Perpignan, mer Aliot rozkłada ręce: – W ośrodkach nie ma miejsca, a departament nie ma pieniędzy, żeby dalej płacić za ich noclegi w hotelach. Nasze samorządy są bardzo zadłużone.

To co robić? – Niech komuniści i socjaliści wezmą ich do siebie, do swoich

domków górskich czy nadmorskich – ironizuje Aliot. To także aluzja do lewicowych władz departamentu, które go krytykują.

Jacques Ollion z organizacji Cimade potwierdza, że wraz z rosnącą liczbą nieletnich imigrantów budżet departamentu eksploduje. W tej sytuacji samorządy zmuszone są prosić o dofinansowanie z kasy państwa.

Louis Aliot uważa, że kryzys migracyjny we Francji to w dużej mierze wina liberalnego prezydenta Emmanuela Macrona. – Rząd nie ma woli politycznej, aby rozwiązać problem z nielegalnymi imigrantami. Oni często zostają u nas bez papierów przez lata i robią, co chcą. Gdy Marine Le Pen zostanie prezydentem, to nadal będziemy przyjmować uchodźców, czyli tych, którzy są prześladowani w krajach ich pochodzenia. Ale tych, którym odrzucono wnioski o azyl, będziemy od

razu odsyłać na zasadzie umów między Francją a innymi krajami – podkreśla mer Perpignan.

Wypowiedzi Aliota wpisują się w kontekst trwającej już (nieformalnie) kampanii przed wyborami prezydenckimi, zaplanowanymi na wiosnę 2022 r. W tej chwili wiele wskazuje na to, że w drugiej turze powtórzy się pojedynek z 2017 r., gdy w decydującym starciu spotkali się Emmanuel Macron i Marine Le Pen. Wówczas ten pierwszy zwyciężył z dużą przewagą 66 proc. do 34 proc. Ale jak będzie za rok? Sondaż opublikowany przez tygodnik „L'Express” w końcu stycznia wskazywał, że gdyby dziś doszło do starcia między Macronem i Le Pen, obecny prezydent wprowadziłby wygraną, ale większością w granicach błędu statystycznego: 52 proc. do 48 proc.

Sondaż przeraził „macronistów”. Prezydent zdaje sobie sprawę, że klimat niepewności wywołany epidemią sprzyja hasłom populistycznej prawicy. Większość francuskich komentatorów zauważa, że Macron od wielu miesięcy skręca na prawo, próbując walczyć o pozyskanie wyborców Marine Le Pen. To także, przynajmniej po części, tłumaczy zaostrenie kursu polityki migracyjnej przez obóz prezydencki.

Wychodząc z biura mera Perpignan, widzę na ścianie portret Emmanuela Macrona. Wyjaśnienie jest proste: nieformalna tradycja francuskiej republiki nakazuje umieszczać w urzędach zdjęcie urzędującego prezydenta.

Czy wiosną przyszłego roku w tym samym miejscu zawisnie portret byłej towarzyszk życia Louisa Aliota?

© SZYMON ŁUCYK

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, pod sygnaturą I Ns 1217/19, na wniosek Getin Noble Banku Spółki Akcyjnej w Warszawie, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Bożenie Porębskiej, zm. 24 kwietnia 2019 r. w Mińsku Mazowieckim, ostatnio stale zamieszkałej w Mińsku Mazowieckim.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy, w szczególności Aleksandra Anna Porębska, w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, ponieważ w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, pod sygnaturą I Ns 183/20, na skutek wniosku Anny Widlak toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Leokadii Franciszce Kozaczenco, zm. 23 grudnia 1989 r. w Legionowie, ostatnio stale zamieszkałej w Sulejówku, a także Zdzisławie Kozaczenco, zm. 16 grudnia 1995 r. w Sulejówku, ostatnio stale zamieszkałym w Sulejówku.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy, w szczególności spadkobiercy Ewy Alicji Rembelskiej, w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, ponieważ w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.



Jeden z mobilnych zespołów Czeskiego Czerwonego Krzyża, które wspomagają personel medyczny w najbardziej obciążonych szpitalach. Praga, 2021 r.

Do trzech razy sztuka

ULA IDZIKOWSKA Z PRAGI

Czesi przeżywają covidowe déjà vu. Podobnie jak rok temu, w kraju obowiązuje ścisły lockdown. Ale życie z brytyjską mutacją wygląda inaczej niż wtedy – dziś to epidemia na sterydach.

NIE POMACHAM JUŻ PANU SEIDLÓWI. W domu opieki dla seniorów w praskich Holešovicach znów wykryto przypadki koronawirusa – nikt z zewnątrz nie ma wstępu. Obiady, które roznoszą seniorom w ramach sąsiedzkiej pomocy, wręczam teraz przy wejściu opiekunce. Otwiera drzwi w pełnym rynsztunku: z maską, przyłbicą, rękawiczkami, ochraniaczami na buty i peleryną, dodatkowo uzbrojona w spryskiwacz ze środkiem dezynfekcyjnym.

Wirus dopadł także pana Seidla, wątlęgo mężczyznę koło siedemdziesiątki. Na szczęście w minioną środę otrzymałam wiadomość, że wyzdrowiał. Ale jeszcze długo nie zobaczy nikogo poza opiekunkami w kosmicznych strojach, nie

usłyszysz *dobrou chuť* (smacznego), rzuca nóg z bezpiecznej odległości.

Negatywne emocje

Izolacja, frustracja, niepewność – wszystko to sprawia, że coraz więcej czeskich seniorów ma myśli samobójcze. Kateřina Bohatá, kierowniczka bezpłatnej infolinii dla seniorów Elpida, zauważyła tę tendencję jeszcze w październiku ubiegłego roku.

– Rzucił nam się w oczy znaczny wzrost intensywnych negatywnych emocji oraz poczucia bezsilności i frustracji – mówi mi dzisiaj Bohatá. – Wcześniej, ubiegłej wiosny, seniorzy mówili nam, że boją się nieznanego wówczas wirusa. Teraz ich lęki są bardziej zróżnicowane,

dotyczą niepewności jutra. Zastanawiają się, czy przeżyją pandemię.

Także długotrwała rozłąka z bliskimi sprawia, że niektórzy seniorzy tracą motywację do życia. – Jedna pani stwierdziła, że nie widzi sensu dalej walczyć z rakiem, skoro i tak od pół roku nie widziała się z wnuczkami. Wcześniej perspektywa ich odwiedzin dawała jej siłę – mówi Bohatá.

W takiej sytuacji nawet ograniczony kontakt z drugim człowiekiem podnosi samotnych seniorów na duchu. Kateřina Bohatá: – Jeżeli wiemy, że obok nas mieszka starsza osoba, warto zapukać i zapytać, co u niej słychać, i upewnić się, czy czegoś nie potrzebuje. Nawet gdyby to miała być rozmowa przez zamknięte drzwi, ze względów bezpieczeństwa. To bardzo pomaga. Bo wtedy taka osoba ma poczucie, że nie jest sama.

Trzy doby na dyżurze

„Czeskie społeczeństwo przypomina dziś pogrążonego w śpiączce pacjenta, u którego podtrzymywane są tylko podstawowe czynności życiowe – pisze we wstępie Eryk Tabery, redaktor naczelný popularnego tygodnika „Respekt”. – Ale jesteśmy w drodze do wyzdrowienia. Nawet jeśli teraz na to nie wygląda. ➔

→ Fakt, droga to wyboista, a Czechi poruszają się po niej w ślimaczym tempie. We wtorek 16 marca znów przybyło 14 tys. nowych zakażeń (uwzględniając liczbę ludności to tak, jakby w Polsce było ich ok. 55 tys.). Od wielu tygodni jest to wartość stała: plus minusz kilkanaście tysięcy nowych zakażeń dziennie. Od początku całkowitego lockdownu, czyli od 1 marca, codziennie umiera ok. 200 chorych. Rekordowa jak na Czechy jest liczba hospitalizowanych: w połowie ubiegłego tygodnia 9 tys. osób (to tak, jakby w Polsce było ich ok. 35 tys.; w połowie minionego tygodnia w polskich szpitalach przebywało prawie 22 tys. hospitalizowanych).

W dziesięciu najbardziej obciążonych szpitalach działają specjalne mobilne zespoły Czerwonego Krzyża. Mają odciążać personel medyczny: monitorują stan pacjenta, zapobiegają odleżynom, pomagają w korzystaniu z toalety i w spożywaniu posiłków. I rozmawiają – personel medyczny nie ma na to czasu. Każdy zespół pracuje przez 72 godziny – po czym do szpitala przyjeżdża następna czteroosobowa ekipa.

Rząd nałożył obowiązek pracy na studentów ostatnich lat studiów medycznych, a także na uczniów trzeciej i czwartej klasy medycznych szkół średnich oraz ostatnie roczniki szkół wyższych przygotowujących do zawodów okołomedycznych. Jednak w szpitalach wciąż brakuje ludzi. Dlatego od 4 marca hejtmami (odpowiednik wojewodów) i burmistrz Pragi mogą – pod pewnymi warunkami – powoływać do pracy w szpitalach publicznych lekarzy i ratowników medycznych, którzy pracują w prywatnych placówkach. Choć w ostatnich dniach dynamika rozprzestrzeniania się wirusa uległa stabilizacji – jak widać, na bardzo wysokim poziomie – to szpitale wciąż są przepełnione. W Pradze przybyło wprawdzie covidowych łóżek, ale niemal wszystkie są zajęte. Podobnie jest w regionach.

O sytuacji w jednym ze szpitali w Brnie opowiada mi tamtejszy pielęgniarz: – W ciągu ostatniego miesiąca mamy do czynienia ze wzrostem liczby prób samobójczych wśród pacjentów. Dwoje się podpałiło, jeden postrzelił się w głowę, a na innym oddziale dwóch wyskoczyło z okna. W dwóch przypadkach chodziło o problemy psychiczne. Dlaczego pozostali próbowali się zabić? Tego nie wiemy, nie prowadzimy śledztwa.



Ruth Tachezy, wirusolożka i kierowniczka katedry genetyki i mikrobiologii na Uniwersytecie Karola. Praga, 2021 r.



Kateřina Bohatá, kierowniczka infolinii dla seniorów.

Sputnik dzieli polityków

Jiří Štefánek, lekarz pierwszego kontaktu, wirtualnie wzdycha na swojej stronie na Facebooku: „To typowe dla Czech. Rząd ogłosił z wielką pompą, że lekarze pierwszego kontaktu będą szczepić od 1 marca. Ale zapomniał dodać, że nie ma wystarczająco dużo szczepionek. Zgodnie z oczekiwaniami wybuchło zamieszanie: pacjenci masowo zgłaszają się na szczepienie do naszej przychodni. Dzwonią nawet ci, którzy są umówieni w ośrodku szczepień. Bo słyszeli, że w przychodni szczepią, to po co mają gdzieś niepotrzebnie jechać”.

Na tym tle trwają spory o szczepionki: prezydent Miloš Zeman naciska na ministra zdrowia Jana Blatného, aby Państwowy Instytut Kontrolny Leków zatwierdził – na wyjątkowych zasadach – rosyjską szczepionkę Sputnik V. Blatný na-

lega, żeby czekać, aż uzyska ona akceptację Europejskiej Agencji Leków. Zeman ripostuje, że minister będzie mieć na sumieniu śmierć ludzi, i chce jego odwołania.

Blatný nie jest osamotniony w swojej argumentacji. Również wirusolog Libor Grubhoffer, szef Centrum Biologicznego Czeskiej Akademii Nauk, radzi, aby się wstrzymać. Przypomina, że Rosja w przeszłości miała problemy z czystością swoich szczepionek. „Dlatego potrzebna jest nie tylko niezależna weryfikacja preparatu, ale też kontrola produkcji, na co Rosja niechętnie zezwala” – mówił Grubhoffer w wywiadzie dla „Respektu”.

Niektórzy przeciwnicy Sputnika widzą w nim narzędzie do szerzenia rosyjskich wpływów. Bo Rosja eksportuje szczepionkę za granicę, choć zaszczepiła dopiero nikły odsetek własnej populacji (obie dawki otrzymało 1,7 mln ze 145 mln Rosjan). Słowacki minister spraw zagranicznych uważa, że Rosja używa szczepionki w wojnie hybrydowej: „To narzędzie polityczne, które dzieli nas w kraju i za granicą. Bo przedstawia Unię Europejską jako partnera, który zawodzi”. Na Słowacji, gdzie sytuacja epidemiczna także jest zła, dokonany potajemnie zakup Sputnika kosztował ministra zdrowia stanowisko. Chwieje się koalicja rządowa.

Prezydent Zeman najwyraźniej sądzi inaczej. Podobno wysłał list do prezydenta Putina z prośbą o dostarczenie szczepionek, ale treść listu jest nieznana – nie przeszedł on standardowej drogi przez MSZ i czeską ambasadę w Moskwie. Zeman nie komentuje publicznie swojego posunięcia, a prezydencki rzecznik milczy.

Przestaliśmy przeklinać rząd

Minister Blatný uważa, że tempo szczepień w Czechach jest zbliżone do tego w krajach sąsiednich – jak Polska, Niemcy czy Słowacja.

W Czechach jednak, jak słyszymy, przechowywane są zasoby szczepionek, których nikt nie używa. Nie wiadomo, o ile dawek może chodzić. Na początku problem tkwił w dystrybucji szczepionki AstrZeneki. – Ona została opóźniona, ponieważ poszukiwano dystrybutora – tłumaczy mi Ruth Tachezy, wirusolożka i kierowniczka katedry genetyki i mikrobiologii na Wydziale nauk przyrodniczych Uniwersytetu Karola. – Ze szczepionką konsorcjum Pfizer/BioNTech



Wolontariuszka roznosząca obiady okolicznym seniorom – oraz pani Lorencová, która korzysta z pomocy wolontariuszy.

tych problemów nie było, bo firma sama rozwozi swój produkt.

System dystrybucji AstryZeneki jest poza tym całkowicie nieefektywny – tak uważa również Michal Bláha, który odpowiada za organizację ośrodków szczepień w regionie środkowoczeskim. „Zamówienia zbierane są za pomocą maila. Następnie wszystkie dane umieszczane są w Excelu i wysyłane do dystrybutora” – mówi Bláha w wywiadzie radiowym. Ta manualna praca ma spowalniać proces o trzy-cztery dni.

Do tego wysoki odsetek seniorów nie zgadza się na szczepienie preparatem AstryZeneki. W regionie środkowoczeskim dotyczyło to nawet 40 proc. osób. „Seniorzy przeczytali w internecie, że szczepionka AstryZeneki jest niebezpieczna” – mówi Bláha.

Ruth Tachezy nie widzi powodów, aby odmawiać szczepienia się AstrąZenecą: – Wyniki badań klinicznych wykazują, że nie należy spodziewać się większej liczby skutków ubocznych u osób starszych ani zmniejszonej skuteczności szczepionki. Sytuacja epidemiczna w Czechach jest poważna. Trzeba się zaszczepić jak najszybciej. Zwłaszcza że coraz szybciej rozprzestrzeniają się nowe warianty wirusa.

Niektórzy są zmęczeni chaosem wokół szczepień. W Dobříchovicach pod Pragą mieszkańcy postanowili wziąć sprawy w swoje ręce. Stworzyli własne centrum szczepień: pierwsze w Czechach, które powstało bez pomocy państwa. Ośrodek jest zarejestrowany u lokalnego dentysty i otrzymuje dostawy przez regionalnego koordynatora szczepień. „Przestaliśmy przeklinać rząd i marudzić, że w kraju nic sprawnie nie działa. Wzięliśmy się

do pracy” – opowiadał w radiu przedsiębiorca Jiří Geissler, który wpadł na pomysł utworzenia ośrodka.

Niech zamkną nas wszystkich!

Już na kilka dni przed wprowadzeniem lockdownu wirusolożka Tachezy podkreślała, że całkowite zamrożenie gospodarki i zamknięcie szkół oraz przedszkoli to jedyne rozwiązanie, aby „nie przedłużać covidowej agonii”. Mimo początkowych sprzeciwów – m.in. ze strony ministra przemysłu, handlu i transportu Karla Havlíčka – pod koniec lutego, tuż przed wygaśnięciem stanu wyjątkowego, klamka zapadła. Od początku marca Czesi znów powinni zaszyć się w domach.

Jednak część wciąż chodzi do pracy. W praskiej firmie zajmującej się technologią ruchu kolejowego nie ma mowy o *home office*, jak mówi mi tamtejsza księgowa: – Szef nam chyba nie ufa, trzeba przychodzić. Chociaż jest coraz więcej zakażonych.

Kobieta wzdycha: w jej biurze nikt nie nosi maseczki. W fabrykach, które nie zostały zamknięte, także nie zawsze – jak wynika z opowieści, którą reporterka Markéta Kutilová zacytowała na Facebooku: „Na hali jest nas ponad 200. Tam nosimy maseczki. Ale potem idziemy do stołówki, gdzie nikt ich nie nosi. Tak czy inaczej często musimy zdejmować te szmaty, bo noszenie ich podczas 12-godzinnej zmiany jest prawie niemożliwe. Po zmianie wracam do domu, gdzie dzieci siedzą zamknięte z żoną-pielęgniarką, która dostaje zasiltek pielęgnacyjny. Przydałaby się w szpitalu, ale co ma zrobić? Wiele jej koleżanek siedzi w domu [z dziećmi] na zasilku”. I dalej: „Już nic nie rozumiem

i nikomu nie ufam. Wszystkie dzieciaki siedzą teraz w domu, a ich rodzice spacerują między setkami ludzi: czy to w biurze, w sklepach, na poczcie. Niech nas zamkną wszystkich, byle to się skończyło!”.

Dzieci tego pracownika fabryki nie mogą nawet pojechać do babci, bo mieszka w innym powiecie. Od 1 marca Czesi nie mogą przekraczać granic swoich powiatów (chyba że wiąże się to z dotarciem do pracy). Bywa, że prowadzi to do sytuacji absurdalnych. Niektórzy muszą jechać 20 km dalej do sklepu albo nie mogą pójść na działkę po ziemniaki, ponieważ wiązałoby się to z przekroczeniem granicy powiatu.

Wspomniana już księgowa miała ostatnio taki problem: jej partner, który pracuje jako strażak w Pradze, zapomniał z domu portfela. Nie mogła podjechać z ich domu (mieszkają już w kraju środkowoczeskim) do stolicy, bo była sobota, dzień wolny od pracy. Przekazanie portfela odbyło się z asystą granicznego patrolu policyjnego.

Humor na ciemną godzinę

Obostrzenia spotykają się dziś z większym zrozumieniem niż jeszcze w połowie lutego – tak wynika z badań „Życie podczas pandemii” (od roku prowadzi je regularnie grupa naukowców z PAQ Research i IDEA AntiCovid). Miesiąc temu za ograniczeniem spotkań do dwóch osób opowiadało się 42 proc., dziś jest to 57 proc. Godzinę policyjną popiera teraz co drugi ankietowany, w lutym było to 38 proc. Pytanie tylko, jak długo taki trend się utrzyma. Jeden z naukowców, socjolog Daniel Prokop, obawia się, że gdy za kilka tygodni okaże się, iż skala pandemii zmniejszyła się tylko nieznacznie, opór wobec restrykcji będzie rosnąć.

Jego przejawy widać tu i tam. Niektórzy jeżdżą na nielegalne wyprawy na ryby albo na wycieczki za miasto. Taśmy, które okalają place zabaw, leżą pozrywane na ziemi, a dzieci szaleją na ślizgawkach, podczas gdy mamy łapią chwilę wytchnienia. Do ograniczeń związanych z poruszaniem się Czesi podchodzą także z humorem. Na początku obecnego lockdownu w sieci pojawił się mem z Frodo i Samem. Bohaterowie „Władcy pierścieni” wędrują przez szczerne pole. „Samie, dlaczego się zatrzymujesz?” – pada nagle pytanie. „Panie Frodo! To już inny powiat!”.

© ULA IDZIKOWSKA

Tekst ukończono 17 marca

Zwrot Zełenskiego

TADEUSZ IWAŃSKI

Wiktor Medwedczuk uosabia to, co w ukraińskiej polityce najgorsze. Co chce osiągnąć prezydent Ukrainy, atakując dziś tego powinowatego Władimira Putina?

TO, CO ZROBIŁ WOŁODYMYR ZEŁEN-ski, było zaskoczeniem zarówno dla sympatyków, jak i przeciwników prezydenta Ukrainy: zdecydował o zamknięciu prorosyjskich kanałów telewizyjnych i nałożeniu sankcji na kontrolujących je polityków prorosyjskiej Platformy Opozycyjnej, w tym zwłaszcza na Wiktora Medwedczuka.

Skąd tak poważne przewartościowanie polityki Kijowa wobec Rosji? Główna przyczyna to trwające ponad rok – i budzące na Ukrainie spore kontrowersje – próby przełamania pata negocyjnego w sprawie wojny w Donbasie, które nie tylko nie przyniosły sukcesu, lecz skutkowały spadkiem poparcia dla prezydenta i jego partii Sługa Narodu.

Wygląda na to, że Zełenski uznał, iż uderzenie w środowiska prokremlowskie pozwoli mu upiec kilka pieczeni na jednym ogniu: przełamać zastój w kwestii Donbasu, osłabić Platformę Opozycyjną (konkurenta do władzy), zdyskredytować Petra Poroszenkę (kolejnego rywala; tu chodzi o wykazanie, że były prezydent ma związki z liderami środowisk prorosyjskich), a także przejąć część prozachodniego i antyrosyjskiego elektoratu Poroszenki. Wreszcie – wysłać mocny sygnał nowej administracji USA: walczymy z wpływami Rosji, walczymy z oligarchami, stajemy po stronie Zachodu, wspomóżcie nas mocniej.

Kum Putina w Kijowie

Jak niewiele innych decyzji, tę udało się utrzymać w tajemnicy. Zamknięcie mediów kontrolowanych przez Medwedczuka, a następnie nałożenie sankcji na

niego, jego żonę i partnerów biznesowych było wielkim zaskoczeniem. Zarzut, że Medwedczuk finansuje terroryzm, oparto przy tym na informacjach o nielegalnym wydobyciu węgla w okupowanym Donbasie i eksporcie, w czym ma on mieć udział.

Medwedczuk to ważna postać ukraińskiej sceny politycznej. Jeszcze pod koniec lat 90. XX w. współtworzył wpływowy tzw. klan kijowski, a w ostatnich latach prezydentury Leonida Kuczmy był szefem jego administracji. Przez dekadę – między pomarańczową rewolucją w 2004 r. a rewolucją godności w 2014 r. – działał na marginesie wielkiej polityki, rozwijając różne projekty społeczne, mające wspólny mianownik: oddalić Ukrainę od Zachodu, a zbliżyć z Rosją. Prócz niemałych pieniędzy, o jego sile decydowały bliskie relacje z Kremllem. Także prywatne: w 2004 r. Władimir Putin i żona Dmitrija Miedwiediewa (później prezydenta i premiera) zostali rodzicami chrzestnymi jego córki.

Krytykując władze w Kijowie i otwarcie promując zbliżenie z Rosją, w ostatnich latach Medwedczuk stał się kluczową postacią opozycji. W tym roku jego partia w niektórych sondażach wyprzedziła już Sługę Narodu, a jej kandydat na prezydenta Jurij Bojko deptał po piętach Zełenskiemu. Choć sam Medwedczuk jest niewybieralny – z racji ogromnego elektoratu negatywnego – to w przypadku sformowania koalicji mógłby zająć fotel premiera lub przewodniczącego parlamentu. Uderzając w Medwedczuka, Zełenski chce więc osłabić bezpośredniego rywala, a jego związki z państwem agresorem atak ten uwiarygadniają, zwłaszcza w oczach prozachodniego elektoratu.

Przy tej okazji Zełenski próbuje zdyskredytować głównego rywala na polu zmagania właśnie o prozachodni elektorat – byłego prezydenta Petra Poroszenkę. Ten zna Medwedczuka jeszcze z końca lat 90., gdy wspólnie działali w jednej partii – i to za kadencji Poroszenki jego dawny drużnik wrócił do wielkiej polityki. Po wybuchu wojny w Donbasie Medwedczuk stał się bowiem jedynym, niezbędnym pośrednikiem przy wymianie jeńców między Ukrainą a Rosją i kontrolowanymi przez nią donbaskimi parapaństwami. A że uzyskał też preferencje w imporcie paliw z Rosji, mógł kupić stacje telewizyjne i współtworzyć Platformę Opozycyjną.

Teraz do mediów wyciekają nagrania rozmów telefonicznych Medwed-



czuka (zwanego „kumem Putina”) z Poroszenką, który chętnie prezentuje się jako antyrosyjski radykał. Tymczasem rozmowy – prowadzone już po aneksji Krymu i agresji w Donbasie – zdają się świadczyć o ich dobrych relacjach.

Uderzenie w Rosję

Gdy wiosną 2019 r. Zełenski zostawał prezydentem, jego najważniejszą deklaracją było zakończenie wojny w Donbasie. Kluczowe było tu dogadanie się z Rosją.

W tym celu nowa ekipa wyciszyła silnie antyrosyjską retorykę, charakterystyczną dla poprzedniego prezydenta Poroszenki, i podjęła kilka niepopularnych decyzji. Wprawdzie Kijów nie poszedł na poważne ustępstwa, ale zgodził się na warunki przeprowadzenia wyborów na okupowanych terytoriach (tzw. formuła Steinmeiera; ostatecznie wybory nie doszły do skutku), oddał Rosji kluczowego świadka w procesie o zestrzelenie malezyjskiego samolotu w 2014 r. i wstępnie zaakceptował bezpośrednie rozmowy z parapaństwami (także one nie doszły do skutku, z powodu sprzeciwu społecznego). Zaowocowało to najdłuższym w historii tej siedmioletniej już wojny, bo trwającym od lipca 2020 r. rozejmem, a tym samym zmniejszeniem liczby ofiar.

Putin traktował tę deeskalację jak narkotyk, który dozował Zełenskiemu, by wymusić znacznie dalej idące ustępstwa.



ANATOLI STEPANOV / AFP / EAST NEWS

Ukraińscy żołnierze w okopach na froncie donieckim, 16 lutego 2021 r.

Jednak gdy ten nie dał się wciągnąć w pułapkę, Kreml *de facto* zerwał rozmowy i zintensyfikował działania militarne: od początku tego roku w Donbasie poległo ponad 20 ukraińskich żołnierzy, podczas gdy przez ponad pięć miesięcy rozejmu po stronie ukraińskiej było 14 zabitych.

Uderzenie w Medwedczuka jest dziś także uderzeniem w Rosję: jasnym sygnałem braku zgody na poszukiwanie kompromisu przy braku gotowości do takowego ze strony Kremla. Nie bez znaczenia był *timing* i kontekst: Putin jest dziś krytykowany na Zachodzie za otrucie i uwięzienie Aleksieja Nawalnego. Zmniejsza to skuteczność rosyjskich oskarżeń, że niszczyć prorosyjskie media, Kijów niszczy wolność słowa.

Niejasne jest, jaka będzie reakcja Moskwy – oraz jaki „plan B” szykuje Zełenski. Jego wezwania, aby USA zaangażowały się w rozwiązanie konfliktu w Donbasie – powodowane także obawą, że gdy jesienią Angela Merkel przestanie być kanclerzem, Kijów może utracić jakże ważne wsparcie Niemiec – nie spotkały się z jasnym odzewem Waszyngtonu. Z powodu takiego zaangażowania trudno zresztą wyobrazić sobie entuzjazm Francji, Niemiec, a tym bardziej Rosji, czyli członków tzw. formatu normandzkiego – nieefektywnego, ale jedynego forum międzynarodowych negocjacji w sprawie Donbasu.

Choć apelując do USA, Kijów wywiera presję na Berlin i Paryż – aby doprowadzić do kolejnego spotkania formatu na najwyższym szczeblu – to wszyscy mają świadomość, że bez ustępstw Moskwy wojna doniecka będzie trwać. A że w optyce Putina ta wojna nie jest problemem, lecz narzędziem – mającym służyć podporządkowaniu całej Ukrainy – perspektywa przełomu jest wciąż odległa.

Biden patrzy na Ukrainę

Zełenski bardzo chce poprawić relacje z USA, upatrując w nich głównego gwaranta bezpieczeństwa Ukrainy. Zostały one mocno nadwyżężone w czasie kadencji Trumpa, który próbował wymusić na Kijowie materiały kompromitujące rodzinę Bidenów (syn obecnego prezydenta, Hunter, zasiadał w radzie nadzorczej ukraińskiej spółki energetycznej o wątpliwej reputacji). Miało to ułatwić Trumpowi reelekcję, a stało się przyczyną pierwszej próby jego impeachmentu.

Nowa administracja USA nie zapomniła urazów. Wprowadziła sankcje wobec ukraińskich posłów Ołeksandra Dubińskiego i Andrija Derkacza, którzy pomagali szukać haków na Bidena jr., a oligarsze Ihorowi Kołomojskiemu zakazała wjazdu do Stanów. Przeciw temu ostatniemu w USA toczą się procesy o pranie brudnych pieniędzy, wyprowadzonych z ukraińskiego Prywatbanku i spożytko-

wanych na zakup nieruchomości w Tekasie i Kentucky. O sankcjach poinformował osobiście sekretarz stanu Antony Blinken, podkreślając destrukcyjny wpływ oligarchy na ukraińską demokrację.

Problemem dla Zełenskiego jest, iż jeszcze niedawno Dubiński i Kołomojski mogli chwalić się bliskimi relacjami z głową państwa. Szczególnie oligarcha, który przez lata był jego partnerem biznesowym i wspierał medialnie Zełenskiego w czasie kampanii wyborczej. Sugestia Blinkena, że należy podjąć zdecydowaną walkę z oligarchami, została szybko zrozumiana: aby w końcu doprowadzić do rozmowy telefonicznej z Bidenem, wykluczono Dubińskiego z prezydenckiej partii i klubu parlamentarnego; zatrzymano też menadżerów Prywatbanku i miano wyrzucić ludzi Kołomojskiego z państwowych spółek energetycznych. Zełenski zapowiedział „pełną deoligarchizację” państwa, przedstawiając rozprawę z Medwedczukiem jako część tej polityki.

Biden z kolei, jak sugeruje „Washington Post”, uzależnia rozmowę z Zełenskim od dalszych konkretnych kroków. Zna bowiem Ukrainę na wylot, w tym jej sposoby na uniki. Jako wiceprezydent u boku Baracka Obamy odwiedził ten kraj sześć razy, ma tu kontakty i wyrobiony pogląd: wie, kiedy jest dobry moment na „dociśnięcie” partnera o konkrety.

Plan „reelekcja”

Skomplikowana układanka uwarunkowań wewnętrznych i zewnętrznych pchnęła więc Zełenskiego do decyzji, które mogą zaostriżyć relacje z Rosją. Kreml nie zwykł ignorować znie wag takiego kalibru. Możliwa jest zarówno eskalacja militarna w Donbasie, jak i ataki hakerskie na ukraińską infrastrukturę. Niewykluczone jednak, że właśnie w takim – nawet jeśli ryzykownym – obrocie sprawy Zełenski widzi szansę na przełamanie impasu w sprawie Donbasu.

Można też odnieść wrażenie, że po prawie dwóch latach Zełenski zasmakował władzy. I uznał, że choć obiecał wyborcom, iż będzie prezydentem tylko przez jedną kadencję – aby ukrozić patologię ukraińskiej polityki i odejść – to teraz doszedł do wniosku, że jest to zbyt krótki okres, aby spełnić tę obietnicę.

Jeśli taki wniosek jest prawdziwy, to decyzje, które właśnie podejmuje, byłyby pierwszymi krokami do walki o reelekcję. ©

Nowy patriarcha, stare problemy

MARTA SZPALA

Wybierając na swojego zwierzchnika biskupa Porfiriusza, serbska Cerkiew chce zostawić za sobą przeszłość – tyleż trudną, co nierozliczoną.

EPIDEMIA MOCNO DOŚWIADCZYŁA SERBSKĄ Cerkiew Prawosławną. Jesienią 2020 r. zmarli jej najbardziej wpływowi duchowni: 82-letni metropolita Czarnogóry Amfilochiusz oraz 90-letni patriarcha Serbii Ireneusz.

Gdy wierni opłakiwali odejście duchowych przewodników, w kuluarach zaczęła się już rywalizacja o przywództwo. Swojego kandydata miał nie tylko prezydent Aleksandar Vučić, ale także Rosja. Decyzja, kto ma zostać nowym zwierzchnikiem serbskiego prawosławia, wykraczała bowiem swymi skutkami daleko poza Serbię.

Wpływy w kraju i za granicą

Na tle Rumunów, Chorwatów czy Greków Serbowie nie są szczególnie religijni. W badaniach Pew Research Center z 2018 r. tylko 34 proc. z nich deklaroowało, że religia odgrywa w ich życiu ważną rolę, a jedynie 19 proc., że przynajmniej raz w miesiącu uczestniczy w mszy. Jednocześnie Cerkiew jest jedną z najbardziej szanowanych instytucji w kraju i elementem serbskiej tożsamości. Jest też postrzegana jako główny obrońca Serbów w krajach sąsiednich: Czarnogórze, Bośni i Hercegowinie, a zwłaszcza w Kosowie.

Wpływy serbskiego patriarchatu wykraczają daleko poza granice byłej Jugosławii. Licząca ok. 12 mln wiernych Cerkiew posiada parafie na całym świecie, w tym w Niemczech i USA. Srdjan Cvijić – stypendysta Instytutu Nauk o Człowieku w Wiedniu i ekspert Balkans in Europe Policy Advisory Group – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem”, że serbska Cerkiew ma zdecydowanie większe wpływy w świecie prawosławnym niż państwo serbskie na arenie międzynarodowej.

Stanowisko patriarchy Belgradu ma też szczególne znaczenie w kontekście konfliktu Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej z Ekumenicznym Patriarchatem w Konstantynopolu. W 2018 r. Moskwa zerwała stosunki z Konstantynopolem, gdy patriarcha ekumeniczny Bartłomiej I zaczął procedurę przyznawania autokefalii Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej.

Walka o Czarnogórę

Swoją potencjał mobilizacji wiernych serbska Cerkiew pokazała w zeszłym roku w sąsiedniej Czarnogórze, gdzie większość wiernych należy do parafii podległych Belgradowi.

Promowana przez miejscowe władze Czarnogórska Cerkiew Prawosławną, która nie jest uznawana przez inne Kościoły prawosławne, nigdy nie zdobyła znacznego zaufania społecznego. Gdy więc w obliczu problemów wewnętrznych prezydent Milo Djukanović postanowił przed wyborami zagrać kartą tożsamościową i zaatakował serbską Cerkiew – jako wroga odrębnej czarnogórskiej tożsamości narodowej – jego dni były policzone. W obronie swojego Kościoła na ulice wyszły tysiące wiernych. Metropolita Amfilochiusz, zanim jesienią zmarł, zdążył zaapelować o głosowanie przeciw rządzącym i nawet wytypował kandydata na przyszłego premiera.

Srdjan Cvijić mówi mi, że atak na serbską Cerkiew był wielkim błędem Djukanovicia: doprowadził do tego, że jego Demokratyczna Partia Socjalistów, rządząca w Czarnogórze od ponad 30 lat, przegrała wybory w sierpniu 2020 r. Skład nowego rządu ustalano – z udziałem metropolity – w słynnym prawosławnym monastyrze Ostrog.

Czyja władza, tego religia

Dla serbskich elit, a zwłaszcza dla prezydenta Vučića, wydarzenia w Czarnogórze były dowodem, jakie znaczenie ma kontrola instytucji kościelnych przez państwo. Tym bardziej że przed Vučićem stoi konieczność wypracowania porozumienia z Kosowem. Na terenie tej byłej serbskiej prowincji są nie tylko najstarsze prawosławne monastypy, ale też historyczna siedziba serbskiego patriarchatu w Peć. Stanowisko Cerkwi od lat jest niezmiennie: „Kosowo to Serbia” i nie ma tu miejsca na ustępstwa. Nieoficjalnie Cerkiew żąda eksterytorialnego statusu dla swoich miejsc kultu w Kosowie. Bez zgody Cerkwi – zapewne milczącej – serbskie społeczeństwo nie zaakceptuje żadnej ugody z Prisztiną.

Tymczasem, jak tłumaczy w rozmowie z „Tygodnikiem” Andreja Bogdanovski – badacz współczesnych Kościołów prawosławnych, związany z Uniwersytetem w Buckingham – Cerkiew to jedyna instytucja w Serbii, której Vučić sobie jeszcze nie podporządkował. Choć zmarły patriarcha Ireneusz był przychylny prezydentowi, to w samej Cerkwi w ostatnich latach narastał wobec niego krytycyzm. Liberalne skrzydło, którego liderem jest biskup Düsseldorfu i całych Niemiec Grzegorz (ulubieniec belgradzkich elit intelektualnych), zarzuca Vučićowi autokratyzm. Z kolei skrzydło radykalne ma pretensje za ustępstwa wobec Kosowa i bierność w czasie kryzysu w Czarnogórze. Vučić, jak mówi mi Srdjan Cvijić, nie chciał ryzykować przejęcia władzy w Cerkwi przez osobę mu nieprzychylną.

Kolejna kwestia to koncepcja stosunków państwo–Kościół w wydaniu Vučića. Bogdanovski uważa, że prezydent jest zwolennikiem „symfonii” państwa i Kościoła oraz rosyjskiego modelu relacji między obiema instytucjami. W tym modelu Cerkiew ma realizować politykę władz świeckich: wzmacniać autorytet prezydenta wśród narodu i wspierać jego działania za granicą.

Było więc dość powodów, aby Vučić włączył się w proces wyboru nowego patriarchy. Spędził Wigilię w serbskim klasztorze na Górze Atos, a prorządowe tabloidy zaczęły zwalczać kandydatów krytycznych wobec władz.

Nowe pokolenie

System wyboru serbskiego patriarchy jest specyficzny: zgromadzenie biskupów wy-



Patriarcha Porfiriusz (w środku) błogosławi wiernych po mszy inauguracyjnej. Belgrad, 19 lutego 2021 r.

łania spośród swojego grona trzech kandydatów, którzy muszą uzyskać poparcie ponad połowy hierarchów. Ostatecznie jednak, jak mówią Serbowie, to „Duch Święty decyduje”: koperty z trzema nazwiskami wkładane są do Ewangelii i patriarchą zostaje ten, kto zostanie wylosowany (zasadę tę wprowadzono w latach 60. XX w., gdy obawiano się ingerencji władz komunistycznych; wtedy się jednak nie przydała – po raz pierwszy zastosowano ją w 1990 r.).

Los najwyraźniej sprzyjał Vučićowi: nowym patriarchą został Porfiriusz, biskup diecezji lublańsko-zagrzebskiej, postrzegany jako sojusznik prezydenta. Natomiast Moskwa stawiała na dwóch pozostałych kandydatów.

59-letni Porfiriusz symbolizuje zmianę pokoleniową w serbskiej Cerkwi. Odchodzi generacja zaangażowana w konflikty w Jugosławii w latach 90. XX w. Jej uosobieniem był metropolita Amfilochiusz, który przyjaźnił się ze zbrodniarzami wojennymi i wspierał działania środowisk skrajnie nacjonalistycznych. Tym samym Cerkiew zostawia za sobą przeszłość – tyleż trudną, co nigdy nie rozliczoną.

Nowy patriarcha znany jest jako wielbiciel muzyki rockowej i osoba przywiązująca dużą wagę do działalności charytatywnej i pomagania najsłabszym. Jest

też ulubieńcem mediów, sprawnie posługuje się nowoczesnymi technologiami. Może to otworzyć Cerkiew na młodych ludzi i oznaczać większe skupienie się na potrzebach zwykłych wiernych.

Srdjan Cvijić zwraca uwagę, że w pierwszym wywiadzie telewizyjnym Porfiriusz stwierdził, iż rozumie problemy, z jakimi się spotyka na co dzień społeczność LGBT. Pozytywnie odniósł się do kwestii wprowadzenia związków partnerskich dla osób tej samej płci (prace nad taką ustawą są prowadzone), zastrzegając, że sprzeciwia się, by nazywano je małżeństwem, bo ten termin jest zarezerwowany dla związku kobiety i mężczyzny. Może to oznaczać, że Cerkiew nie będzie sprzeciwiać się już przyjęciu takich regulacji.

Między Moskwą a Konstantynopolem

Zbliżeniu serbskiej Cerkwi z Cerkwią rosyjską sprzyjają podobne problemy na terytoriach, które obie uznają za kanoiczne.

Problemem dla Belgradu jest nie tylko wspomniana już Cerkiew czarnogórska, ale też Macedońska Cerkiew Prawosławna. Choć nie jest uznawana przez inne Kościoły, to należy do niej zdecydowana większość Macedończyków.

W sporze o autokefalię dla Ukrainiejskiej Cerkwi Prawosławnej Belgrad opowiedział się więc jasno po stronie Moskwy. Obawiano się, że działania patriarchy Bartłomieja zachęca obie te Cerkwie – i władze świeckie obu krajów – do intensyfikacji zabiegów o autokefalię. Tak się zresztą stało.

Mimo wszystko, jak podkreśla Bogdanowski, serbska Cerkiew wciąż stara się balansować między oboma prawosławnymi ośrodkami: Moskwą i Konstantynopolem. Otwarty konflikt z tym drugim mógłby bowiem skutkować poparciem patriarchy Bartłomieja dla starań macedońskich i czarnogórskich. Pod przywództwem Porfiriusza taka polityka będzie zapewne kontynuowana.

Nadzieja na dialog

Podczas inauguracji patriarcha Porfiriusz stwierdził, że Chorwacja stała się jego drugą ojczyzną. Rezydując w Zagrzebiu, miał on bardzo dobre relacje zarówno z hierarchami katolickimi (większość Chorwatów to katolicy), jak też z lewicowymi intelektualistami. Działał na rzecz dialogu ekumenicznego i pojednania chorwacko-serbskiego.

To może być dobry prognostyk dla poprawy relacji Zagrzebia i Belgradu, a także dla nowego otwarcia serbskiej Cerkwi na współpracę z Kościołem katolickim. O zgodę na wizytę papieża w Serbii zabiegano już za pontyfikatu Jana Pawła II, spotykając się jednak z odmową (także pod presją Moskwy).

Srdjan Cvijić mówi, że choć kwestia wizyty papieża w Serbii jest trudna, to nie dotyczy dziś tych obszarów, które są obecnie dla Cerkwi głównym wyzwaniem – jak sytuacja w Kosowie czy Czarnogórze. Jako biskup Porfiriusz spotkał się już z papieżem Franciszkiem w Rzymie, a władze serbskie od lat sygnalizują, że chętnie gościlyby papieża.

Na pierwszej wspólnej konferencji prasowej prezydenta z patriarchą Vučić podkreślił, że gdy państwo i Kościół dążą do tego samego celu, Serbia jest pierwsza w Europie pod wieloma względami, a gdy tak się nie dzieje, staje się łatwą ofiarą przeciwników. Jak jednak będą wyglądać relacje między władzą świecką a kościelną? Trudno przesądzać. Srdjan Cvijić uważa, że gdy teraz Porfiriusz jest patriarchą, jego poparcie dla prezydenta nie ma już tak wielkiego znaczenia, co daje mu o wiele większą swobodę działania. ©

Paweł Bravo, Joanna Mazur-Polańska,
Anna Dziurdzikowska, Bartek Dobroch,
Jacek Ślusarczyk, Edward Augustyn,
Iwona Kuciel, Katarzyna Kubisiowska

Monika Ochędowska, Łukasz Lamża, Marcin Żyła,
Agnieszka Iskra, Marta Filipiuk-Michniewicz,
Artur Strzelecki, ks. Adam Boniecki,
Grzegorz Jankowicz, Edyta Płachta

Tomasz Fiałkowski, Agnieszka Grzywa,
Grażyna Makara, Patryk Stanik,
Zuzanna Radzik, Karolina Przewrocka-Aderet,
ks. Jacek Prusak, Michał Kuźmiński, Maciej Müller



1%

W 2020 r. przekazali nam Państwo rekordowe **309 938,71 zł** w ramach odpisu jednego procenta podatku.

Dziękujemy!

To bardzo ważne wsparcie, które pozwala nam realizować misję naszej Fundacji. Jej filarami są m.in. budowa społeczeństwa obywatelskiego i ochrona wolności słowa oraz wolnych mediów.

Niezależność

jest kluczowym pojęciem towarzyszącym nam w codziennej pracy. Dzięki otrzymanym od Państwa środkom mamy możliwość rozwijania współpracy z instytucjami i ubiegania się o darowizny, dotacje i granty na tworzenie pisma ciekawego, nieoczywistego, suwerennego, wzbogaconego o wydania specjalne, o dodatki naukowe (jak cykl „Wielkie Pytania”),

kulturalne, historyczne i poświęcone demokracji czy solidarności.

Wdzięczność

wyrażamy za zaufanie, za Państwa ofiarność, a także za potwierdzenie, że „Tygodnik” jako pismo co tydzień goszczące w Państwa domach i jako instytucja kultury zapraszająca Państwa do udziału w wydarzeniach kulturalnych jest potrzebny, bliski, ważny i że spełnia Państwa oczekiwania.

Wyzwanie

Początek roku 2021 postawił przed nami kolejne, nieoczekiwane wyzwania. Redakcja „Tygodnika” po 76 latach musi opuścić swój dotychczasowy adres – Wiślną 12. Od pierwszych dni stycznia trwają poszukiwania nowej siedziby, w którym to procesie bardzo Państwo pomagają.

dzięki Wam!

Ewelina Burda, Michał Okoński, Sylwia Frotow,
Przemysław Wilczyński, Grzegorz Bogdał,
Piotr Sikora, Anna Goc, Wojciech Pięciak,
Wojciech Jagielski, Aleksander Kardys

Kalina Błazejowska, Andrzej Leśniak,
Anna Karolewska, Mateusz Gawron,
Gabriela Rosińska, Marek Rabij,
Anita Piotrowska

Artur Sporniak, Rafał Woś, Anna Pietrzykowska,
Marta Bogucka, Piotr Mucharski, Maciej Szklarczyk,
Maja Kuczińska, Łukasz Kwiatek, Marek Zalejski



Ale przeprowadzka to nie jedyne wyzwanie, jakie stawia przed nami nowy rok. Przede wszystkim będziemy zajmować się tym, co jest podstawową misją Fundacji.

Plany

W nadchodzącym roku jeszcze bardziej chcemy skupić się na ochronie i zabezpieczeniu dziedzictwa „Tygodnika Powszechnego” – poprzez cyfryzację archiwów oraz powstanie nowej strony internetowej. Dzięki nim będą mogli Państwo czerpać ze stale powiększającego się zbioru tekstów, które przez lata ukazały się na łamach „Tygodnika Powszechnego”.

Czekają nas festiwale – Conrad i Copernicus. Rozwijamy nasz autorski ogólnopolski projekt wspierania czytelnictwa, czyli „Lekcje czytania”.

Podjęliśmy także kolejną produkcję filmową – „Ukos światła” w reż. Wojciecha Szumowskiego.

Misję

realizujemy także przez tematyczne dodatki do naszego pisma, współwydawanie wydań specjalnych „TP”, współprodukcję Podkastu Powszechnego, a także różnych innych multimedialnych form publicystyki.

Najważniejszy

jednak dla nas jest „Tygodnik”, pismo, które dzięki Państwu co roku zwiększa swój zasięg. To Wy – nasi Czytelnicy – dajecie nam niesłabnące wsparcie oraz pokazujecie, że warto. „Tygodnik” jest suwerenny dzięki Wam.

*Zespół Fundacji Tygodnika Powszechnego
oraz „Tygodnika Powszechnego”*

Przeznacz 1% podatku na działalność Fundacji Tygodnika Powszechnego, która dba o dziedzictwo i rozwój „Tygodnika Powszechnego”.

Wpisz w zeznaniu podatkowym

nr KRS 0000125605

Więcej informacji:

powszech.net/jedenprocent

Zachęcamy także do bezpośrednich wpłat na rzecz Fundacji:

Santander Bank Polska S.A.

31 1910 1048 2006 1845 1121 0001

Więcej informacji (przelewy w dolarach i euro, IBAN): powszech.net/dar



ARCHIPELAG UTOPII

Wzorem były obozy komsomolskie: Miasteczko Dziecięce pod Szczecinem miało służyć edukacji w duchu komunizmu. Nie był to jedyny eksperyment społeczny w tym zakątku pojałtańskiej Polski.

PIOTR OLEKSY

DROGI OBYWATELU PREZYDENCIE – Kochany Nasz Przyjacielu! – takimi słowami list do Bolesława Bieruta rozpoczęli członkowie Prezydium Rady Narodowej Miasteczka Dziecięcego w Podgrodziu, niewielkiej wsi położonej na ziemiach pomieckich, ok. 50 km na północ od Szczecina. Był 16 lipca 1952 r. – w Miasteczku zaczynał się pierwszy letni turnus.

Przed jego twórcami postawiono zadanie: mieli stworzyć utopijną „republikę dziecięcą”, wychowując „nowego typu człowieka” na wzór sowiecki. W cytowanym liście „obywatele” tej republiki – czyli dzieci – pisali: „Jesteśmy szczęśliwi, że pierwsi możemy brać udział w samodzielnym kierowaniu życiem w Miasteczku, że uczymy się sztuki kierowania państwem”.

Nowy świat, nowe możliwości

Znaleźli się w miejscu niezwykłym. Nie wielki półwysep leżący na zachodnim wybrzeżu Zalewu Szczecińskiego, a na nim urokliwa wioska zbudowana z podobnych do siebie parterowych domków ze skośnym dachem. Z jednej strony ogrom wody, a z drugiej puszcza, nazywana niedawno Wkrzańska. Rzut beretem od wioski granica państwa. Jedno z tych miejsc, do których nie da się trafić przypadkiem.

Przy dobrej widoczności można dostrzec stąd klify wyspy Wolin, leżącej po drugiej stronie Zalewu. U stóp jednego z nich Jan Papuga, pisarz i podróżnik, spróbuje kilka lat później zrealizo-

wać inną utopię: stworzyć rybacką wspólnotę wolnych ludzi. „Będziemy szukać doskonałości w pracy i układać ją na lata, i uczyć się rządzić na sobie. Słowo będzie się zawsze pokrywać z jego znaczeniem i będziemy mieć zaufanie do siebie. Będziemy jednoznaczni, ale i z wyobraźnią, i dowcipem” – napisze Jan Papuga o tym pomysle w wydany wiele lat później opowiadaniu pt. „Wspólnota”.

Zarówno wyspa Wolin, jak i tereny leżące na północny zachód od Szczecina – z Policami, Trzebieżą, Nowym Warpem i Podgrodziem – zostały formalnie przyłączone do pojałtańskiej Polski dość późno, dopiero w październiku 1945 r. Decyzja w tej sprawie zapadła na konferencji w Poczdamie i miała podłoże strategiczne. Chodziło o to, by powojenna Polska mogła kontrolować całe ujście Odry.

W ten sposób także Podgrodzie stało się najbardziej odległym zakątkiem ziem zwanych odzyskanymi. Charakter takich miejsc przez długi czas określały obecność i władza armii sowieckiej, bliskość granicy, a także przyroda i krajobraz: wybitnie wyspiarski, zdominowany przez żywioł do tej pory słabo oswojony w polskiej wyobraźni. Wysiedlenie Niemców sprawiło, że takie miejsca zdawały się być ziemią bez właściwości kulturowych. Przestrzeni, którą można zapisać na nowo. Dlatego kuśliły, by tu realizować utopijne pomysły.

Bardzo dziki Zachód

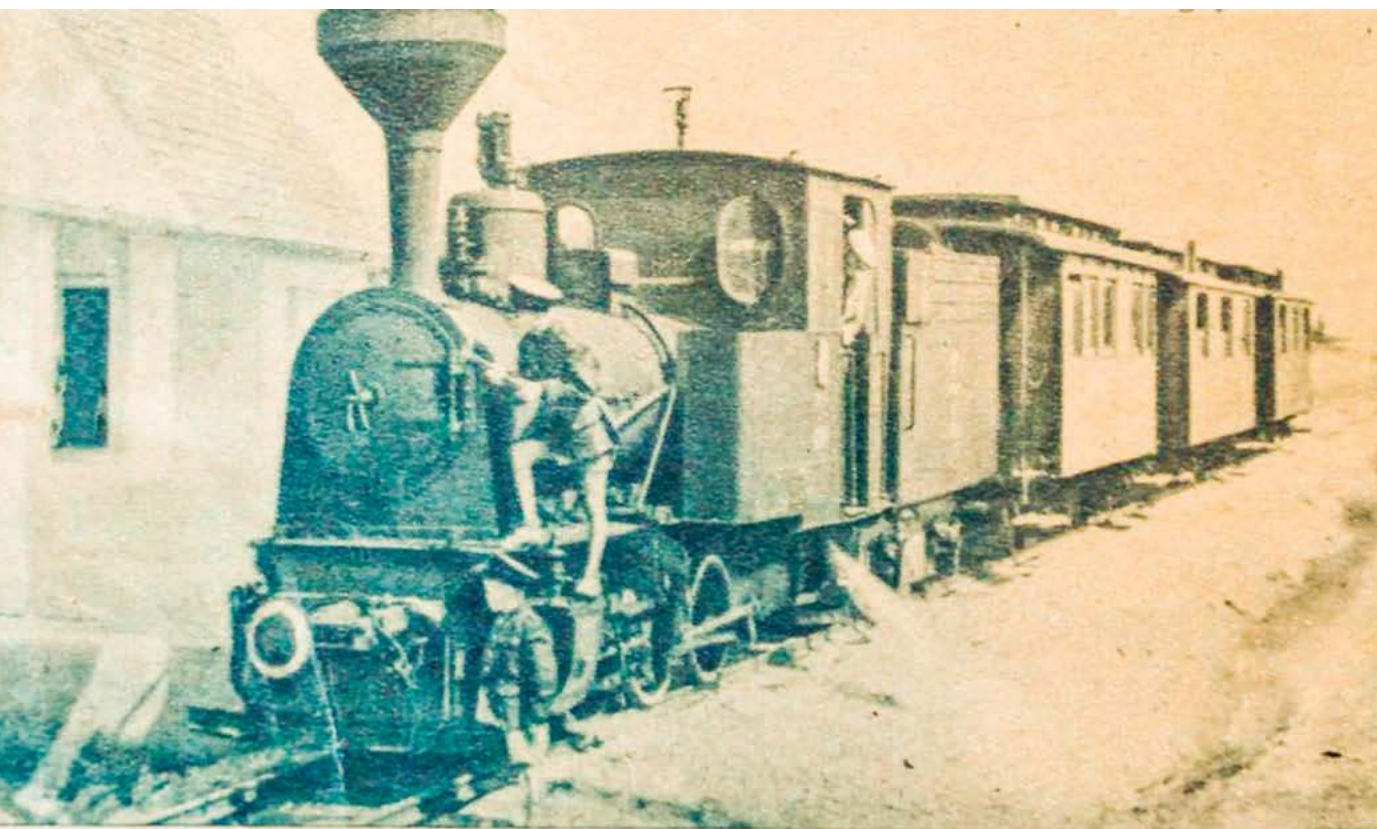
Bolesław Bierut odwiedzał ten region. Władysław Poronis, rybak z położonych

na wyspie Wolin Karnocic, wspominał, jak w 1950 r. wynajęto go do holowania łodzi, z której prezydent PRL polował, strzelając do czego popadnie, „czy to mewa, czy nie mewa”.

Legenda głosiła, że to sam Bierut podarował dzieciom Podgrodzie. W rzeczywistości pomysł ten zrodził się we władzach Związku Spółdzielni Przemysłowych i Rzemieślniczych (ZSPR) w Warszawie. Inspiracją był obóz Artek na Krymie: pierwsze i największe sowieckie miasteczko dziecięce, w którym młodzież miała uczyć się samorządności w duchu komunizmu. Jego odpowiedniki powstawały także w innych krajach bloku wschodniego. To w Podgrodziu miało działać tylko w okresie letnim, łącząc indoktrynację z wypoczynkiem wakacyjnym.

Nie wiemy, dlaczego władze ZSPR skierowały wzrok na Podgrodzie. W poświęconej Miasteczku broszurze z 1953 r. czytamy, że „komisja fachowców, która tu dotarła, od razu oceniła, iż ma przed sobą obiekt niezwyklej wartości. (...) W takich warunkach można ośrodek kolonijny postawić na wysokim poziomie, a kto wie, może nawet... sięgnąć do radzieckiego wzoru miasteczka – Arteku i stworzyć w Polsce podobną republikę dziecięcej radości”.

Wioska w takiej formie, jaką została wspomniana komisja, powstała na krótko przed II wojną światową. To wtedy w Altstadt (tak się wówczas nazywała) zbudowano urokliwe domki, w których podobno umieszczono ryba-



ZE ZBIORÓW R. FALKOWSKIEGO / REPRODUKCJA ARTUR KUBASIK

Zawiadowca stacji już się niecierpliwi, a maszyniści Zbyszek Drotowski i Janusz Krystman coś tam jeszcze „opukują”. „W porządku?!“ — „Gotowe!” — odkrzykuje Janusz i kolejka wypełniona dziatwą wyrusza w swoją codzienną trzykilometrową drogę w stronę plaży.

Kolejka wąskotorowa i mali kolejarze; strona z „Życia Podgrodzia”, gazety wydawanej w Miasteczku Dziecięcym.

ków wysiedlonych z okolic Peenemünde – w tej miejscowości na wyspie Uznam powstał niemiecki poligon broni rakietowych (V1 i V2).

Podczas wojny wioska nie została wprawdzie zniszczona, ale organizatorzy Miasteczka nie wchodzili na gotowe: Podgrodzie i pobliskie Nowe Warpno rozszabrowano. Irena Szydłowska, urzędniczka Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, która latem 1946 r. odwiedziła te okolice, zanotowała: „Swoistym okazem »Dzikiego Zachodu« było Nowe Warpno – przed wojną bardzo zamożne miasteczko, pełne jeszcze wtedy Niemców. (...) Wobec tego, że leży ono na samej granicy, wszechwładnym panem był tu WOP [Wojska Ochrony Pogranicza – red.]. Wopiści ustalili godzinę policyjną na 17.00. Po tej godzinie nie tylko ludność niemiecka i nieliczni jeszcze osadnicy polscy, ale i milicjanci nie mieli prawa pokazywać się na ulicy (...). Potem opowiadano mi w Nowym Warpnie, że wszelacy dostojnicy nie tylko ze Szczecina, ale i z Warszawy, wywozili pełne ciężarówki

mebli, dywanów, sprzętów domowych i różnych niemieckich *objects d’art*, właśnie z tego odległego miasteczka, w którym nie było innej kontroli niż WOP. Już wiedziałam, po co była godzina policyjna”.

Najlepszy do rad!

Z czasem Zachód stawał się coraz mniej Dzikim, a jednym ze sposobów na jego ucywilizowanie miało być stworzenie „rzeczpospolitej najmłodszych” – tak Podgrodzie określiła Kronika Filmowa.

Pierwsze doniesienia o planowanym Miasteczku Dziecięcym pojawiły się w „Kurierze Szczecińskim” w marcu 1952 r. Przyjęto ambitny plan, że ośrodek ruszy już najbliższego lata. W efekcie nieco pospieszonych remontów udało się przygotować ponad 40 budynków mieszkalnych. Z czasem powstały cztery stołówki, sala kinowa, amfiteatr, przystań kajakowa, stadion, a także obiekty imitujące życie prawdziwego miasta: poczta, centrala telefoniczna, restauracja. Połączono dwa budynki, położone przy wjeździe do wio-

ski, tworząc arkady, które stały się wizytówką Podgrodzia. Całość otaczały tory kolejki wąskotorowej zbudowanej na potrzeby Miasteczka. Mały pociąg, zatrzymujący się na takich stacjach jak „Las” czy „Plaża”, zapisze się potem silnie we wspomnieniach osób, które spędziły tu wakacje.

Wreszcie, w lipcu 1952 r., przyjechało tu około tysiąca dzieci. O ich komfort dbało około dwustu osób.

Po przyjeździe każdy uczestnik turnusu był przydzielany do jednej z czterech dzielnic oraz do mniejszych grup: zastępów i drużyn. Sprawne funkcjonowanie Miasteczka miało zapewniać działanie tzw. służb: dzieci miały więc okazję zostać milicjantem, listonoszem, kolejarzem, strażakiem itd. Ukazywała się nawet prasa, gazeta „Głos”, a potem „Życie Podgrodzia”.

Całością zarządzała Miejska Rada Narodowa Miasteczka Dziecięcego. Wybory do niej odbywały się na kilku etapach: najpierw wyłaniano radę drużyny, potem zastępu i dzielnicę, a w końcu →

→ na zgromadzeniu wszystkich kolonistów w amfiteatrze wyłaniano członków tej najważniejszej rady. Czuwali nad tym oczywiście wychowawcy, jednak w pierwszych latach do dziecięcej samorządności podchodzono poważnie. Gdy członków pierwszej władzy Miasteczka przyjął przewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej w Szczecinie, przestrzegając: „Karami nie szafujcie zbyt łatwo. Kara powinna wychowywać, a nie łamać...”.

Do Podgrodzia często zapraszano prasę krajową i zagraniczną. Skandal wybuchł, gdy w 1953 r. mały milicjant w rozmowie z zagranicznym dziennikarzem powiedział, że wprawdzie nie ma tu więzień, ale „przydałyby się”. Powołana specjalnie komisja pedagogów orzekła, że w Miasteczku zapanowała „pajdokracja”. Postanowiono ograniczyć nieco zakres dziecięcej samorządności, a wzorce organizacyjno-wychowawcze zaczerpnąć z harcerstwa.

Nad Podgrodzem nadal unosił się duch sowieckiego pedagoga Antona Makarenki, ale nacisk propagandowy słabł, zwłaszcza po październiku 1956 r. Gdy obchodzono z dużym rozmachem pięciolecie Miasteczka, w „Życiu Podgrodzia” nie pisano już peanów na cześć władz. Znalazło się tam za to wiele słów o uśmiechu i wspomnieniach radosnych wakacji.

Naturszczyk w sandałach

W życiu Jana Papugi był to trudny czas. W 1946 r., w wieku 31 lat, zadebiutował literacko wydając zbiór opowiadań „Szczury morskie”, w których opisał swe marynarskie przygody z czasów wojny (pływał w konwojach). Krytyka zachwyciła się jego autentyzmem naturszczyka. Zofia Nałkowska notowała w dzienniku: „Doskonały nowy talent – Papuga Jan. Typ tematu obcy mi: egzotyka, zabicie lwa, krótki romans z Arabką, która tego chciała. Ale zwięzłość, spokój, istotność, dobry gatunek”.

W Szczecinie Papuga stał się postacią sztandarową dla tworzonej – nieco odgórnie – kultury morskiej. A przy tym barwną: bywalec klubów literackich i portowych spelun, przechadzający się w kolorowej koszuli i sandałach. Ale sukces debiutu nie chciał się powtórzyć. Papuga pisał, wydawcy prosili o poprawki, a on odmawiał. Grono wielbicieli utwierdzało go w kulcie własnego naturszczykostwa.



ARTUR KUBASIK x2

Rzeźba na brzegu Zalewu Szczecińskiego w Nowym Warpnie, 2020 r.

Ten socjalista z przekonania, wywodzący się z łódzkich Bałut, który w swej twórczości doceniał trud pracy robotnika, coraz gorzej czuł się w świecie zdominowanym przez partyjną biurokrację. Chciał wrócić na morze i w 1951 r. zamu-



DANUTA B. ŁOMACZEWSKA / EAST NEWS

Pisarz Jan Papuga na zjeździe Związku Literatów Polskich w Krakowie, 4 grudnia 1965 r.

strował się na statek płynący do Chin. Rejs skończył się wyrzuceniem go z Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i pozbawieniem książeczki żeglarskiej, co uniemożliwiało dalszą pracę marynarza. Poszło o jego krytyczne wypowiedzi na temat kultu Stalina podczas spotkania komórki partyjnej na statku.

Niedoszła wspólnota chwatów

Właśnie w tych trudnych dla Jana Papugi latach w jego głowie zrodziła się wizja: stworzenia wspólnoty pisarzy, artystów i w ogóle ludzi wolnych.

Najpierw chciał ją ulokować na wyspie Karsibór (pracował tam krótko w Urzędzie Morskim). W tym czasie nie miała stałego połączenia z wyspami Wolin i Uznam, była więc najbardziej odległym miejscem tego nowego polskiego archipelagu. Swoją ideę próbował też umiejscowić w Bieszczadach, ale szybko wrócił nad Zalew Szczeciński.

Na początku lat 60. Papuga w jakiś sposób otrzymał na swój użytek sporą działkę w Lubinie, u stóp klifowego wybrzeża. Miał tam dwa małe baseny portowe, hangar i rozpadające się domostwo. Kilka lat wcześniej obserwował rekordowe połowy miejscowych rybaków – wierzył, że jego wspólnota może finansować się z połowów.

Niestety, czas rybackiej prosperity na Zalewie minął. Co więcej, na wezwania Papugi nie odpowiadali też koledzy. Przyłączył się tylko jeden. Po kilku miesiącach przyszło zniechęcenie. „Nie łowiłmy ryb, nie łowili też rybacy z Lubina, ale oni mieli gospodarstwa z trzodą, z krowami. My przejadaliśmy ostatnie pieniądze, zaległość wypłaty Zenka, którą przysłała mu huta. Każdy z osobna zaczął myśleć o odwrocie” – pisał w opowiadaniu „Kaczy dół”. Zdaniem Papugi zawiedli ludzie i system, który zduszał w nich to, co najlepsze: „Tylko gdzie są te chwaty? Szukam ich tak długo. Różni mędrcy, z klu-



Tak wyglądają dziś arkady, kiedyś wizytówka Miasteczka Dziecięcego. Podgrodzie, 2020 r.

bów, z prasy, z urzędów mówią mi, że takich dziś nie ma. Nie ma? Muszą być! Tak jak musi być powietrze, las, woda, morze. Muszą być, bo świat należy do orłów, do dzielników, do chwatów, a nie do kameleonów, do ludzi z klubów, z urzędów”.

Konfrontacja z żywiołem

Gdy w 1945 r. pojałtańska, a właściwie popoczdamska Polska otrzymała region ujścia Odry, Zalew Szczeciński oraz tamtejsze wyspy i półwyspy mogły zachwycić – zarówno niezwykłym krajobrazem, jak też lokalną infrastrukturą. Działo to na wyobraźnię i zdawało się otwierać zupełnie nowe możliwości, zarówno w oczach władz, jak i romantycznych awanturników, takich jak Papuga. Później to właśnie natura, która tak bardzo przyciągała, zweryfikowała wiele planów.

Zalew nie był już tak rybny, jak na to liczył Papuga. Okazało się też, że po-

łowy są trudną sztuką, która wymaga wiedzy i doświadczenia. „Ci tu półlitrowi aferzyści byli mądrzejsi od nas o niebo” – pisał. Chciał zakończyć swoją przygodę z animuszem, zdecydował się więc na przeprawę małą łódką rybacką na drugą stronę Zalewu, do Trzebieży. Udało się, choć tamtejsi żeglarze i rybacy uznali, że przy tej sile wiatru było to szaleństwo.

Żywioł wyhamował też entuzjazm Miasteczka Dziecięcego. W lipcu 1958 r. doszło do tragedii: utonęły cztery dziewczynki w wieku 10-11 lat oraz wychowawca, który próbował je ratować. Stało się to podczas wycieczki kajakowej. Silny wiatr spychał kajaki w głąb Zalewu. Większość grupy udało się ocalić, jednak dwa kajaki podryfowały na daleką wodę. Ciała tragicznie zmarłych znaleziono kilka dni później w okolicach dalekiego Kamienia Pomorskiego.

„Po tej tragedii kwitnące dotąd Miasteczko Dziecięce zaczęło podupadać na różnych płaszczyznach swej działalności, a naturalną spontaniczność towarzyszącą wypoczynkowi zaczęto włączać w szczegółowe regulaminy” – pisze Barbara Sowińska-Adamczyk w książce „Miasteczko dziecięce. Monografia Podgrodzia 1952–1973”.

Po latach

Później, w roku 1962 – po dekadzie funkcjonowania – Miasteczko przeszło pod zarząd Zjednoczenia Hutnictwa Żelaza i Stali. Polska pod rządami Władysława Gomułki to nie był już czas na nowe społeczne eksperymenty, nawet te komunistyczne. Stopniowo Miasteczko ewoluowało w stronę typowego ośrodka kolonijnego, od innych wyróżniającego się przede wszystkim wielkością. W 1973 r. nastąpiła kolejna zmiana: w miejscu ośrodka kolonijnego utworzono ośrodek resocjalizacyjny. W ten sposób przez kolejnych kilkadziesiąt lat Podgrodzie służyło dzieciom i nastolatkom ze specjalnymi potrzebami. Dzisiaj znów jest malowniczą wioską, do której nie da się trafić przez przypadek.

Natomiast Jan Papuga – zmarły w 1974 r. w Szczecinie, w wieku zaledwie 58 lat – nie pomylił się aż tak bardzo. Wprawdzie jego projekt wspólnoty równych i wolnych ludzi okazał się utopią, jednak rybactwo – mimo wszystkich trudności – miało określać charakter Lubina i okolic jeszcze przez kilka kolejnych dekad. Ale to już inna opowieść: o rybakach oraz ich walce o przetrwanie.

© PIOTR OLEKSY

Autor jest historykiem z UAM. Wkrótce w Wydawnictwie Czarne ukaże się jego książka o historii najnowszej polskich wysp.

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 177/20 postępowanie z wniosku Dariusza Jacalskiego o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy zabudowanej nieruchomości położonej w Bieździadowie, oznaczonej geodezyjnie jako działka 135, arkusz mapy 2, o powierzchni 0,06,75 ha, dla której była prowadzona księga wieczysta Bieździadów k. 204.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 157/20 postępowanie z wniosku Bożeny Chałupniczak o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy zabudowanej nieruchomości, położonej w Łuszczanowie, oznaczonej geodezyjnie jako działka 458 arkusz mapy 1, o powierzchni 0,40,00 ha, dla której była prowadzona księga wieczysta Łuszczanów k. 36.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.



KORONA CZERWONEJ KRÓLOWEJ

Nie zrozumiemy reguł rządzących obecną pandemią
bez znajomości podstaw biologii ewolucyjnej.
Wynika z nich, że bierzemy teraz udział w ważnym wyścigu.

SZYMON DROBNIAK

MOŻE NIE WSZYSCY ZDAJEMY SOBIE z tego sprawę, ale prawie wszyscy mówimy ostatnio językiem biologii ewolucyjnej. „Selekcja”, „wzrost wykładniczy”, „mutacje”, „ewolucja” – pandemia spowodowała, że używamy tych pojęć częściej niż zwykle. I, co ciekawe, w przykrym, ale jednak naturalnym dla nich kontekście. To znamienna odmiana, bo w ostatnich latach termin „ewolucja” pojawiał się w mediach bodaj najczęściej przy okazji różnych kreacjonistycznych wybryków, np. projektów otwarcie promującej tzw. Inteligentny Projekt fundacji En Arche.

Teoria ewolucji to temat wyjątkowo podatny na podobne pseudonaukowe dywagacje. Wiele osób myśli o niej jako o czymś metafizycznie doniosłym, a zarazem ważnym osobiście. Czymś, co przesądza o wyjątkowości doświadczenia bycia człowiekiem, albo wręcz przeciwnie – degradowuje nas, umieszczając wśród wszystkich innych, zwyczajnie zwierzęcych gałęzi drzewa życia. Tak jakby przyjęcie darwinowskiej wizji ożywionej przyrody oznaczało oddanie walkowerem jakiejś części nas samych bliżej nieokreślonemu, bezosobowemu chaosowi.

Helena Bonham Carter jako Czerwona Królowa w filmie „Alicja po drugiej stronie lustra”, reż. James Bobin, USA, 2016 r.

Częścią problemu, jaki niektórzy mają z teorią ewolucji, jest jej nieuchwytność. Ewolucji zachodzącej szybko, w skali lat, z reguły nie widzimy. Nazywamy ją mikroewolucją: dotyczy niedostrzegalnych genów, przetasowuje abstrakcyjne allele – wersje kawałków materiału genetycznego krążące między rozmnażającymi się osobnikami, często niemające wyraźnego wpływu na wygląd czy zachowanie organizmów. Równania i modele jasno nam mówią, że ona zachodzi – że *on* *u* *si* zachodzić. Ale bez wyrafinowanych metod genetyki niewiele możemy z jej przebiegu zobaczyć na własne oczy. Mikroewolucja kumuluje się z czasem w wielkie skoki i salta makroewolucji – zmiany gigantyczne, fundamentalne, które skutkują wyrastaniem oczu tam, gdzie ich nie ma, czy powstawaniem zdolności do lotu tam, gdzie było niezgrabne pełzanie. Makroewolucja zapisuje swoje transformacje na kartach epok i er. Zmian tego kalibru już zupełnie nie możemy zobaczyć na własne oczy, zamknięci w naszych krótkich życiach – pozostaje nam zaufanie naukowej metodzie upierającej się przy ich zasadności i realności.

Aż nagle wszystko zmieniło się jak za dotknięciem magicznej, wirusowej różdżki. Pandemia wywróciła do góry nogami tak wiele w naszych przyzwyczajeniach i codziennym życiu, że wiele subtelniejszych rewolucji mogło nam

umknąć. Np. to, że zaczęliśmy odmierzać czas w jednostkach kolejnych faz badań klinicznych, z napięciem śledząc medyczny thriller wynajdywania, testowania i wreszcie zatwierdzania mających przywrócić porządek na świecie szczepionek. Albo niespodziewany renesans nieco zapomnianych i zniekształconych słów, takich jak „mutant”, „dobór”, „przewaga selekcyjna”. Tytuły prasowe zaroziły się od ewolucyjnych aluzji, a w telewizyjnych relacjach, obok nieco już zmęczonych wirusologów i epidemiologów, pojawili się genetycy i specjaliści od ewoluujących mikrobów. Traktowana po macoszemu, czasami z lekką ignorancją, a z reguły ze sporą dozą rezerwy, ewolucja wróciła więc na salony. I był to powrót triumfalny, bo w całej koronawirusowej układance odgrywa ona kluczową rolę.

Logiczna konieczność

Ewolucja była rzecz jasna częścią historii koronawirusa od samego początku jego pandemicznego pochodzenia przez kolejne kraje. Wirus – choć jest bytem przez biologów niechętnie stawianym obok jednoznacznie żywych organizmów, takich jak bakterie, rośliny czy zwierzęta – ma wszystko, co powinien posiadać obiekt podlegający ewolucji drogą doboru naturalnego. Warunki te wynikają z zasad sformułowanych przez Karola Darwina, według których do takiej ewolucji potrzebne →

→ są międzyosobnicze różnice w jakiejś cenie (aby ewolucja miała z czego wybierać), które muszą być dziedziczne (tak, aby kolejne pokolenie mogło przejmować wartości cech swoich rodziców) oraz muszą wpływać na powodzenie posiadających je osobników (mierzone jako sukces w przeżyciu lub w produkcji własnego potomstwa). Wreszcie – warunek kluczowy: organizm musi się rozmnażać. W latach 70. XX w. te fundamentalne warunki zachodzenia ewolucji na drodze selekcji naturalnej zamknął w formie jednego, zgrabnego matematycznego wzoru amerykański genetyk – człowiek równie genialny, co ekscentryczny – George R. Price.

Geniusz równania Price'a wynika m.in. z tego, że nie pozostawia ono miejsca na żadną dowolność. Ewolucja – jeśli tylko spełnione są wspomniane warunki dziedziczności, zdolności do produkowania własnych kopii, zmienności oraz związku choć jednej cechy z sukcesem osobnika – jest zwyczajnie nieuchronna. Na dobrą sprawę, według równania Price'a, do ewolucji nie potrzebujemy nawet życia! Obiekty dowolnego typu, posiadające cztery fundamentalne właściwości wpisane w formułę Price'a, będą musiały zmieniać się w czasie – ewoluować drogą selekcji. Co więcej, ewolucja ta nie będzie wcale jakimś niezwykłym faktem, tylko zwyczajnie logiczną konsekwencją spotkania się w jednym miejscu kilku dość prostych właściwości.

Dlaczego ewolucja, tak często niezauważana w kontekście wszystkich innych żywych organizmów, w przypadku koronawirusa tak łatwo dała nam o sobie znać i przypominała o swojej sile? Koronawirus ma w sobie kilka cech, które wywindowały siły napędzające ewolucję biologiczną na poziom niedostępny większości innych organizmów żywych. Po pierwsze, SARS-CoV-2 jest wirusem o materiale genetycznym opartym na RNA. Białkowa kapsułka stanowiąca „ciało” wirusa (wirion) zawiera w swoim wnętrzu wszystkie wirusowe instrukcje i plany konstrukcyjne zapisane nie na stabilnym, stosunkowo trwałym DNA (jak u bakterii, roślin, grzybów i zwierząt), ale właśnie na RNA – cząsteczce, która u innych organizmów żywych również bierze udział w przetwarzaniu informacji genetycznej, jednak tylko w konkretnych, krótkich momentach.

Informacja genetyczna takiego wirusa jest znacznie bardziej podatna na muta-

W wyścigu zbrojeń
dwóch zwalczających się
organizmów każdy z nich
musi wciąż ewoluować,
by nie zostać w tyle
i nie odpaść z zawodów.

cje – losowe zmiany konkretnych „liter” sekwencji genetycznej, a co za tym idzie – kodowanych przez te „litery” produktów – białek wirusa. Badania sugerują wręcz, że większość wirusów może na stałe funkcjonować tuż poniżej progu śmiertelnego dla nich tempa mutacji genów. Te wirusy stale znajdują się o krok od mutacyjnej katastrofy, trwałego uszkodzenia ich informacji genetycznej.

Same mutacje nie wystarczą jednak, by ewolucja drogą naturalnej selekcji mogła zachodzić. Odpowiadają one raptem za jeden kawałek układanki w równaniu Price'a – zmienność: mutacje, produkując nowe wersje genów, sprawiają, że wirusy zaczynają się od siebie coraz bardziej różnić. Drugi kawałek układanki – zdolność do kopiowania siebie – mamy jednak zagwarantowany. Wirusy są mistrzami replikacji, cała ich biochemia podporządkowana jest jednemu: wnikięciu do komórki gospodarza i produkcji możliwie jak największej liczby kopii samego siebie.

Kolejny kluczowy składnik – selekcję – zapewniliśmy SARS-CoV-2 my sami.

Wirus w inkubatorze

Kiedy w Wielkiej Brytanii zaczęto rejestrować w grudniu 2020 r. gwałtowny wzrost udziału pewnego wariantu koronawirusa (ochrzczonego „wariantem brytyjskim”), badaczy zaskoczyła w nim jedna rzecz: w jego genomie pojawiło się kilka dość odległych od siebie mutacji, wszystkie obserwowane po raz pierwszy. Zaskoczenie było duże, ponieważ mutacje pojawiają się losowo – są najczęściej wypadkami przy pracy, potknięciami maszynierii kopiującej materiał genetyczny wirusa lub czysto chemicznymi zmianami „liter” niezbyt stabilnego RNA.

Dlaczego nowy wariant miał kilka nowych mutacji? Jak się okazało niedługo później, mogło to mieć związek ze sposobem, w jaki ów wariant powstał. Podobne zestawy mutacji zaczęto odkrywać u cha-

rakterystycznej grupy pacjentów: chorych, którzy ze względu na mniejsze lub większe upośledzenie własnego układu odpornościowego, nie reagowali zbyt mocno na infekcję koronawirusa. U takich pacjentów COVID-19 mógł trwać tygodniami lub miesiącami, a ich organizmy, pozbawione efektywnej ochrony immunologicznej, były kipiącymi wirusem inkubatorami. W wielu przypadkach tacy chorzy – po przyjęciu do szpitala – poddawani byli zabiegom mającym symulować naturalną reakcję odpornościową, np. przez podanie przeciwciał antykoronawirusowych uzyskanych z krwi chorych, którzy przeszli infekcję (tzw. osocze ozdrowieńców).

Strategia taka była w zasadzie stosowaniem równania Price'a w wersji z turbodoładowaniem. Pacjent był żywą hodowlą cząsteczek wirusowych namnażających się z szaloną prędkością. Takie tempo replikacji oznaczało wielokrotnie większe tempo powstawania najrozmaitszych, czysto losowych mutacji. Większość z nich to były zapewne mutacje neutralne, niemające wpływu na takie cechy wirusa, jak tempo kopiowania się czy szybkość rozprzestrzeniania się z komórki do komórki. Wiele mutacji musiało mieć negatywny wpływ na wirusa – powodowały uszkodzenia ważnych dla niego genów – np. kodujących białka umożliwiające infekcje nowych komórek. Czasami jednak pojawiające się mutacje były dla wirusa korzystne, nieznacznie poprawiały jego efektywność w infekowaniu komórek gospodarza – np. przez nieco silniejsze wiązanie się z ich białkami.

W normalnej sytuacji mutacje takie mogłyby pozostać niezauważone – terapia za pomocą przeciwciał anty-SARS-CoV-2 efektywnie jednak eliminowała wszystkie inne, nieco wrażliwsze czy trochę wolniej namnażające się wersje wirusa. Dochodziło więc do odfiltrowania z ogromnej różnorodności wariantów wirusa tych wirionów, które – dzięki posiadanym mutacjom – radziły sobie w ciele pacjentów najlepiej. Z czasem do korzystnych mutacji dołączały kolejne, dodając swoje nieznacznie pozytywne efekty. I tak, dzięki pozornie poprawnej strategii leczenia przewlekłej infekcji wirusowej – wyhodowany został wariant, który po wydoświadczeniu się z organizmem „pacjenta zero” z łatwością zaczął wypierać inne, mniej konkurencyjne wa-

rianty w całej populacji, szybko monopolizując brytyjskie podwórkę.

Podobny mechanizm, również „wspierany” przez nowoczesną medycynę, doprowadza do ewolucji antybiotykooporności u bakterii. Tutaj również mamy chodzące inkubatory patogenów – ludzi z toczącymi się infekcjami bakteryjnymi – oraz niezwykle silną presję selekcyjną w postaci antybiotyków, substancji zaprojektowanych tak, by bakterie zabić i uniemożliwić im wyprodukowanie swoich kopii. Wystarczy niewielka niekonsekwencja w ich stosowaniu, np. niedokończenie przepisania przez lekarza kursu antybiotykowego, by wstępnie wyselekcjonowane i częściowo odporne mutanty mikroba wydostały się z organizmu, gotowe na podbój kolejnych, prześlągniętych antybiotykami środowisk. Jeśli wszystko to dzieje się w takim miejscu jak szpital, gdzie mamy nagromadzenie pacjentów i antybiotyków, ewolucja dostaje do dyspozycji wszystkie potrzebne składniki, by w końcu wyhodować superzarazki, niewrażliwe na wszystkie znane nam antybiotyki.

Szczepionkowy wyścig

Mogłoby się więc wydawać, że ewolucja odpowiada za wszystko, co najgorsze we współczesnym świecie – ale to podpowiada tylko nasza zniekształcona pandemią perspektywa. To zbieg okoliczności, że obecnie możemy podziwiać tę mroczniejszą, bardziej przerażającą stronę ewolucji. Przecież ten sam proces przez miliardy lat kierował przepływami biologicznej złożoności, od pierwotnej zupy prehistorycznych ziemskich oceanów do powstania pewnego ciekawskiego, wyprostowanego rodzaju małych czeladźskich, które – również dzięki ewolucji – zdołały bardzo szybko zmonopolizować środowisko naturalne i opanować niemalże całą planetę.

Za każdym razem ewolucja wykorzystywała te same, pozornie niewinne właściwości życia: jego zmienność, zdolność do kopiowania, dziedziczność cech i ich wpływ na sukces osobników. Pech chciał, że najjaskrawiej ewolucja widoczna jest

w biologii pasożytów, z natury zmuszonych do szybkiego zmieniania się, w odpowiedzi na coraz to nowe sposoby, które ich potencjalni gospodarze wynajdują, by oprzeć się infekcji. Niefortunnie jeden z naszych najwspanialszych wynalazków – medycyna – stanowi niezwykle efektywną siłę selekcyjną. Działając na powodujące nasze choroby pasożyty, medycyna blokuje ich zdolność do kopiowania się, w nieuchronny sposób wywierając na nie silną presję i promując te ich mutanty, które są w stanie się prześlizgnąć przez zasieki medycznych procedur.

Niestety, na inkubowaniu zjadliwych wariantów w ciałach osób z upośledzoną odpornością historia ewolucyjna koronawirusa się nie kończy. Wkraczamy obecnie w kolejną fazę ewolucyjnych zmagania z wirusem, ściśle związaną z efektywnością i przyszłą skutecznością antycovidowych szczepionek. Dla wirusa szczepionka może oznaczać totalne zniszczenie: jeśli organizm człowieka reaguje na nią silnie, aktywując odpowiednie mechanizmy immunologiczne, wirus może w takim ciele mieć niewielkie szanse na przetrwanie. Opłaszony przeciwciałami, osaczony w zainfekowanych komórkach przez limfocyty cytotoksyczne, wirus jest unicestwiany, zanim w ogóle zdąży się namnożyć. Ale to scenariusz optymistyczny. U niektórych ludzi szczepionka może wywoływać nieco słabszą reakcję – taką, która wprawdzie upośledzi wirusa i zapobiegnie rozwojowi groźnych objawów, ale nie zatrzyma jego transmisji do kolejnych gospodarzy. Łatwo wyobrazić sobie wtedy taką szczepionkę jako dodatkowy filtr selekcyjny, przepuszczający tylko te cząstki wirusa, które wykażą się nieco większą skutecznością w jej unikaniu. Jeśli taki wirus uciekinier trafi następnie na osobę niezaszczepioną – dojdzie do wykładniczej jego multiplikacji, powielenia danego wariantu i wypuszczenia w świat miliardów gotowych do skuteczniejszego zarażania cząstek wirusa.

W Krainie Czarów

W biologii ewolucyjnej funkcjonuje tzw. Hipoteza Czerwonej Królowej

– zaczerpnięta z książek o Alicji w Krainie Czarów. Mówi ona o tym, że w wyścigu zbrojeń dwóch zwalczających się organizmów każdy z nich musi wciąż się zmieniać, ewoluować, by nie zostać w tyle za swoim wrogiem i nie odpaść z zawodów. W państwie Czerwonej Królowej, jak przekonała się Alicja, czasem wszyscy zaczynają biec przed siebie. Jeśli więc chcesz się do kogoś zbliżyć albo wysunąć naprzód, nie wystarczy, że również biegniesz – musisz biec szybciej niż inni.

Jesteśmy obecnie w podobnej sytuacji. Projektując szczepionki nowej generacji – oparte na syntetycznym RNA wirusa – ruszyliśmy do wyścigu z Czerwoną Królową. Mamy w zasięgu ręki technologię szczepionkową, którą możemy bardzo szybko i na bieżąco dostrajać do coraz to nowych, mutujących wariantów wirusa – modyfikując wykorzystywaną w jej produkcji sekwencję wirusowego RNA.

Wygląda więc na to, że jesteśmy na wojnie. Ilu osobom w naszym otoczeniu przypomnimy o przyjęciu drugiej dawki szczepionki – zmniejszając tym samym szanse na osłabioną, mniej efektywną reakcję układu odpornościowego na szczepienie? Ile przekonamy do porzucenia antyszczepionkowych poglądów – redukując liczbę niezaszczepionych ludzkich „wysp”, będących pośrednimi ogniwami, inkubatorami dla wyselekcjonowanych wirusów, czasami „uciekających” z innych, zaszczepionych osób?

Wygląda też na to, że – przynajmniej na chwilę – ewolucja biologiczna odżyła należne sobie miejsce w naszej percepcji świata ożywionego, choć, niestety, zawdzięcza to głównie zabójczemu pasożytowi. Ile w tej percepcji jest powszechnego zrozumienia mechanizmów działania ewolucji biologicznej – tego nie wiem. Jedno jest pewne: ewolucja nie straci na znaczeniu. Wręcz przeciwnie – w antropocenie, gdy presja selekcyjna ze strony zmienianego przez człowieka środowiska będzie działać na coraz większe grupy organizmów, intuicyjne rozumienie ewolucji będzie szczególnie ważne dla naszej zdolności przewidywania przyszłości życia na Ziemi.

© SZYMON DROBNIĄK

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl



„TP” 11 / 2021

Bóg nie jest mężczyzną

Czytając felieton Zuzanny Radzik „Odmówcie sobie” miałam wrażenie, że autorka podsłuchiwała moje myśli, gdy w ostatnich dniach szukałam głównej przyczyny płynącego pod moją skórą gniewu, i gdy w końcu nazwałam główny powód frustracji: boli mnie Kościół! Boli w tych miejscach, gdzie

panoszy się chory, opresyjny patriarchat. Patriarchat dający kobiecie w Kościele tylko takie miejsce, które jest wygodne dla mężczyzn. Patriarchat, który domaga się męskiej władzy (a raczej rządzenia, które nie jest służbą), unikając związanej z władzą odpowiedzialności. Patriarchat, który ze święceń kapłańskich czy biskupich zrobił sobie bożka i domaga się szacunku *a priori*, bez potrzeby zapracowania własną postawą na tenże. Boli mnie marginalizowanie świeckich, a szczególnie kobiet, ograniczanie nam możliwości decydowania o kształcie Kościoła w tych jego aspektach, które nie są niezmiennie. Zdumiewa mnie męska, klerykalna awersja do zaciekawienia się tym, co Bóg

mówi do kobiet i co chciałby przez kobiety powiedzieć mężczyznom-kapłanom. Kiedy patrzę na obraz stworzenia człowieka i jego upadku, nieodparcie przychodzi mi na myśl, że wyłączenie kobiet z nauczania, z głoszenia Dobrej Nowiny jest demoniczne, że kłamliwie zniekształca obraz Boga. Męska narracja o Bogu z zasady będzie odmienna od kobiecej. Wyeksponuje te elementy, które mężczyznom są bliskie, bardziej dla nich zrozumiałe, pomijając kobiecą percepcję Boga. Bez tej komplementarności zabużamy przekaz wiary, przez co trudniej jest prowadzić do dojrzałości chrześcijańskiej zarówno mężczyzn, jak i kobiety.

Nie zapominajmy, że Bóg nie jest mężczyzną, i że nie możemy na Niego patrzeć jedynie przez osobę Chrystusa. Kobiecia twarz Boga „opowiadana” przez mężczyzn nigdy nie będzie tak prawdziwa jak ta, którą „opowie” kobieta z głębi wewnętrznego doświadczenia. I nie myślimy, że taka kobiecia opowieść jest potrzebna kobietom. Nie, ona jest potrzebna przede wszystkim mężczyznom.

JADWIGA BESTER

Autorka
opublikowanego
listu dostanie
od nas notes
TUROWICZ
na 75-lecie.



REKLAMA



Wychował pokolenia. Zmienił Polskę. Zmienił Kościół

Nawrócił się w celi śmierci więzienia gestapo i całe swoje życie oddał Bogu. Poznaj biografię księdza Franciszka Blachnickiego, założyciela Ruchu Światło-Życie i jednego z najważniejszych duchownych w czasach PRL-u.



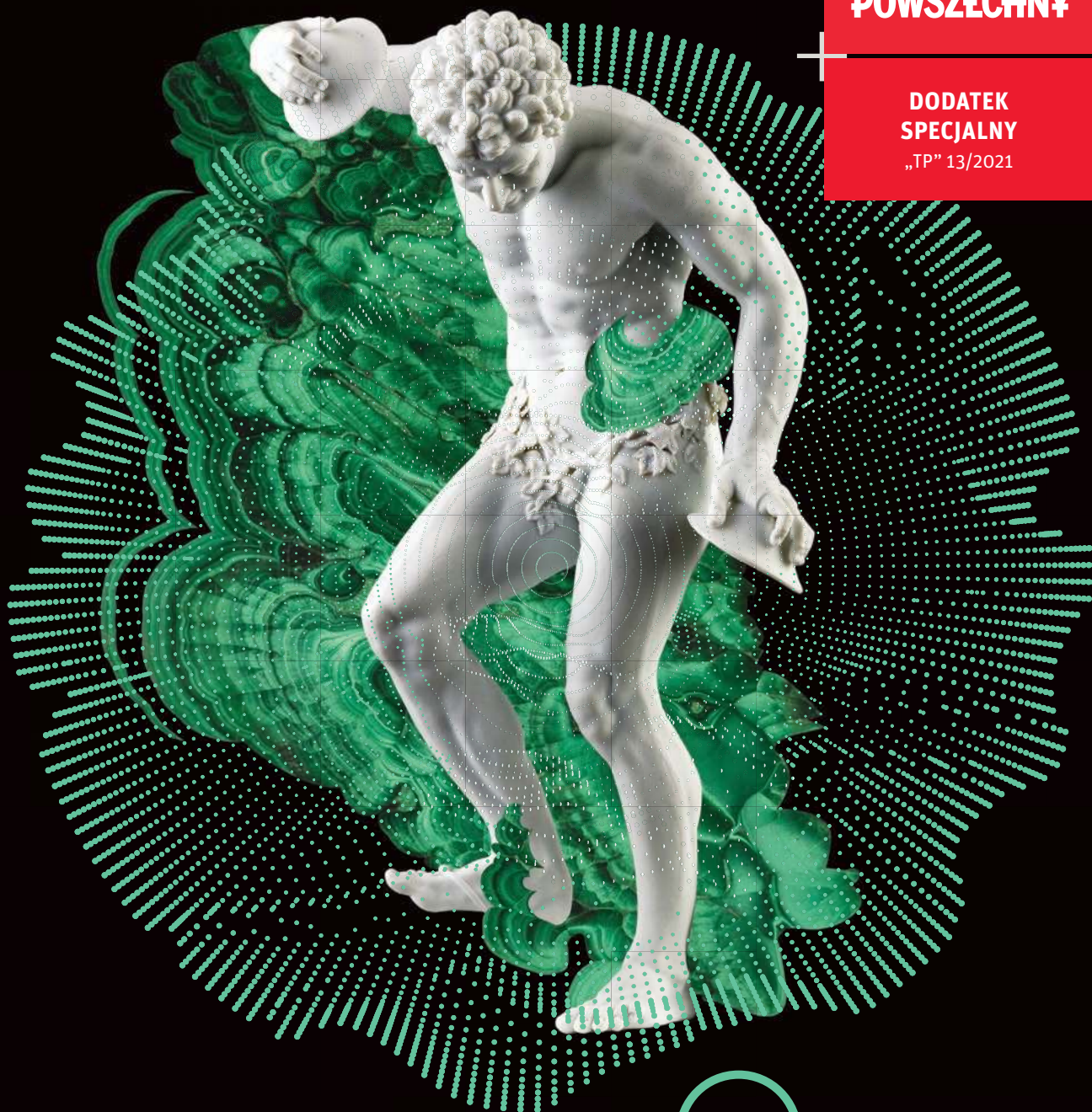
Odkryj nieznane oblicze ks. Józefa Tischnera

Ta książka to głęboka i wciągająca opowieść o wielkim uczuciu, w której obok góralskich anegdot pojawiają się rozważania nad myślą największych filozofów. Opowieść o wielkiej tajemnicy spotkania.

wydawnictwo znajdziesz w **empik** salony / online / aplikacja

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**
„TP” 13/2021



**WIRTUALNE
MUZEA
MAŁOPOLSKI**

**Muzea są bliżej,
niż myślisz**

WIRTUALNE MUZEA MAŁOPOLSKI to projekt realizowany przez Małopolski Instytut Kultury w Krakowie we współpracy z muzeami, galeriami i instytucjami z regionu. To przedsięwzięcie wyjątkowe w skali kraju: w jednym miejscu zgromadzono cyfrowe odwzorowania ponad 2500 eksponatów z blisko 50 muzeów i galerii. Niektóre z nich są dobrze znane, jak Zamek Królewski na Wawelu czy Muzeum Narodowe w Krakowie, niektóre mniej, dlatego warto odkrycia, jak choćby Muzeum Ślusarstwa im. Marcina Mikuły w Świątnikach Górnych. Portal powstał 10 lat temu, ale ostatnio został zmodernizowany: ma nowy wygląd, funkcjonalności i rozwiązania. A przede wszystkim mnóstwo nowych treści.

PONAD 2000 ZDIGITALIZOWANYCH OBIEKTÓW znajduje się w domenie publicznej. Twórcy mogą umieszczać je we własnych wizualizacjach, animacjach, grach czy filmach. Do działania inspirują też liczne materiały edukacyjne. Portal znacząco ułatwia poznanie dziedzictwa osobom z niepełnosprawnościami. Przy modernizacji uwzględniono rozwiązania zgodne ze standardami WCAG 2.0, m.in. interfejs dla osób niewidzących, nagrania w technice audiodeskrypcji (aktualnie dla 500 obiektów) oraz nagrania audio: rozmowy ze specjalistami i oprowadzania po wystawach tematycznych w wykonaniu znanych głosów, choćby Roberta Makłowicza czy Krzysztofa Globisza.

Zapraszamy!
MUZEUM.MALOPOLSKA.PL

Muzeum różnych rzeczy

24 marca rusza nowa odsłona portalu Wirtualne Muzea Małopolski, gdzie można obejrzeć ponad 2500 eksponatów z 48 muzeów i galerii w regionie.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Jak się ma sztuka w dobie pandemii?

KINGA KOŁODZIEJSKA: Zależy kogo zapytać, ale generalnie trudno o entuzjazm. Wiele instytucji zostało odciętych od bezpośredniego kontaktu z odbiorcą, a życie online chyba już wszystkich męczy. Akurat w moim przypadku niewiele się zmieniło, bo od 11 lat zajmuję się projektem internetowym – tęskniłam za realnym kontaktem z odbiorcami jeszcze przed pandemią.

Pojawiło się jednak sporo nowych inicjatyw.

Pandemia zmobilizowała wiele osób do działania. Uruchomiliśmy pokłady kreatywności, o które sami się nie podejrzewaliśmy. Na początku był szal – wszystkich ogarnęła histeria działania online. Chyba było tego za dużo, a na pewno za gęsto. Teraz sytuacja się powoli uspokaja, więc ilość przechodzi w jakość.

Nowe formy artystyczne albo wystawienne?

Na początku pandemii dominował trend kopiowania sztuki do sieci, przenoszenia jej w skali 1:1. To zrozumiałe, chcieliśmy mieć jakiś dostęp do tego, czego nagle nam zabrakło. Potem jednak pojawiły się nowe pomysły na wykorzystanie możliwości, jakie daje technologia cyfrowa. I tu można szukać pozytywnych stron lockdownu, bo w przyspieszonym tempie nauczyliśmy się korzystać z narzędzi, które od lat były dostępne, ale chyba nie budziły entuzjazmu albo zaufania.

Pandemia pokazała prawdziwe zapotrzebowanie na sztukę?

Zobaczmy, co się stanie, gdy w końcu wszystkie obostrzenia zostaną już na stałe zniesione. Gdy chwilowo poluzowany został reżim pandemiczny, sama stałam w długiej kolejce do krakowskiego Muzeum Etnograficznego, żeby zobaczyć kolekcję syberyjską. Przyznam szczerze, że był to krzepiący widok – tłumy przed muzeum to marzenie każdego kustosza. Oby ten entuzjazm się utrzymał.

Nic nie zastąpi bezpośredniego obcowania z eksponatami. Na przełomie marca i kwietnia ubiegłego roku udostępnialiśmy wirtualnie wiele zbiorów, jednocześnie namawiając ludzi, żeby już po wszystkim wybrali się zobaczyć na własne oczy.

Ale przecież internetowe prezentacje sztuki nie są jedynie substytutem fizycznych muzeów czy galerii.

Oczywiście, dlatego z radością obserwuję, że ludzie stopniowo zmieniają swoje podejście do kontaktu ze sztuką za pomocą nowych mediów, dostrzegają dodatkowe możliwości, jakie daje dostęp do cyfrowych zasobów. Zaczynają traktować te dwa sposoby doświadczania kontaktu z eksponatami – analogowy i cyfrowy – komplementarnie. Cały czas się uczymy, że dostęp do olbrzymich zasobów kulturowego dziedzictwa ludzkości jest na wyciągnięcie ręki.

Łatwa dostępność to z pewnością jeden z atutów wirtualnych zbiorów.

Co więcej – to często jedyny sposób na dotarcie do wielu dzieł i eksponatów, które ze względów konserwatorskich lub z powodu braku przestrzeni wystawienniczej znajdują się w magazynach i nie są udostępniane publiczności. Ale to niejedyna zaleta – na ekranie komputera możemy się wielu rzeczom przyjrzeć dużo dokładniej. Możemy swobodnie robić notatki, na bieżąco sprawdzać dodatkowe informacje, a nawet – o zgrozo – zjeść przy tym kanapkę. I nie chodzi tylko o to, że nie ma presji czasu ani tłumy ludzi napierającego ze wszystkich stron. Na przykład wawelskie arrasemy oglądać tylko z pewnej odległości. Największe z nich mają przecież rozmiar cztery na osiem metrów, więc nie mamy szans przyjrzeć się ich górnym partiom. A na naszym portalu da się zobaczyć niemalże każdą ich nitkę, wątek i osnowę, co czasem zaskakiwało nawet samych kustoszy. Nie chodzi więc o zastąpienie autentyku wirtualną kopią, ale o poszerzenie możliwości doświadczania sztuki.

Wasz portal to także kopalnia wiedzy o wielu eksponatach – przy niektórych są

Kontakt ze sztuką online to za mało?



kulturoznawców, nawet botaników. Prosimy ich o przejrzanie naszych zasobów pod kątem ich dyscyplin, a z tego powstają wirtualne wystawy tematyczne. Dzięki temu wskazujemy na bardzo nieoczywiste połączenia między przedmiotami, często umieszczamy je w szerszym kontekście.

Na przykład?

Dariusz Czaja w wystawie „Ceremonie żałobne” stworzył kolekcję obiektów funeralnych, gdzie pojawiają się maski pośmiertne, portrety trumienne, ale też kołyska Joachima Lelewela z Muzeum Narodowego w Krakowie. To bardzo poruszające zestawienia, ale właśnie dlatego tak interesujące.

Trudne do pomyślenia w klasycznie rozumianej koncepcji muzeum.

Bo jesteśmy nie tyle muzeum sztuki, ile dziedzictwa kulturowego. Choć bardziej lubię naszą roboczą nazwę: „muzeum różnych rzeczy”. W naszych cyfrowych zbiorach mamy wielkie dzieła malarskie i rzeźbiarskie, ale też zabytkowe silniki z Muzeum Lotnictwa w Krakowie, historyczne aparaty fotograficzne i zapomniany już sprzęt do obróbki analogowych zdjęć z Muzeum Fotografii w Krakowie, meteoryty z Muzeum Geologicznego PAN, wywołujące nostalgię sprzęty z czasów PRL-u (np. czarno-biały telewizor Belweder) czy – również reprezentujące nasze dziedzictwo kulturowe – wypchane ptaki z Ciężkowic. Taka różnorodność obiektów byłaby nie do udźwignięcia w innej formie niż wirtualna.

Dziedzictwo kulturowe – trzeba dodać, że Małopolski.

To prawda, na portalu prezentujemy wizerunki cyfrowe już z 48 małopolskich muzeów, czyli jednej trzeciej muzeów w naszym województwie.

Czyli portal pokazuje niemalże pełny obraz tej części Polski.

Nie da się stworzyć całościowej opowieści o żadnym regionie – choćby nie wiem jak szeroką perspektywę przyjmować. Ale to, czego nam brakuje, puste miejsca, są także znaczące. W ten sposób można stawiać diagnozy na przyszłość, pomyśleć, w którą stronę należałoby wytyczać wzrok, czym uzupełnić te luki, a przede wszystkim – rozpoznać je. ➔



Proces digitalizacji eksponatów w Zamku Królewskim na Wawelu (u dołu) i Muzeum Etnograficznym w Krakowie (powyżej). Od lewej: Wojciech Szczekan i Marek Antoniusz Święch z Regionalnej Pracowni Digitalizacji MIK, Kraków, 2015 i 2020 r.

artykuły, a nawet wywiady z ekspertami.

Dlatego to świetne uzupełnienie wizyty w muzeum. Albo możliwość przygotowania się do niej – dzięki informacjom z portalu będziemy wiedzieć, czego szukać.

Każdy budynek muzeum ma też swoje ograniczenia przestrzenne.

Właśnie. To podstawowy problem każdego kuratora. A wirtualne muzeum to przestrzeń egalitarna, burząca ustalone kanony.

Jak to?

Nawet najbardziej znane obrazy Matejki mają taką samą ekspozycję, jak

drewniany płutek z muzeum w Kętach. Tu nie ma wyższych ani niższych półek – odbiorca decyduje, co jest dla niego ważne. W naszym projekcie podstawową jednostką jest pojedynczy eksponat – nie kolekcja czy zbiory konkretnego muzeum. Oczywiście niektóre są obudowane większą liczbą komentarzy, inne mniejszą, ale to zależy nie od prestiżu placówki czy rozpoznawalności dzieła, tylko raczej od wiedzy, jaką uzyskujemy na temat danego obiektu. W ten sposób możemy tworzyć wystawy zbudowane na innych niż zazwyczaj zasadach. Posiłkujemy się wiedzą ekspertów z najróżniejszych dziedzin: antropologów, historyków, muzykologów,

→ Czego nie ma?

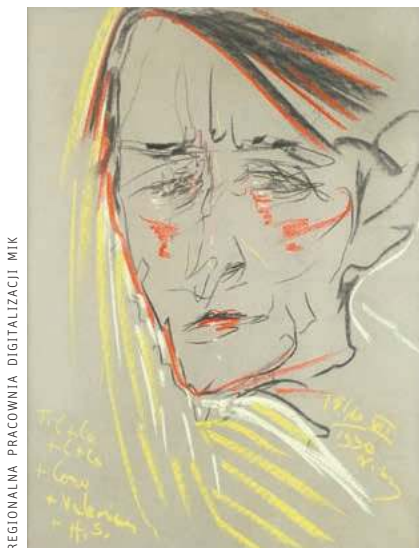
Wiele tematów wciąż ma za małą reprezentację. Na przykład skomplikowane stosunki polsko-żydowskie, w tym przedwojenny antysemityzm, długo omijany w narracjach muzealnych. Albo traktowanie sztuki ludowej nie tylko jako dokumentacji etnograficznej, ale pełnoprawnego języka do opowiadania o świecie. Dla pełnego obrazu dziedzictwa istotne jest dopuszczenie perspektyw widzenia innych niż tylko większościowe, decydujące o oficjalnej narracji. No i oczywiście – sztuka kobiet, ich obecność i spojrzenie, o którym opowiada na portalu Magdalena Ujma w wystawie „Wyjście z domu”. Dzięki dołączeniu kolekcji sztuki współczesnej z Bunkra Sztuki i MOCAK-u sytuacja się poprawiła, ale wcześniej na 1500 dzieł tylko 20 było autorstwa kobiet...

Na portalu każdy odbiorca jest kuratorem swojej własnej kolekcji.

Od początku było to dla nas najważniejsze założenie – każdy może poruszać się po naszym muzeum w dowolny sposób, wybierać eksponaty do swoich kolekcji, choć oczywiście proponujemy na początek kilka wytycznych przez nas ścieżek.

Jakich?

Prowadzą przez tematy uniwersalne: śmierć, zabawa, religijność, wojna, wielokulturowość w Małopolsce, ale też dotyczą konkretnych mediów – np. malarstwa, piśmiennictwa czy rzeźby. W tych propozycjach spotykają się najróżniejsze rzeczy, od średniowiecznych dokumentów, przez świadectwo maturalne Karola Wojtyły, aż po sztukę współczesną. Wyciągamy rzeczy z ich oczywistych kontekstów, oglądamy je z najróżniejszych stron. Można zastosować też inny, bardziej klasyczny filtr – np. materiał, z którego dany obiekt jest wykonany. Jeżeli wybierzemy drewno, zobaczymy najróżniejsze rzeźby, ale tu też z pewnością coś nas zaskoczy, np. przejście od afrykań-



REGIONALNA PRACOWNIA DIGITALIZACJI MIK

Stanisław Ignacy Witkiewicz, Autoportret, 1930 r., Zakopane, Muzeum Tatrzańskie im. Dra Tytusa Chałubińskiego w Zakopanem

skich masek i instrumentów muzycznych do Dunikowskiego i jego drewnianej głowy wawelskiej.

Prowokacja wobec klasycznie rozumianego muzealnictwa?

Nie, absolutnie! Zazwyczaj jest tak, że stare zegarki są w jednym miejscu, malarstwo historyczne w drugim, a jeszcze w innym historyczne akcesoria służące produkcji perfum. Nie ma w tym nic złego, ale można też czasem potrząsnąć tymi pudełkami, pomieszać puzzle i ułożyć je w coś innego. A kluczy, według których można by to zrobić, jest mnóstwo – tematyka, czas, biografie, idee, emocje, sposób wykonania – żeby wymienić tylko kilka. W ten sposób widzimy rzeczy z nowej perspektywy, możemy ocenić, czy i jakie mają jeszcze dla nas znaczenie.

Czyli ścieranie nobliwego kurzu.

Ukazując nowe konteksty eksponatów, ożywiamy je, zderzamy z naszą codziennością – efekty bywają zaskakujące.

Chcieliśmy dodać do klasycznie rozumianej fizyczności obiektu jego kontekst społeczny, uruchomić dodatkowe znaczenia. Co te rzeczy komunikują dziś? Jakie miały znaczenie w swojej epoce? I co ta zmiana mówi nam o naszym świecie? Fizyczny opis jest oczywiście ważny, bez niego nie da się rozmawiać o dziedzictwie kulturowym, ale to za mało. Nawet najzwyklejsze, zamknięte w gablotach rzeczy, po których tylko prześlizgujemy się wzrokiem, mogą mieć niesamowite historie.

Można śledzić ścieżki, którymi podążają użytkownicy?

Mamy oczywiście narzędzia do anonimowej analizy ruchu na naszej stronie. Dzięki temu widzimy, z jakiego obiektu ktoś przeskakuje na inny albo jakie filtry są najczęściej używane. No i chyba najciekawsze – jakie kolekcje nasi użytkownicy zakładają. Prowadziliśmy też badania na wybranych grupach właśnie pod kątem preferencji i zainteresowań, dzięki temu poznaliśmy różne strategie nawigowania po portalu. Bardzo nam zależy, żeby dało się po nim swobodnie i przyjemnie wędrować.

A autorskie ekspozycje?

Wkrótce pojawi się u nas wystawa przygotowana przez Mirę Marcinów, która będzie opowiadać o pięciu podstawowych emocjach. Wymóg był jeden – w całości musi się składać z naszych zbiorów. Na początku wydawało się, że to poważne ograniczenie, bo pierwotnie kuratorka szukała wielkich i znanych dzieł – założyła, że w tak wielkich zbiorach będzie wszystko. Owszem, jest bardzo dużo, ale nie da się znaleźć każdego dzieła, jakie się kiedykolwiek w życiu widziało. Ta trudność jednak szybko okazała się szalenie interesującym wyzwaniem. Trzeba bowiem uruchomić wyobraźnię, pomyśleć poza utartymi schematami – znaleźć w sobie nowe kanały ekspresji. I o to nam właśnie chodzi.

TYGODNIK
POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 13/2021

REDAKCJA: Michał Sowiński | PROJ. GRAF: Marek Zalejski | SKŁAD: Zuzanna Kardyś | FOTOEDYCJA: Jacek Taran
GRAFIKA NA OKŁADCE: Kira Pietrek

WSPÓŁFINANSOWANIE PROJEKTU:



INSTYTUCJA KULTURY
WOJEWÓDZTWA
MAŁOPOLSKIEGO



Unia Europejska
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego



Portal jest bardzo przyjazny osobom z niepełnosprawnościami – choćby niewidzącym.

Przez lata działalności w Małopolskim Instytucie Kultury wypracowaliśmy narzędzia, dzięki którym możemy poszerzać grono odbiorców sztuki także o osoby z różnymi rodzajami niepełnosprawności. Już teraz na naszym portalu mamy 500 audiodeskrypcji dla osób niewidomych lub niedowidzących. Audiodeskrypcje to w ogóle fantastyczna rzecz – opisy w nich zawarte uwzględniają najdrobniejsze szczegóły, które nawet przy uważnym oglądaniu często umykają uwadze, a tymczasem mogą wzbogacić interpretację dzieła. Część wystaw została również przygotowana w formie plików audio. Można w nich usłyszeć Annę Dymną, Jana Peszka, Krysztynę Czubównę, Grzegorza Turnaua czy Roberta Makłowicza.

Bardzo podoba mi się część adresowana do dzieci.

Dotarcie do młodszych odbiorców, uczniów, jak również nauczycieli było szczególnie ważne. To z myślą o nich zostały przygotowane scenariusze lekcji (np. języka polskiego, historii czy plastyki) wykorzystujące cyfrowe zasoby oraz mniej standardowe materiały edukacyjne, rozwijające nowe kompetencje, z których mogą skorzystać także dorośli już użytkownicy. Dzięki nim można się podszkolić w zapomnianej sztuce opowiadania, nauczyć rozpoznawać ptaki czy rozróżniać plany malarskie w otaczającym nas krajobrazie. Wszystko to oczywiście na podstawie zgromadzonych na portalu eksponatów.

Wrażenie robi też ogrom włożonej pracy technicznej.

Proces digitalizacji to szerokie pojęcie, w którym mieści się wiele czynności i narzędzi. Jakość techniczna naszych odwzorowań jest imponująca – mówimy tu o publikacjach internetowych z precyzyjną dokładnością do 0,2 mm. Niektóre detale, jak sploty nici arrasów, są prezentowane nawet z dokładnością do 0,01 mm. Nasze odwzorowania trójwymiarowe są doceniane także na świecie przez społeczność serwisu Sketchfab.com, największą na świecie platformę poświęconą obrazom 3D, których można też doświadczać w rzeczywistości rozsze-



Na początku pandemii był szal.

Wszystkich ogarnęła histeria działania online. Teraz sytuacja się powoli uspokaja, ilość przechodzi w jakość.

U góry: malachit „nerkowiec”,
Muzeum Geologiczne Instytutu Nauk
Geologicznych PAN

zonej AR. Nieustannie znajdujemy się tam w pierwszej dziesiątce instytucji zajmujących się udostępnianiem dziedzictwa kulturowego na całym świecie. Dodam tylko, że w naszym sąsiedztwie jest np. British Museum.

Jak wygląda digitalizacja w konkretnych przypadkach?

Wyzwanie polega na tym, że za każdym razem trzeba dostosowywać technologię do obiektu i konkretnej przestrzeni muzealnej. Inaczej digitalizuje się szklany paciorek celtycki z Muzeum Archeologicznego, inaczej współczesną instalację z Bunkra Sztuki, która składa się z tysiąca elementów. Dopiero na miejscu wymyślamy najlepszą strategię działania. Czasem wystarczą porządne aparaty i skanery 3D, kiedy indziej, jak w przypadku arrasów, trzeba sięgnąć po narzędzia fotogrametryczne, których na co dzień używa się w geodezji do tworzenia map lotniczych.

Aż tak?

To jest olbrzymia powierzchnia, nie da się jej objąć w całości przy jednoczesnym zachowaniu wszystkich detali. Dlatego do współpracy przy arrasach zaprosiliśmy specjalistów od skanowania geodezyjnego. Podobnie było w przypadku kolekcji renesansowych głów wawelskich, dla których opracowania wykonaliśmy ponad dwa tysiące zdjęć składowych. To jednak dopiero połowa roboty, bo potem trzeba te ogromne ilości danych odpowiednio przetworzyć i opracować graficznie. Czasem pojawiają się niedoskonałości samego skanowania, trzeba więc uzupełnić luki w procesie modelowania trójwymiarowego. Na koniec musimy całość przygotować, aby była przystępna dla komputera lub smartfona odbiorcy. Nie możemy umieszczać bezpośrednio na portalu plików źródłowych, które mają po kilkaset megabajtów.

Wasze eksponaty można nie tylko oglądać, ale także wykorzystywać w innych celach.

Właśnie udostępniliśmy wszystkie nasze modele 3D. Zapraszamy więc projektantów, grafików, twórców gier – korzystajcie, bo to jest dla was.

A prawo autorskie?

Ponad 80 proc. naszych eksponatów znajduje się w domenie publicznej, a z naszego wysiłku włożonego w digitalizację można korzystać bez ograniczeń. Przy każdym wizerunku eksponatu z domeny publicznej znajduje się przycisk „pobierz” – należy z niego korzystać! Dokładnie też opisujemy status autorsko-prawny każdego obiektu, żeby nawet mniej rozeznani w tej kwestii użytkownicy wiedzieli, na jakich zasadach mogą przetwarzać elementy naszych zbiorów. Chcemy, żeby jak najwięcej z nich trafiło dalej w świat. Po to przecież tworzymy nasz portal.

©© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

KINGA KOŁODZIEJSKA jest z zawodu i zamiłowania filmoznawczynią, inicjatorką i uczestniczką wielu projektów edukacyjno-kulturalnych ze szczególnym uwzględnieniem dziedzictwa żydowskiego i historii Zagłady. Od 2006 r. związana z Małopolskim Instytutem Kultury w Krakowie, w którym obecnie pełni funkcję redaktorki prowadzącej portal Wirtualne Muzea Małopolski.

BYĆ ANDROIDEM

Dotychczas bycie człowiekiem opierało się na przeświadczeniu, że wartość jednostki bierze się z tego, jak wiele daje społeczeństwu.

A co, jeśli ktoś niczego dać nie będzie w stanie?

– pyta Kazuo Ishiguro, laureat Literackiej Nagrody Nobla 2017.

WOJCIECH ENGELKING

WYDANEJ WŁAŚNIE PO POLSKU „Klarze i słońcu”, swej pierwszej powieści po Noblu, Kazuo Ishiguro pyta, gdzie leży granica ludzkiej wyjątkowości. Bo skoro jesteśmy tylko algorytmami, których zachowania da się przewidywać i zaprogramować, nic nie stoi na przeszkodzie, by stworzyć zastępczych nas, prawda?

Mała nocą

Jest taki wspomniały fragment pod koniec „Sprawozdania dla Akademii” Franza Kafki. Czerwony Piotruś, złapana w Afryce małpa, która – sprowadzona do cywilizowanego świata – dzięki tresurze i nauce osiągnęła „przeciętną kulturę Europejczyka”, teraz występuje przed gronem naukowców, zdając im świadectwo ze swojej „małpiej przeszłości”. Opowiada zgromadzonym, co czyni wieczo-

rem po powrocie do domu z kabaretu, w którym jest zatrudniony. Wcześniej zaznacza, że zależało mu na znalezieniu pracy właśnie tam, nie w ZOO. To w tym celu tak pilnie się uczył być człowiekiem, a jego „małpia natura uchodziła (...), koziółkując, uciekała na łeb, na szyję”. Piotruś osiągnął sukces: gra w przedstawieniach, bywa na rautach i spotkaniach, a gdy wraca do mieszkania – to nie do pustego.

Czeka tam na niego „mała, na pół wytresowana szympansczka, [z którą] oddaje się przyjemnościom naszej krwi”. Za dnia, dodaje Czerwony Piotruś, nie ma ochoty jej oglądać, bo widzi w niej zwierzę, jakim sam niegdyś był. Nocą: to co innego.

Kafka nie opisuje reakcji słuchających Piotrusia akademików, można jednak domniemywać, że była ona mieszkanką roz-

bawienia i ulgi. Tak długo słuchali opowieści małpy o jej wyczynach w dziedzinie uczenia się, jak być człowiekiem, że nieomal uwierzyli, iż faktycznie mają przed sobą człowieka. Oczywiście: człowieka w skórze afrykańskiego zwierzęcia, włochatego jak zwierzę i z pazurami, niemniej – człowieka. Jeżeli jednak sam Piotruś twierdzi, że przygodom erotycznym oddaje się z szympanscą, to człowiekiem wcale nie jest; jak można mu było uwierzyć, że się nauczył nim być? Jak można było uznać, że osiągnął to, co „nie byłoby może niczym samo w sobie, a jednak było czymś”?

Te właśnie pytania towarzyszyły mi podczas lektury „Klary i słońca”, która jest rozpisaniem problemów poruszonych w „Sprawozdaniu dla Akademii” na dziesięciokrotnie więcej stron, niż zapisał Kafka.



*Kazuo Ishiguro,
Chipping Campden,
Wielka Brytania*

Jakby dla dzieci

Rozmach – jak zwykle u Ishigury trzymany jednak w ryzach, bo jego powieści nie przekraczają trzystu stron – jest o tyle uprawniony, że tytułowa bohaterka „Klary...” nie zdaje czytelnikowi na Piotrusiową modłę sprawozdania z tego, w jaki sposób stała się człowiekiem. Opowiada raczej o próbie uczynienia z niej tego ostatniego i pobudkach, dla których ktoś tę próbę podjął.

Konkretnie zaś podjęła ją matka młodej Josie, która w dystopijnej Ameryce nabyła dla niej Klarę, androida spełniającego funkcję Sztucznego Przyjaciela. Jego zadania nie są szczegółowo określone, ale można powiedzieć, że jego główną pracą jest dotrzymywanie człowiekowi towarzystwa: z Klarą można się bawić, można rozmawiać, a ona szybko staje się od człowieka cokolwiek nieodróżnialna, bo uczy się ludzkich zachowań.

Dla pewnej klasy społecznej Sztuczny Przyjaciel to artefakt obowiązkowy, podobnie jak zabieg zmiany sekwencji genów, który Josie ma w niedalekiej przyszłości przejść. Ten ostatni, oprócz tego, że jest klasowym emblematem, wiąże się także z niebezpieczeństwami. To właśnie na wypadek, gdyby się nie powiódł, matka Josie kupiła Klarę: bo chce, by Sztuczna Przyjaciółka zastąpiła jej córkę.

Wewnętrzna logika powieści Ishigury sprawia, że się przyjmuje za obiektywny ogląd świata, jaki proponuje czytelnikowi pierwszopersonowa, nie-ludzka narratorka Klara. Zdaniem autora ta czytelnicza wiara jest możliwa ze względu na gatunek, z jakiego Sztuczna Przyjaciółka się wywodzi – literaturę dla dzieci.

– I mam tu na myśli książki dla możliwie najmłodszych – mówi Ishiguro. – Te kolorowe, z prostą historią i mnóstwem fantastycznych ilustracji. Panuje w nich dziwna racjonalność, która wydaje się zupełnie oczywista w świecie, o którym opowiadają, a pozostaje niedozwolona w książkach dla starszych dzieci i dorosłych. ➔

→ W ramach tej racjonalności nie ma nic dziwnego w tym, że księżyc zaczyna mówić, albo że można otworzyć okno, wystawić za nie drabinę i się na niego wdrapać. Ten rodzaj racjonalności jest fascynujący i wyzwalający. Uznałem, że przy jego zastosowaniu główna bohaterka „Klary i słońca” będzie mogła z jednej strony wydawać się wyrafinowana i genialna, z drugiej dziecinna. Zresztą jako Sztuczna Przyjaciółka spełnia przecież taką samą rolę, jaką w niektórych książkach dla dzieci spełniają ożywione lalki albo misie.

Nie zadałem pisarzowi pytania o logikę sam. To, co w przedpandemicznej rzeczywistości byłoby typowym dla wielkiej literackiej premiery wywiadem jeden na jeden, zmieniło się w prowadzony na Zoomie *webinar* dla kilkudziesięciu zainteresowanych z całego świata. Kolejne kwestie poruszają przedstawiciele agencji literackiej reprezentującej Ishigurę, zamkniętego w gustownie urządzonej salonie domu w północnym Londynie.

Nowy człowiek

Ta forma spotkania to nie tylko skutek pandemii, również Nobla, jednego z bardziej – może poza nagrodą dla Boba Dylana – nieoczekiwanych w ostatnich latach. To z jego powodu „Klara i słońce”, powieść dotycząca tematów dla laika atrakcyjnych, ale bez szczegółowego, naukowego przygotowania niezrozumiałych, wiąże się dla Ishigury z niebezpieczeństwem, o którym mówi wprost: popadnięciem w syndrom geniusza. Czym jest ten syndrom?

– Zanim sam dostałem Nobla, nie poznałem wielu pisarzy noblistów, za to naukowców owszem – tłumaczy. – Ostrzegali mnie przed podobnym zachowaniem, które w ich społeczności jest łatwe do zauważenia i napiętnowania, bo tam Nobla dostaje się za specjalizację w wąskiej dziedzinie wiedzy. Idzie o ochotę, by wypowiadać się na tematy, w których tej specjalizacji nie masz, czyli o robienie z siebie głupka.

O pisarzu można powiedzieć, że specjalizację ma, bo „Klara i słońce” to nie pierwsza powieść, w której dotyka tematu sztucznej inteligencji. Wziął ją na warsztat już w wydanym w 2005 r. i później sfilmowanym „Nie opuszczaj mnie”: opowieści o alternatywnej wersji lat 90. w Anglii, dziejącej się w szkole z internatem, która okazuje się hodowlą ludzkich klonów, mających dostarczyć swoim pierwowzorom organów, gdyby ich własne się zepsuły.

Wydając „Nie opuszczaj mnie”, Kazuo Ishiguro miał 51 lat; upłynęły ponad dwie dekady od czasu, gdy wraz z m.in. Salmanem Rushditem, Martinem Amisem i Ianem McEwanem został przez magazyn „Granta” zaliczony do grona najbardziej obiecujących angielskich pisarzy. Wtedy, jako najmłodszy z tego grona (i jedyny, obok Rushdiego, z imigrancką przeszłością; urodził się w 1956 r. w Nagasaki, do Anglii rodzina sprowadziła się, kiedy miał pięć lat), był u progu kariery, która wprawdzie była błyskotliwa, a potem spowolniła.

Bo tak: w latach 80. i na początku 90. pisał cieszące się krytycznym uznaniem bestsellery – za „Malarza świata ułudy” (1986) dostał Whitbread Book Awards, za „Okruchy dnia” (1989), na podstawie których nakręcono potem oscarowy film z Anthonym Hopkinsem, Nagrodę Bookera – ale nigdy nie zajmował ani pozycji publicznego intelektualisty (jak Rushdie), ani literata-celebryty (jak Amis). „Niepokieszony” (1995) został przez recenzentów skrytykowany, wojenne „Kiedy byliśmy sierotami” (2010) przez samego Ishigurę uznane za jedną z gorszych rzeczy, jakie napisał. „Nie opuszczaj mnie” potraktowano jako powrót do formy, i podobnie jest w zachodniej recepcji z „Klarą i słońcem”, następującej po nieudanym „Pogrzebanym olbrzymie” (2015).

– Te powieści są połączone – mówi Ishiguro. – Nie tylko dlatego, że akcja obydwu toczy się w bliskiej, dystopijnej przyszłości. Raczej dlatego, że obydwie, opowiadając o sztucznej inteligencji, podejmuje temat czegoś innego: ludzkiej duszy. O ile jednak „Nie opuszczaj mnie” jest pesymistyczne, „Klara” wręcz przeciwnie.

Różni je jeszcze jedna rzecz: podejście Ishigury do researchu. O ile bowiem „Nie opuszczaj mnie” było powieścią *science fiction*, w której *fiction* wygrywało z *science*, o tyle „Klara i słońce”, choć

sprawdza się jako parabola, to rzecz dużo bardziej naukowa.

– Sztuczna inteligencja interesuje się od dawna i miałem to szczęście, że mogłem odbyć na jej temat wiele rozmów z kluczowymi naukowcami w tej dziedzinie – mówi Ishiguro. – Z jednym z tych wielkich umysłów siadywaliśmy w kawiarni niedaleko mojego domu w Londynie i głośno dyskutowaliśmy; dla postronnych musieliśmy brzmieć jak para wariatów. Interesowało mnie, na jakim aktualnie etapie są dzisiaj prace nad AI. Wyobrażałem sobie ją wtedy jako jeden z tych komputerów, które w latach 90. wygrywały z szachowymi mistrzami. I co? Okazało się, że od tamtego czasu prace poszły daleko naprzód. Tamto było bardzo prymitywnym wcieleniem sztucznej inteligencji, po prostu zaprogramowanym przez człowieka. Później przeszliśmy do sztucznej inteligencji, która potrafiła się uczyć; niby dużo, ale była to nauka tylko pod ludzkim nadzorem. Dziś jesteśmy na etapie AI, która umie się uczyć sama. Z drugiej strony, nauczysz się mnóstwa skomplikowanych rzeczy, w niektórych sferach życia pozostaje prymitywna: może na przykład zrobić herbatę, ale tylko w jednej, określonej kuchni. Jest więc mieszanką wielkich umiejętności i wielkiej ignorancji.

Ten etap rozwoju sztucznej inteligencji – i następny, opisany w „Klarze i słońcu” – sprawia, że nie wiadomo właściwie, jak ją traktować. W „Klarze...” jest wspaniała scena, w której okazuje się, że chociaż android to posiadany przedmiot, nie można od niego wymagać (albo też: nie wypada), aby człowiekowi służył. W innej jednak Klara idzie do teatru, dostaje ostatni bilet na spektakl i musi się skonfrontować z inną chętną, wściekłą, że androidy wprawdzie zabrali ludziom zatrudnienie, a teraz możliwość obejrzenia sztuki.

To właśnie podobna wściekłość i jednocześnie krygowanie się wobec sztucznej inteligencji sprawia, że kryzys, jaki wywołuje jej rozwój, jest, zdaniem autora, przede wszystkim kryzysem dotyczącym człowieka.

– Na przykład kwestia zatrudnienia – mówi Ishiguro. – AI doprowadzi do tego, że wielu z nas straci pracę; jednocześnie nie pojawiają się nowe zawody, na które by się można przekwalifikować. Dotychczas bycie człowiekiem opierało się na przeswiadczeniu, że wartość jednostki bierze się z tego, jak wiele z siebie daje społec-



**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia
Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika
Powszechnego”.

Stuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl

czeństwu. A co, jeśli ktoś niczego dać nie będzie w stanie? Ludzkość zostanie zmuszona do wymyślenia siebie na nowo.

A świat, w którym się na nowo wymyśli, niekoniecznie będzie światem urządzonym przez człowieka. Do czego Ishiguro doszedł, zastanawiając się, co stanie się z jego zawodem.

– Spytałem znajomego naukowca, czy został już napisany program, który nazywałby się Tolstoy3 i umiałby tworzyć powieści. To znaczy: prawdziwe powieści. Nie coś, co przypomina powieść, ponieważ spełnia formalne wymagania, ale dzieło, które sprawia, że ludzie mogą się śmiać albo płakać. Sądzę, że gdy taki program się pojawi, zostanie przekroczona najważniejsza granica: sztuczna inteligencja będzie odtąd w stanie manipulować naszymi emocjami. A to oznacza, że będzie mogła rozpoznać społeczne frustracje i poprowadzić skuteczną kampanię polityczną. Albo wymyślić następną wielką ideę, coś, co porwie ludzi i zorganizuje im życie, jak nazizm, komunizm czy kapitalizm.

Taki świat nie będzie się już składał z wyjątkowych jednostek; nie będzie światem, w którym Montaigne na pytanie o Stefana de la Boétie odpowie: „Bo to był on; bo to byłem ja”.

– Kroki, jakie poczyniliśmy w badaniach nad sztuczną inteligencją i zmianą sekwencji genów, sprawiają, że zaczynamy myśleć o sobie jako o algorytmach, które można profilować – mówi Ishiguro. – Co się w takim przypadku dzieje z miłością? Kocham moją żonę i córkę, albo: myślę, że kocham moją żonę i córkę, ponieważ są wyjątkowymi osobami. Gdy jednak staniemy się algorytmami, potężne maszyny będą mogły skonstruować sztuczne inteligencje podobne do nich bądź takie same. Czy je także będę mógł darzyć miłością?

Być nietoperzem

Kafkowski paradoks Czerwonego Piotrusia, który nauczył się, jak być człowiekiem, dobrze odbija inny: zadane przez Thomasa Nagela pytanie, jak to jest być nietoperzem. Nagelowi nie szło o to, jak to jest być człowiekiem w nietoperzej skórze; nie o to, w jaki sposób można być nietoperzem wyposażonym w ludzką percepcję; nie o to, jak człowiek konceptualizowałby sobie nietoperzowe potrzeby, wiedząc, że są właśnie tymi potrzebami i że inne gatunki mają inne.

Sztuczna inteligencja będzie wyposażona w nasze uprzedzenia,

uznawane współcześnie za naturalne. Gdybyśmy ją stworzyli dwa wieki temu, sądziłaby, że w niewolnictwie nie ma nic złego.

Idzie o to, w jaki sposób nietoperz myśli, nie wiedząc, że to robi, nie posiadając pojęcia, że istnieje coś takiego, jak instytucja myślenia. Czy tego też można się nauczyć i czy Czerwony Piotruś, osiągnąwszy „przeciętną kulturę Europejczyka”, stał się nim? W przypadku „Klary i słońca” pytanie Nagela i Kafki można odwrócić i spytać: jak to jest być androidem, uczynionym na ludzki obraz i podobieństwo jako nie-człowiek?

– Jedno z niebezpieczeństw tkwiących w sztucznej inteligencji polega na tym, że chociaż sama potrafi się uczyć, mimo wszystko jest tworzona przez człowieka – mówi Ishiguro. – Innymi słowy: pewne jej schematy myślowe są ludzkie. Czego się obawiam, to tego, że wymyślona dzisiaj AI będzie wyposażona w nasze lęki oraz uprzedzenia, uznawane współcześnie za naturalne. Gdybyśmy stworzyli sztuczną inteligencję dwa wieki temu, sądziłaby, że w niewolnictwie nie ma nic złego.

Klara Ishiguro, podobnie jak Czerwony Piotruś z opowiadania Kafki, potrafi być człowiekiem tylko do pewnego stopnia; owszem, umiejętność uczenia się jest jedną z jej głównych cech, jednak jest to umiejętność uczenia się tylko w granicach uprzednio określonych przez tych, którzy ją stworzyli. Dla Ishiguro sztuczna inteligencja, jakkolwiek zaawansowana by była, odzwierciedla ludzi, którzy ją ulepili – to oni określają horyzont jej wyobraźni. Na zadane w analogii do paradoksu Nagela pytanie nie można więc odpowiedzieć inaczej niż w granicach będących udziałem twórców androida.

To z tego względu Klara odbija szereg ludzkich cech, które dla miającego setki danych, będącego triumfem scjentyzmu androida zdają się absurdałowe. Przykładowo: poszukuje boskości, którą odnajduje właśnie w tytułowym słońcu.

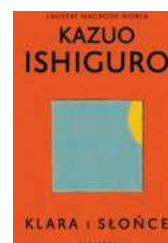
– Klara – tłumaczy Ishiguro – jest dla człowieka rozchylanym zwierciadłem: imituje ludzkie instynkty do tego stopnia, by zawsze w ludzkim świecie pozostać outsiderem. Dlatego szuka istoty wyższej. A tą ostatnią nie musi być przecież bóg, tak jak my go rozumiemy; idzie o kogoś, o kim nie myślimy na co dzień, ale kto jest i nad nami czuwa. W pandemii okazało się, że kimś takim może być nauka, która nam zawsze pomoże.

Czy można więc powiedzieć, że czytając pierwszoosobową „Klarę i słońce” jako czytelnicy stajemy się androidami bądź uczymy się nimi być tak, jak Czerwony Piotruś nauczył się być człowiekiem? Gdyby odpowiadał na to pytanie Thomas Nagel, byłby sceptyczny. Według amerykańskiego filozofa bowiem, nawet znając wszystkie koordynaty bycia nietoperzem, i tak nie możemy wiedzieć, jak to jest nim być. Wiedza o materialnych podstawach świadomości nie wystarcza, aby ją zrozumieć.

Ishiguro się z tym zgadza: – Czekam na nowe pokolenie pisarzy, które odda problemy naszej współczesności, na przykład strach przed katastrofą klimatyczną. Jest jej trochę w „Klarze i słońcu”, ale niewiele, bo to nie jest problem mojego, zimnowojennego pokolenia. Z tego względu ta powieść wydaje mi się przykładem tego, w jaki sposób na nowy, nadchodzący świat spogląda człowiek z wyčerpanej, odchodzącej generacji.

Być może do tego pokolenia będzie należał Tolstoy3 – ale tylko być może, bo strachy sztucznej inteligencji i pisarzy jej gatunku będą zupełnie innymi strachami niż ludzkie. I chociaż Tolstoy3 zdoła się tych ostatnich nauczyć, to wróciwszy wieczorem do domu, i tak znajdzie się w towarzystwie szympansiczki, by oddać się z nią przyjemnościom ich cyfrowej krwi. © WOJCIECH ENGELKING

Fragmenty „Sprawozdania dla Akademii”
Franza Kafki w przekładzie Juliusza Kydryńskiego.



Kazuo Ishiguro
KLARA I SŁOŃCE
Przełożył Andrzej Szulc, Wydawnictwo Albatros,
Warszawa 2021



Janosch podczas wystawy „Panama i inne światy” w Ludwiggalerie, Oberhausen, Niemcy, wrzesień 2010 r.

ROLAND WEIHRICH / DPA / PAP

Kaczka w tygrysie

OLGA DRENDA

Janosch pracował jako czeladnik ślusarski, ukończył technikum odzieżowe, a kiedy dostał się wreszcie na Akademię Sztuk Pięknych, szybko został z niej wyrzucony. Teraz wygrzewa się w tropikach, gdzie uciekł przed wielbicielami.

NA 90. URODZINY JANOSCHA W JEGO rodzinnym Zabrze posadzono, zgodnie z jego życzeniem, buk. Sam autor nie mógł stawić się osobiście, i to nie tylko ze względu na pandemię; zdrowie nie pozwala mu wyjechać poza Teneryfę, najpiękniejszą z Wysp Kanaryjskich, gdzie mieszka od lat 80., rysuje, uprawia ogród i odpoczywa w hamaku. Mówił, że schronił się tam przed sławą, i nie ma powodów, by mu nie wierzyć – książki dla dzieci o Misiu, Tygrysku i Tygryskowej Kaczce uczyniły z niego w Niemczech absolutnego idola.

– Janosch całe życie walczył o wolność, twórczą i egzystencjalną – mówi Angela Bajorek, autorka biografii pisarza i ilustratora, a zarazem jedna z niewielu osób, którym udało się zdobyć jego zaufanie. – Ale twórczość, która dała mu sławę, jednocześnie go z tej wolności ograbiła.

„Die Welt” nazwał go „Keithem Richardsem literatury dziecięcej”. Bohaterami jego powiastek dla dzieci były po-

stacie – ludzkie i zwierzęce – wybierające wolność i przyjaźń, żyjące według własnego kompasu. Trochę włóczędzy, trochę spryciarze, trochę hippisi. Nikt ich nie straszy, nikt im nie rozkazuje. Książki doskonale zgrały się w latach 60. i 70. z antyautorytarnym sentymentem swoich czasów, choć bywało, że uznawano je za mało dydaktyczne. Dzieci nie przejmowały się tymi obawami i jednoznacznie pokochały „Ach, jak cudowna jest Panama”, „Pocztę dla Tygrysa” i kolejne tytuły autora, który miał, jak głosi anegdota, podpisywać się „Janusz”, ale zecer zrobił błąd, i tak już zostało.

Pobożny heretyk

Jest w postawie Janoscha (właściwie nazywa się Horst Eckert) coś arcyśląskiego, coś, co dzieli z innymi artystami stąd, z Erwinem Sówką, Teofilem Ociepką, a może nawet z Urszulą Broll (jedyną malarką z wykształcenia w tym gronie). Wszyscy ci twórcy byli samoukami, jeśli chodzi

o wybitnie nieortodoksyjne i wykraczające dalece poza europejski i chrześcijański idiom poszukiwania duchowe. Dwaj pierwsi, z zawodu górnicy, samodzielnie uczyli się też malarstwa – tak jak Janosch, który pracował najpierw jako czeladnik ślusarski, potem ukończył technikum odzieżowe, a kiedy dostał się wreszcie na monachijską Akademię Sztuk Pięknych, szybko został stamtąd wyrzucony.

Stereotyp każe kojarzyć Śląsk z poczciwą ludycznością, biesiadą, rodzinnym ciepłkiem. Na przekór temu (choć może te kwestie nie muszą się wcale wykluczać) to stąd wywodzi się tak wielu twórców osobnych, zupełnie niezależnych, tkających po swojemu własną filozofię z odnalezionych w rozmaitych miejscach tropów. Wspólnym mianownikiem wspomnianych artystów byłaby też postawa pogodzenia się ze światem, wolna od zgorzknienia, megalomanii i resentymentu. Od siebie Janosch mógłby dodać jeszcze łagodnie epikurejską nutę, pewnie mógłby podpisać się pod cytatem z niedawno zmarłego wizjonera Erwina Sówki, że „gołe baby to dar od Boga”.

Sam siebie nazywa „pobożnym heretykiem”. Kościół kojarzył mu się z traumatycznym dzieciństwem, a jako dorosły odnalazł się w roli wolnomysliciela i samowolnego mistyka. Wiele jego satyrycznych rysunków miało wydźwięk antyklerykalny. Jeden z nich, „Chrzest”, na którym ksiądz wbija dziecku młotkiem krzyż w pępek, oburzył ówczesnego premiera Bawarii Edmunda Stoibera. „Z heretyckim pozdrowieniem, serdecznym jak diabli” – odpowiedział mu Janosch.

Trochę kreuje się na ludowego filozofa, a trochę nim w istocie jest. „Tygryskowa Kaczka oddaje istotę człowieka – jest połączeniem tygrysa i kaczki; czasem jedno z nich zyskuje przewagę. Z zewnątrz człowiek jest tygrysem, w środku – kaczka. Niektórzy są bestiami, a wyglądają jak kaczka. Sam człowiek nie jest zdolny do działania. Działa tylko wtedy, kiedy coś go porusza” – wyjaśniał esencję swojej ikonicznej postaci.

Urodzony w wiadrze

Choć zasłynął jako autor uwielbianych książeczek dla dzieci, o własnym dzieciństwie mówił „piekło”. Kojarzyło mu się

ze skłonny do przemocy ojcem i apodyktyczną, a zarazem niedojrzałą matką, z biciem i straszaniem – przez rodziców, szkołę, księży. Dobrze czuł się jedynie w familoku, gdzie mieszkali jego dziadkowie i gdzie sam przyszedł na świat („w wiadrze”, jak doprecyzował). Był rok 1931, a leżące tuż przy granicy Zabrze nosiło wówczas nazwę Hindenburg.

Do pachnącego kapustą, machorką i praniem domu, w którym łagodny i małowówny dziadek nie gniewał się nawet, gdy małe nasikał mu na jedynę spodnie, pisarz zachował sentyment na całe życie. Zabrzańskie lata opisał w „Cholonku, czyli dobrym Panu Bogu z gliny”. To powieść z kluczem, w której głównych bohaterów wzorował na ludziach z najbliższego otoczenia. Babcia Maria, która handlowała na targu drobiem, została upamiętniona w postaci powieściowej Świętkowej, gospodyni-hegemonki znanej z ludowych mądrości: „z niczego nie ma nic” albo „krem Nivea jest dobry na wszystko”.

Gdy pisał „Cholonka”, Janosch mieszkał już od lat w Niemczech i cieszył się pewną popularnością jako autor literatury dziecięcej. Nie pomagało to jednak na kryzys, jakiego ustawicznie doświadczał. Radził sobie z nim na własny, mało konstruktywny sposób; opowiadał, że potrzebował czterdziestu butelek ginu, żeby wyegzorcyzmować demony przeszłości przez pisanie. Trzeba jednak przyznać, że z czasem nabrał większej wyrozumiałości dla swoich rodziców – jeśli sędzić po jednym z jego licznych *alter ego*, jakim jest Norbert Fürchtgott z powieści „Szczęśliwy, kto spotkał Hrdlaka”, „ich również wywiedziono w pole”, wychowując metodami okrutnej „czarnej pedagogiki”. Sam jednak sympatyzował z outsiderami, wyrzutkami, najuboższymi, poniewiernymi przez „prawowitych obywateli”, takimi jak pobity na śmierć przez SA żebrak Gryzok z tejże powieści.

Zbyt polskie pochodzenie

W latach 70. „Cholonek” ukazał się w polskim przekładzie Leona Bielasa – w wersji ocenzonej o opisy przemocy czerwonoarmistów. Wywołała burzę wśród tych, którzy życzyli sobie nieskazitelnej obrazu Śląska jako krainy szlachetnych polskich patriotów. Krążyła pogłoska, że polska edycja to decyzja I sekretarza wojewódzkiego KW PZPR w Katowicach,

Alfabet Janoscha

– w tłumaczeniu Angeli Bajorek

- A**narchistisch jak anarchystyczny
- B** jak bezsilny, bezimienny
- C** jak Czworowymiarowy i chrześcijański, chętny do współpracy
- D** dobroduszny
- H** jak heretycki
- Ł**atwowiezny
- M** jak młody (11.03 90. urodziny)
- N** jak niezniszczalny
- O**bląkany
- P** jak polityczny ignorant, pokręcony, pobożny
- S** jak spokojny, szalony,
- Ś** jak święty (święty heretyk)
- U** jak i uczciwy
- W** jak wierny i wspaniały, wyważony
- Z** zaangażowany społecznie, jak za grubym



HEIKE HELLER / ULLSTEIN BILD / GETTY IMAGES

Zdzisława Grudnia, który chciał Śląskom zrobić na złość. Śląscy czytelnicy jednak zaśmiewali się przez łzy, bo sami znali podobne sceny i postacie ze swojego otoczenia i z familokowej codzienności.

Bohaterowie książki prezentowali sobą wiele niechlubnych stron ludzkiej natury, bywali oportunistami, asekuwantami, chciwcami, piniaczami, oszustami, złodziejami i pijakami – na pewno nie dało się o nich powiedzieć, że brakowało im rysu wiarygodności czy żeby cokolwiek tuszowano w ich obrazie, jednak nie bez wyrozumiałości. Janosch nie czuł się bowiem od nich drastycznie inny.

„Odziedziczyłem wszystkie cechy swojej rodziny. Miałem jednak wybór. Nie byłoby mi trudno zostać przemysłowcem. Pisarstwo jest pewnym wyjściem, rozwiązaniem awaryjnym, nie tak niebezpiecznym jak fach złodziejski” – mówił o sobie. Wiedział, że życie na pograniczu, którego polityczny status co rusz się zmieniał, a do tego wśród ludzi często parających

się niestabilną, dorywczą albo i nielegalną pracą (bohaterowie „Cholonka” to zazwyczaj *underclass*, ale z dużymi aspiracjami do statusu i bogactwa), wykształca w człowieku raczej społecznego kameleona, który łatwo dostosowuje się do tego, czyje akurat jest na wierzchu.

Licząc na zatuszowanie zbyt polskiego pochodzenia i wspięcie się wyżej na społecznej drabinie, ojciec przyszłego pisarza dał mu na imię Horst – po nazistowskim „męczenniku” Horście Wesselu. Nie mógł też pogodzić się z faktem, że syn okazał się zbyt wąty i nieśmiały jak na wymogi Hitlerjugend. Mały Horst, jako słaby i pogardzany, bał się przemocy wbudowanej w sam rdzeń Trzeciej Rzeszy. Dorosły już Janosch potraktuje pseudonim artystyczny jak ucieczkę od znienawidzonego imienia i oznajmi, że za prawdziwych bohaterów uważał dezertersów z Wehrmachtem. Do autobiograficznych wątków wróci jeszcze w kilku powieściach, choć też, jak powtarzał, „człowiek nie myli się o niczym innym tak łatwo jak o samym sobie”.

Krakowska jubileuszowa

W nowej Polsce o Janoscha upomniało się jego rodzinne miasto. Familok, w którym się urodził, został zburzony przy okazji budowy Drogowej Trasy Średnicowej, jednak cegły pochodzące z niego wręczane są co roku związanym ze Śląskiem twórcom. Imię pisarza nosi jedno z zabrzańskich przedszkoli, które każdego roku włącza się w organizację jego urodzin. Janosch na Teneryfie zamiast tortu najchętniej świętuje kielbasą krakowską. Książki wyszły w Znaku, w przekładzie Emilii Bielickiej. „Cholonek” trafił na scenę za sprawą katowickiego Teatru Korez, stając się olbrzymim przebojem, który przyciągał nawet widzów nieinteresujących się na co dzień teatrem. Biografia Janoscha, „Heretyk z familoka”, również ma doczekać się wersji scenicznej za sprawą adaptacji Angeli Bajorek.

Niemiecka edycja biografii Janoscha nosi tytuł „Kto prawie niczego nie potrzebuje, ten ma wszystko”. – Janosch wierzy, że wszystko jest ulotne, że nie warto się do czegośkolwiek przyzwyczajać. Ważne, by umieć odpuścić coś bez żalu – mówi biografka. Jak powiedziałby stary Świętek z „Cholonka”: „Wszystko to szmela. Ale czasem tak by się chciało usiąść na ziemi i z radości porządnie popłakać”!



Jessica Brown Findlay jako Lenina Crowne w serialu „Nowy wsapaniały świat”

Nasz wsapaniały świat

JAKUB MAJMUREK

Śmiałość w opisywaniu przez Huxleya swobody seksualnej niepokoiła cenzorów. Jeszcze w 2010 r. „Nowy wsapaniały świat” zajął trzecie miejsce wśród książek, których usunięcia z bibliotek publicznych żądano w USA.

Ostatnie lata są wyjątkowo dobre dla dystopii. „Opowieść podręcznej” Margaret Atwood zyskała drugie życie dzięki serialowi, na listy bestsellerów wrócił „1984” George’a Orwella. Liczne filmy i seriale pokazywały nieodległą przyszłość, która zmienia się w koszmar pod wpływem niekontrolowanej ekspansji technologii, kapitalizmu, wymykającego się wszelkim regulacjom państwa, populistycznej i autorytarnej polityki. Do współczesnych obrazów dystopijnej przyszłości dołącza nowa, serialowa adaptacja „Nowego wsapaniałego świata” Aldousa Huxleya, dostępna na polskim Netfliksie.

Prorok naszych czasów?

Dziwne, że filmowcy sięgają po Huxleya dopiero teraz. Wizja z „Nowego wsapaniałego świata” w wielu miejscach jest zaskakująco bliska naszej rzeczywistości. Zwraca na to uwagę choćby Michel

Houellebecq. „Zawsze uderzała mnie (...) niesłychana celność przepowiedni (...) Huxleya (...) I pomyśleć, że ta książka została napisana w 1932 roku, to niebywałe! Od tamtej pory społeczeństwo nieustannie usiłuje zbliżyć się do tego modelu” – mówi Bruno, bohater „Cząstek elementarnych”, na początku rozdziału, który niemal w całości poświęcony jest aktualności proroctw angielskiego pisarza.

Co dokładnie przewidział Huxley? W jego powieści ludzkość żyje w globalnym państwie, pozbawionym jakichkolwiek politycznych sporów. Dawne ideologie, wielkie ruchy polityczne, religie nie mają w nim miejsca nawet w muzeum. Dzieci rodzą się w laboratoriach i wychowywane są kolektywnie – co likwiduje wszelkie rodzinne więzi i ostatecznie oddziela seks od prokreacji. Nową, oczekiwaną od wszystkich normą jest seksualna swoboda; monogamia traktowana jest podejrzliwie. Sztuka, nauka, kultura

podlegają ścisłej kontroli, zwalczane jest wszystko, co burzy stabilność ciała społecznego. Obywatele nowego wsapaniałego świata mają być przede wszystkim szczęśliwymi konsumentami, podtrzymywani w stanie szczęścia przez ciągle rozrywki, sport, seks oraz somę – lek tłumiący lęk, niepokój i melancholię.

Świat Huxleya nie jest kapitalistyczny – gospodarka ma charakter ściśle planowy, jej podstawowym celem nie jest zysk, ale utrzymanie społecznej stabilności i reprodukcja społecznego ładu. A jednocześnie ten postkapitalistyczny porządek bynajmniej nie jest egalitarny. Społeczeństwo podzielone jest na kasty, z których każda ma swoją funkcję – od klasy menadżerów-administratorów (Alfy) po wykonujących najprostsze, manualne prace Epsilonów.

Manipulacje genetyczne, proces wdrażanego od najwcześniejszego dzieciństwa psychicznego warunkowania, wreszcie soma mają zagwarantować trwałość społecznej hierarchii: by nikt nie mógł sobie nawet wyobrazić przynależności do innej kasty niż ta, w której się urodził. Jedyną enklawą w tym świecie jest rezerwat dla współczesnych „dzikusów” w Nowym Meksyku – przypominających rdzennych Amerykanów z narodu Pueblo.

„Cząstki elementarne”, gdzie Bruno uznaje tę wizję za zapowiedź czasów współczesnych, ukazały się w roku 1998. W wyjątkowym w dziejach Zachodu okresie między upadkiem komunizmu a początkiem terroryzmu. Kiedy intelek-

tualiści ogłaszają koniec historii i ostateczne zwycięstwo gospodarki rynkowej oraz dość letniej demokracji liberalnej nad wszystkimi innymi pomysłami na urządzenie życia społecznego. Gdy zaczyna rodzić się globalna popkultura, a świat wydaje się coraz bardziej połączony. Wtedy faktycznie mogło się wydawać, że żyjemy w świecie opisanym przez Huxleya.

Ten okres kończą jednak ataki islamskiego terroryzmu na Stany Zjednoczone. Historia wcale się nie urywa na wielkiej konsumpcyjnej orgii. Jak zauważyła Margaret Atwood, 11 września 2001 r. i jego konsekwencje – rosnąca władza służb specjalnych w zachodnich demokracjach; masowa inwigilacja obywateli; tajne więzienia, w których przetrzymywane są w nieskończoność bez żadnej kontroli sądowej osoby podejrzane o związki z terrorem; towarzysząca temu nowomowa („ulepszone techniki przesłuchań” jako eufemizm tortur) – przeniosły nas z powrotem do świata rodem z „1984”. Jednocześnie, zdaniem kanadyjskiej pisarki, światy Orwella i Huxleya mogą doskonale ze sobą koegzystować. Permisywna kultura seksualna z nowym militarystycznym; ekspansja internetu jako narzędzia ogłupiającej rozrywki z nowymi technikami inwigilacji obywateli itd.

Ambiwalencja dystopii

„Nowy wspaniały świat” powstał pięć lat po pierwszej wizji Huxleya w Stanach Zjednoczonych, która napawa angielskiego pisarza głębokim niesmakiem. W wydanym rok po podróży zbiorze esejów pisze o Ameryce: „wszystkie zasoby nauki używane są tam do tego, by głupota i wulgarność mogły kwitnąć na całym globie”. Drażni go amerykański jazz, kino, reklama, kultura popularna, sprawiająca, że czas wolny staje się „podobnie zmechanizowany” jak czas pracy.

Śmiałość w opisywaniu powszechnej seksualnej swobody niepokoiła cenzorów na całym świecie. Jeszcze w 2010 r. „Nowy wspaniały świat” zajął trzecie miejsce wśród książek, których usunięcia z bibliotek publicznych żądano w Stanach Zjednoczonych. Jednocześnie wielu biografów i krytyków czytających Huxleya traktuje go jako spóźnionego wiktoriańca, patrzącego z nieufnością na wyzwoloną seksualność. Sybille Bedford, pierwsza biografka pisarza, zwraca uwagę, że swoboda seksualna nie przy-

nosi w jego prozie „ani miłości, ani na dłuższą metę nawet radości”.

„Nowy wspaniały świat” przenika też właściwie jego czasom przekonanie, że prawdziwa sztuka, produkcja intelektualna, kultura wymaga stłumienia popędu, odłożenia w czasie natychmiastowej gratyfikacji, przekierowania pierwotnej energii libido do pracy na rzecz „wyższych”, duchowych celów. To, co czyni nas najbardziej ludzkimi, wypływa z cierpienia, z tego, co w człowieku pęknięte, niedoskonałe. Taki pogląd dziś wydaje się głęboko konserwatywny, zwłaszcza że w książce zdolność do sublimacji popędu i prawdziwej twórczości przypisywana jest wyłącznie mężczyznom.

Z drugiej strony trudno nie przyznać racji Brunowi z „Cząstek elementarnych”: „zazwyczaj opisuje się świat przedstawiony przez Huxleya jako totalitarny koszmar, (...) usiłuje się przykleić tej książce etykietkę ciętej krytyki; to ewidentna hipokryzja. Pod każdym względem – kontroli genetycznej, walki ze starością, cywilizacji rozrywki – »Brave New World« jest dla nas rajem, stanowi (...) świat, do jakiego próbujemy, na razie bezskutecznie, dążyć”.

Huxley zebrał różne idee, formułowane w kręgu postępowej inteligencji brytyjskiej, do której należał z racji urodzenia – jako potomek prominentnej rodziny biologów, popularyzatorów nauki, pisarzy. Czołowe pomysły zaczerpnął z wykładu, jaki w 1923 r. wygłosił w Cambridge wybitny biolog i matematyk J.B.S. Haldane. W wystąpieniu zatytułowanym „Dedał albo nauka przyszłości” Haldane nie tylko przewidział możliwość pozaustrojowego zapłodnienia i rozwoju płodu, ale także zapuścił się w daleko idące spekulacje na temat tego, jak może to zmienić znane nam społeczeństwo. W wizji angielskiego uczonego, mimo protestów Watykanu i duchowych przywódców islamu, „ektogeneza” (jak nazwał proces) będzie stawała się coraz powszechniejsza. W efekcie seks zostanie nie tylko całkowicie oddzielony od prokreacji, ale też stare darwinowskie społeczeństwo oparte na konkurencji zastąpi społeczeństwo „powszechnego hedonizmu”.

U Huxleya jesteśmy w świecie bez głodu, wojen, skrajnego ubóstwa (mimo braku egalitaryzmu), bez przesądów, w społeczeństwie gwarantującym powszechny dostęp do konsumpcji i przy-

jemności. Siła powieści polega jednak na tym, że pokazuje, jak blisko od utopii do koszmaru, i że zawsze lepiej zastanowić się nad tym, czego sobie naprawdę życzymy.

Na nasze czasy

Czy twórcom serialu udało się oddać tę ambiwalencję, osadzić ją w lękach i problemach naszych czasów? Niestety, nie do końca. Choć trzeba im przyznać, że włożyli wiele wysiłku, by unowocześnić wizję Huxleya. Serialowy świat jest cyfrowy. Każdy obywatel ma w oku specjalną soczewkę połączoną z globalną siecią. Soczewka jest ekranem i kamerą, każdy obywatel ma dostęp do rzeczywistości widzianej oczami innych. Prywatność bowiem nie istnieje, każdy należy do wszystkich.

Ta wizja odsyła do współczesnych mediów społecznościowych, gdzie sami nieustannie inscenizujemy naszą prywatność jako spektakl. Twórcy serialu mieli dobrą intuicję – media społecznościowe są bardzo „huxleyowskie”. O ile w „1984” totalitarna władza dąży do maksymalnej izolacji każdego obywatela, tutaj podstawową techniką władzy jest „przespołecznienie”: przebodźcowanie kaskadą płytkich, łatwych i przyjemnych relacji społecznych, w wyniku czego nikt nigdy nie może być choć przez chwilę autentycznie sam, ani myśleć naprawdę samodzielnie.

Dzicy w serialu to nie rdzenni Amerykanie – wyglądają raczej jak współcześni wyborcy Trumpa, biała amerykańska biedota. Ich rezerwat jest parkiem rozrywki, który mieszkańcy Państwa Światowego odwiedzają, by przekonać się, jak wyglądały nieszczęścia Starego Świata. Wycieczka obejmuje więzienie, wyprzedaż w centrum handlowym, wreszcie ślub (który ma ilustrować „niedole monogamii”). W drugim odcinku serialu „tubyłcy” buntują się przeciw roli, jaką im przypisano. W trakcie uroczystości ślubnej zaczynają strzelać do turystów. Dzięki pomocy jednego z Dzikich, Johna, przeżywa dwójka: Bernard Marx oraz jego towarzysza Lenina Crowne.

Twórcy znów mają tu dobrą intuicję. Dla głoszącej na Trumpa biedoty świat zamożnej klasy średniej z obu wybrzeży Stanów może przypominać huxleyowską dystopię. Z kolei liberalna klasa średnia patrzy na amerykański interior podobnie jak bohaterowie serialu na park „dzikich”. W serialu skrajna nierówność ➔

→ między dwoma światami prowadzi w końcu do eksplozji przemocy – to scenariusz w ostatnich latach coraz częściej pojawiający się w tekstach kultury o współczesnej Ameryce.

Niestety, dobre intuicje kończą się twórcom serialu po drugim odcinku. Na tle innych serialowych antyutopii – na czele z „Black Mirror” czy „Rok za rokiem” – „Nowy wspaniały świat” wypada dość przeciętnie. Główne wątki – buntu najniższej kasty, sztucznej inteligencji zwracającej się nagle przeciw ludzkości – są słabo przemyślane. Twórcy nie mają też pomysłu na to, jak pokazać rozwój głównych bohaterów – Leniny i Bernarda – choć mają rewelacyjnych aktorów zdolnych zagrać wszystko: Jessicę Brown Findlay i Harry’ego Lloyda.

Mimo że serial daleko odchodzi od książki, to zaskakująco pomija dwa wątki aż prosiące się o uwspółcześnienie. Po pierwsze – wątek eugeniczny, hodowli gatunku ludzkiego przez niego samego. Dziś, gdy coraz wyraźniej stajemy przed realną możliwością modyfikacji naszej biologicznej natury, gdy pytanie, co znaczy człowieczeństwo, jak i czy możemy je przekroczyć – a co ważniejsze: czy powinniśmy – właśnie ten motyw wymagałby rozwinięcia. Huxley stawia tu ciekawe pytania, pokazuje, że postęp w naukach biologicznych może służyć produkowaniu skrajnych, nieprzekraczalnych nierówności i społeczeństwa niezdolnego do buntu.

Po drugie, nasz własny „nowy wspaniały świat” buduje nie globalne państwo, ale szereg prywatnych, nastawionych na zys gigantów. Jest sprywatyzowany i wyjęty spod politycznej kontroli. Czytając dziś Huxleya trzeba się odnieść do tego stanu rzeczy – choćby po to, by zadać pytanie, czy uspołecznienie własności faktycznie jest wystarczającą receptą na negatywne skutki rozwoju technologii. Uchylając się od tych pytań, serial raczej rozczarowuje – mimo kilku ciekawych pomysłów, odważnych scen i świetnej obsady. Na telewizyjne lub filmowe odczytanie Huxleya na miarę naszych czasów przyjdzie jeszcze poczekać.

© JAKUB MAJMUREK

„Cząstki elementarne” cytuję w przekładzie Agnieszki Daniłowicz-Grudzińskiej.

Nie znaczy nie

ANITA PIOTROWSKA

Emerald Fennell nakręciła czarną komedię, która brawurowo rozbraja stereotypy dotyczące kultury gwałtu. Dla takich filmów warto było otworzyć kina i warto poczekać na ich ponowne otwarcie.

ZEMSTA JEST ROZKOSZĄ BOGÓW? Bynajmniej. Na ekranie karmią się nią najczęściej zwykli śmiertelnicy: słabi, nieuprzywilejowani, próżno szukający sprawiedliwości. Wokół tej fantazji wytworzył się nurt mniej lub bardziej ryzykownego kina, niosący symboliczną satysfakcję w postaci spektakularnego odwetu. Odwołuje się nie tyle do naszych niskich instynktów, ile do potrzeby karnawalizacji świata, odwrócenia jego porządku czy nawet biegu historii.

Mistrzostwo w tego rodzaju zabawie osiągnął, jak wiadomo, Quentin Tarantino. W jego filmach żydowskie oddziały masakrują nazistów, czarni niewolnicy jeszcze przed wojną secesyjną dokonują krwawej zemsty na białych plantatorach, kobieta z samurajskim mieczem potrafi w ramach starych porachunków wykończyć cały legion zabójców, a sam reżyser mści się na członkach sekty Charlesa Mansona, spuszczając im łomot tak skuteczny, że nie dochodzi do pamiętnej masakry w Beverly Hills.

W filmie „Obiecująca. Młoda. Kobieta” zemsta smakuje w sposób szczególny – niczym babeczka z różową polewą i kolorową posypką. Słowo „babeczka” może tu zabrzmieć infantylnie czy wręcz podejrzanie, bo rzecz dotyczy przemocy seksualnej doświadczanej przez kobiety. Debiutująca za kamerą brytyjską aktorka Emerald Fennell nakręciła czarną komedię, która brawurowo rozbraja stereotypy składające się na tzw. kulturę gwałtu. Dla takich filmów warto było otworzyć kina i warto poczekać na ich ponowne otwarcie.

„Sama chciała” – to najczęściej stosowany argument i właśnie z nim rozprawa się wieczorami filmowa Cassandra. Udając pijaną w sztok pozwala przypadkowym mężczyznom zaprosić się do domu, lecz kiedy ci próbują wbrew

jej woli skorzystać z sytuacji, momentalnie trzeźwieje i udziela im ostrej repymendy. Po czym odhacza ich imiona w specjalnym notesie, niczym tytułowa „panna młoda w żałobie” z filmu François Truffaut’a.

Bo Cassie przeżywa swoją żałobę – siedem lat wcześniej samobójstwo popełniła jej najlepsza przyjaciółka Nina. Zrobiła to z bezsilności po tym, jak na imprezie urwał jej się film i została zgwałcona, ale mimo licznych świadków nikt nie dał wiary jej zeznaniom. Współdziałanie traumy okazało się na tyle silne, że Cassandra porzuciła studia medyczne, choć – podobnie jak Nina – zapowiadała się świetnie. Stąd też ironiczny tytuł filmu, albowiem dziś „obiecująca młoda kobieta” ma 30 lat, jest samotna, pracuje w kawiarni i dalej mieszka z rodzicami, podczas gdy jej koledzy (aktywni i bierni uczestnicy zdarzenia) robią lekarskie kariery i układają sobie życie prywatne.

Cassandra nie zamierza jednak kultywować roli ofiary, dlatego z taką determinacją uprawia swoją przewrotną pedagogikę. W pewnym momencie bierze na celownik tych, którzy kiedyś przyczynili się do cierpienia jej przyjaciółki. Chodzi jej głównie o przyznanie się do winy, o akt spóźnionej empatii, jednak by pobudzić w tym celu czyjeś neurony lustrzane, czasem trzeba znaleźć bardziej wyrafinowane sposoby niż udawanie pijanej.

Najcelniejszym strzałem było obsadzenie w roli perwersyjnej mścicielki Carey Mulligan, z jej przesłodką buzią i wizerunkiem grzecznej blondynki. Widać, że aktorka doskonale bawi się swoim podwójnym wcieleniem, w czym niewątpliwie pomaga jej prowadzona w filmie konsekwentna gra kostiumem, fryzurą, makijażem, kolorem.



FOCUS FEATURES / UIP / MATERIAŁY PRASOWE

Carey Mulligan jako Cassandra w filmie „Obiecująca. Młoda. Kobieta”

W zależności od tego, czy Cassandra ma na sobie garsonkę, zwiewną dziewczęcą sukienkę czy strój bardziej „zdzirowaty”, dokonuje się jej przeobrażenie w pewien stereotyp. Podobnie działa pastelowy róż i błękit, od urodzenia przypisywane w naszej kulturze osobno dziewczynom i chłopcom, ażeby podkreślać genderowe różnice i wzmacniać odmienne traktowanie obu płci. Ofiarą takich właśnie podwójnych standardów padła przez lata Nina.

W filmie Fennel nie ma miejsca dla niewinnych czy neutralnych detali. Pracuje tutaj wszystko: upiornie cukierkowy wystrój wnętrza w rodzinnym domu Cassandra, jej ostentacyjnie wielobarwne paznokcie i nawet stosowane w filmie staroświecko kiczowate literackie. Jest bowiem „Obiecująca...” kapitalnym recyklingiem popkulturowych klisz – weźmy choćby sposób, w jaki wykorzystuje rozmaite muzyczne przeboje na czele z „Toxic” Britney Spears, tym razem w jadowitej wersji smyczkowej. Jeśli dodamy do tego wzięty wprost z pornograficznych wyobrażeń motyw seksownej pani doktor, amerykański film o zemście okaże się nie tyle babeczką, co przekładarnicem, złożonym z rytmicznie ułożonych warstw: humoru i powagi, romantyzmu i cynizmu, konwencjonalnej grozy i prawdziwej makabry.

Dzięki swojej lekkiej, wręcz piankowej konsystencji i pięciu oscarowym nominacjom film ma szansę dotrzeć wszędzie tam, gdzie nie dotarł jeszcze oczywisty przekaz, iż w relacjach damsko-męskich „nie znaczy nie”. Jednocześnie „Obiecująca. Młoda. Kobieta” nie jest te-

pym oskarżeniem świata mężczyzn, na co mogłaby wskazywać już czołówka filmu: męskie ciała bujające się na parkiecie przedstawione zostały w mało korzystnym świetle. Fennel uzmysławia nam zresztą, ile musi się zmienić również w świadomości kobiet, czego przykładem filmowa pani dziekan, zamiatająca ongiś sprawę pod dywan, czy koleżanka z roku, która wyparła całe zdarzenie.

Film pokazuje także, co dzieje się z pamięcią przy okazji takich przestępstw jak gwałt. Celowo oszczędza nam jego widoku, a brzydkie słowo na „g” nie pada z ekranu w ogóle. Okazuje się, że niektórzy świadkowie pamiętać nie chcą, bo tak im po prostu wygodniej, choć są i tacy, którzy zapomnieli na prawdę – jakby nie wdzili niczego specjalnego w incydencie sprzed lat. Cassandra musi więc indywidualnie profilować swoją zemstę, w zależności od stopnia zaprzeczenia czy wyparcia.

Pamiętanie i odwet są w filmie jednym i tym samym, czego symbolem staje się medalion z imieniem ofiary. Takie utożsamienie może budzić wątpliwości, lecz Fennel celowo prowokuje, zaskakuje, budzi naszą niezgodę. Najważniejsze, że ostatecznie nie dostarcza nam li tylko mściwej satysfakcji ani pochopnego *katharsis*. Pozostawia raczej ze sprzecznymi uczuciami i pytaniem, jak długo jeszcze tak desperackie mistyfikacje i przebrania będą nam potrzebne. ©

OBECUJĄCA. MŁODA. KOBIETA (*Promising Young Woman*) – reż. Emerald Fennell. Prod. USA 2020.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Mauretańczyk



Thriller, reż. Kevin Macdonald, USA/Wielka Brytania 2021, Rakuten, od 25 III

To film według wspomnień Mohamedou Oulda Salahi, który przez 14 lat był bezprawnie przetrzymywany w amerykańskiej bazie Guantanamo. Opowiada o wysiłkach obrońców, które dążą do uwolnienia więźnia i do zadośćuczynienia jego krzywdom. Przy okazji odkrywają niewygodną prawdę o walce z terroryzmem. Występują m.in. Tahar Rahim, Jodie Foster, Shailene Woodley i Benedict Cumberbatch.

2. Q: Nadchodzi burza



Serial dokumentalny, reż. Cullen Hoback, USA 2021, HBO GO, od 3-4 29 III

Kto stoi za tajemniczym ruchem, który od kilku lat prowadzi skuteczną wojnę informacyjną, rozpowszechniając w sieci teorie spiskowe? Sześciuodcinkowy serial śledzi historię QAnon, próbuje rozgryźć jego polityczny fenomen, związki z Donaldem Trumpem i koncepcję deep state. Analizuje także wpływ zjawiska na kondycję dzisiejszych mediów i liberalnej demokracji.

3. Vitalina Varela



Dramat, reż. Pedro Costa, Portugalia 2019, Nowe Horyzonty VOD

Coś dla poszukujących w kinie malarskiego światłocienia, nieśpiesznego rytmu, płynnego łączenia fikcji i faktu. Z Wysp Zielonego Przylądka przyjeżdża do lisbońskich slumsów wdowa i zajmuje mieszkanie po zmarłym mężu, który przyjechał tu kiedyś za pracą. Kobieta otaczają żywi i umarli, a całość zamienia się w wyrafinowaną przypowieść o migracji, samotności i żałobie.

4. Czego nauczyła mnie ośmiornica



Dokumentalny, reż. Pippa Ehrlich/James Reed, RPA 2020, Netflix

Jak to często bywa w nominowanych do Oscara dokumentach, nie udało się uniknąć nadmiernej dramatyzacji, a w tym przypadku również antropomorfizacji tematu – rzecz dotyczy bowiem przyjaźni człowieka z oceanicznym głowonogiem. Wielkim atutem są jednak bajeczne zdjęcia podwodnych cudów natury i widzialne dowody jej geniuszu.

JAN

Klata: Trzy litery



ZGODNIE Z ZALECENIEM NAJWYŻSZYCH Czynników Państwowych pracuję zdalnie. Pracuję zdalnie, więc muszę dojeżdżać. Dojeżdżam pasjami, głównie na odwołane próby wznowieniowe, ewentualnie odwołane spektakle – ale i tak jest fajnie i morowo, gdyż sam przejazd PKP to gwarantowana kupa szampańskiej zabawy. Dlaczego? Spieszę z odpowiedzią: nałożono – całkiem rozsądny – obowiązek 50 proc. obłożenia. A zarazem wymaga się posiadania biletu na określone miejsce. A zarazem (z wyjątkiem pendolino, bodajże) Polskie Koleje Państwowe w 2021 r. nie dorobiły się systemu sprzedaży biletów, który umożliwia odpowiednie rozgęszczenie pasażerów, ewentualnie samodzielny wybór miejsca. Efekty? W jednym wagonie szturm na Pałac Zimowy we wszystkich

przedziałach, podczas gdy inne wagony wożą powietrze, zapewne bez wirusa w dowolnej mutacji. Na zdrowy chłopski (przepraszam za klasizm) rozum, w obliczu powtarzanych z głośników komunikatów o zajmowanie miejsc tam, gdzie jest pusto, po prostu idę do wagonu, gdzie możliwe pusto. Logiczne? Logiczne, ale na następnej stacji ładuje mi się tam pięcioro homowiatorów płci wszelakich, dokładnie do tego przedziału, mimo że tuż za ścianą obok sześć pustych siedzeń raz za razem jak okiem sięgnąć. Dlaczego akurat mnie się ładują? Gdyż tak im system przydzielił miejscówkę. I nie ma dyskusji, święte prawo do nieruchomości przyznane na bilecie, amen. Opuszczam zatłoczony przedział, idę do pustego, aż do następnej stacji, gdzie *da capo al fine*.

Pomijam fakt, że homowiatorzy z reguły „noszą” symboliczne „maseczki” z ligniny, ewentualnie jednej warstwy bandaży, co to nawet rybki na to nie złowisz. Pomijam fakt, że owe siateczki szykownie zsunięte są z noska. Pomijam fakt, że jak tylko się na chwilę wydźwie z przedziału, to dychawiczni bliźni natychmiast bandaże z ust ściągają, żeby się nie udusić zapewne.

Mniejsza o to, ale dlaczego zawsze w kupie? Po co z każdej podróży robić pandemiczne Mielno? Bo system tak przydzielił? Oczywiście, winny jest system, co zapobiega myśleniu. ©

Lektor: Pępowina



■ Tomasz Żukowski
**POD PRESJĄ. CO MÓWIĄ
O ZAGŁADZIE CI, KTÓRYM
ODBIERAMY GŁOS**
Wielka Literatura,
Warszawa 2021, ss. 296.

„W OBRONIE WIZERUNKU wspólnoty tkwi naddatek. Wskazuje on, że nie umiemy oddzielić się od obrazu ojców, tych realnych, ale pewnie bardziej tych wyobrażonych. Ludzie czują się dotknięci, kiedy na jaw wychodzi jakieś naganne zachowanie przodków, jakby stanowili z nimi jedność. Bronią obrazu przeszłości i są przekonani, że bronią samych siebie” – pisze autor. W dokonanej w 2018 r. nowelizacji ustawy o IPN obrona przybrała formę

szczególnie groźną, bo instytucjonalną: oto zabroniono przypisywania „Narodowi Polskiemu lub Państwu Polskiemu odpowiedzialności lub współodpowiedzialności za popełnione przez III Rzeszę Niemiecką zbrodnie nazistowskie”. I stało się to w chwili, kiedy kolejne badania historyków dowiodły, że stwierdzenie Jana Błońskiego ze słynnego artykułu „Biedni Polacy patrzą na getto” odnoszące się do ewentualnej współwiny za Zagładę – „Bóg tę rękę

zatrzymał” – było niestety pochopne...

Tomasz Żukowski, autor książki „Wielki retusz. Jak zapomnieliśmy, że Polacy zabijali Żydów”, tym razem zajmuje się kliszami i niepisanyymi regułami, jakie rządziły u nas przez lata kulturową pamięcią o Zagładzie, presją, jaką odczuwali piszący, i sposobom, przy pomocy których nieliczni starali się spod niej wyzwolić. Żukowski analizuje przypadek dwóch żydowskich świadków, którzy wojny nie przeżyli, czyli Calka Perechodnika i Władysława Szlengła, skomplikowany *casus* powstałych w 1943 r. wierszy Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, „ballady o Szoa” Władysława Broniewskiego i Wisławy Szymborskiej, „Campo di Fiori” i „Biednego chrześcijanina...” Czesława Miłosza, „Drewniany karabin”

Tadeusza Różewicza, prozę Adolfa Rudnickiego i szlachetny „obraz życzeniowy” w dramacie Stefana Otwinowskiego. Bardzo to są przenikliwe analizy, a ich cel autor formułuje jasno w dalszym ciągu zacytowanego fragmentu o naszym związku z obrazem ojców. „Zacznijmy od przecięcia tej pępowiny” – postuluje i przypomina, że „odejście od rodziców jest warunkiem dojrzałości”, a własne wybory dają znacznie silniejsze poczucie tożsamości niż odziedziczone tradycje. W rozmowie z Dorotą Wodecką dodaje zaś: „Nie jesteśmy odpowiedzialni za to, co robiły poprzednie pokolenia. Nasza odpowiedzialność polega na tym, żeby dowiedzieć się, co się w Polsce działo oraz dzieje, zrozumieć, ocenić i – jeśli trzeba – próbować zmienić świat, w którym sami żyjemy”. ©®

PAWEŁ

Bravo:

O dobrych i złych preparatach



PÓŁ MILIGRAMA. PRZEMNÓŻ TO PRZEZ MASĘ twojego ciała – dowiesz się, ile wolno ci zjeść dziennie glifosatu bez konsekwencji dla zdrowia. A przynajmniej tak twierdzi Europejska Agencja Bezpieczeństwa Żywności. Czemuż więc miałbym się nie-

pokoić? Może dlatego że w 2015 r. Światowa Organizacja Zdrowia zakwalifikowała tę substancję używaną w jednym z najważniejszych herbicydów świata jako mogącą wywoływać białaczkę? Za czym w Ameryce poszły lawinowo procesy o odszkodowania dla rolników i ogrodników, którzy na podstawie tego i innych podobnych orzeczeń próbowali uzyskać od wielkiego koncernu pieniądze na leczenie. A także całkowite lub w każdym razie szerokie zakazy stosowania, wprowadzone przez władze różnych krajów, regionów i miast.

Decyzja rządu Luksemburga nie robi pewnie na was wrażenia, bo jedyna istotna dla Europy roślina, która tam rośnie, to lipa podatkowa. Ale pomyślcie o Francji, agrarnym sercu Europy, gdzie już za kilka miesięcy, decyzją parlamentu, nie będzie wolno używać preparatów z glifosatem. Wchodzimy w obszar poważnej polityki. A jednak do końca przyszłego roku w Unii jako całości glifosat jest legalny. Cztery lata temu, gdy Komisja Europejska procedowała dalsze dopuszczenie go na rynek, wszczęła się walka działaczy i lobbystów, w obiegu krążyły ekspertyzy i kontrekspertryzy. Pojawiały się sensownie brzmiące (i niewyglądające na opłacony przez producenta humbug) stanowiska instytutów, że jeśli zachowa się rygorystyczna metodologia, to związek herbicydu z większą częstością białaczek pozostaje hipotezą, wprawdzie prawomocną, ale niedającą podstawy do podejmowania decyzji o skutkach liczonych w miliardach.

To wszystko rzeczy znane czytelnikom, pisaliśmy tu ze smakiem o nich stosownego czasu. Albowiem nowoczesne praktyki rolne i rynki spożywcze to znakomity model utraty niewinności, z którą musimy sobie radzić, chcąc zatroszczyć się o świat i siebie. Nie wyrażałem tego wprost, ale moja intuicja była wtedy po stronie nieufnych. Europejska agencja mówi, że glifosat nie szkodzi, ale od kiedy to ja wierzę ślepo agencjom?

Przypominam te stare sprawy, bo analogie z niedawną decyzją o zawieszeniu szczepień jednym z preparatów nie dają mi spokoju. W pierwszym odruchu miałem nawet cichą satysfakcję: oto mój rząd okazał się bardziej odpowiedzialny

od np. niemieckich władz, które starały się „coś zrobić”, bo pojawiło się odchylenie w liczbie śmiertelnych przypadków zakrzepicy skorelowanych czasowo z zastrzykami. Dla Berlina czy Paryża był to dość łatwy sposób na zademonstrowanie poczucia sprawczości. Krótkowzroczny, ale na tym przecież polega istota populistycznej polityki: świat jest prosty, każdemu skutkowi można przypisać jasną przyczynę, a w ogóle to aby do jutra.

Czułem satysfakcję, że mój rząd się słucha Europejskiej Agencji ds. Leków, ta zaś nie widzi powodów, by drgnięcie w liczbie zakrzepic powiązać ze szczepieniami. Złośliwa pamięć zaraz mi jednak przypomniała, jak wątpiełem w analogiczny argument, gdy czytałem, iż lekkie drgnięcie liczby nowotworów u osób stosujących glifosat nie przekłada się na dowód, że ta substancja „wywołuje” raka i to na znaczną skalę. W głowie przewijały mi się relacje o tym, jak bardzo plastyczne potrafią być umysły urzędowych ekspertów, jeśli dobrze je pogniatać pieniędzem albo szantażem typu „to będzie złe dla gospodarki”, „wyborcy nam tego nie wybaczą”.

Glifosat zły, Astra dobra. W agencję do spraw żywności wątpię, a tę od leków szanuję. Jak z tego wybrnąć? Na szczęście analogie sięgają tylko do pewnego miejsca. Różnica jest choćby taka, że hipotetyczne ryzyko winno skłaniać do porzucenia glifosatu, bo mamy inne środki pomocne w walce z chwastami. Owszem, bardziej pracochłonne i nie tak przerażliwie skuteczne, ale są. Nie pewno mniej zyskowne dla koncernów chemicznych, ale tym gorzej dla nich. Szczepionki tymczasem to jedyne, co mamy w tym sezonie pod ręką, żeby bronić swoje płuca i liczyć na odbudowę więzi społecznych, zatem ryzyko jest tu godziwą ceną. W doborze jedzenia można pozwolić sobie na czystościowy, zdrowotny, ekologiczny radykalizm wyborów (nawet jeśli wyłazi spod niego obłuda, o czym wam z chęcią będę przypominał). W kwestii udziału w szczepieniach nie czas na marudzenie. ©P

Tydzień temu dotknęliśmy tematu, jak dodać blasku przednówkowemu ziemniakom, które pozostaną z nami jeszcze długo (choć Pan Ziółko właśnie powrócił z pierwszą skrzynką rukoli do warszawskiej Fortecy). Dziś pora

na podkręcenie ziemniaczanego purée pasternakiem. Najprościej jest dodać go w proporcji

1:1 do garnka z ziemniakami (parę minut po nich, bo szybciej się rozpada) albo ugotować osobno w niewielkiej ilości mleka, i potem ugnieść razem z ziemniakami, dolewając część mleka z gotowania i oczywiście masło. Gdyby wam jego zaiste korzenny i słodkawy smak pasował, możecie z ziemniaków zrezygnować, za to zrobić czysto pasternakowe purée. Gotujemy do miękkości

pasternak krojony w grubą kostkę wraz z obranym czosnkiem (1 ząbek na 1 korzeń) w takiej ilości

mleka, żeby ledwo go przykryła, odcedzamy, miksujemy na gorąco i doprawiamy masłem oraz odrobiną soku z cytryny. Jeszcze ciekawszym wariantem jest dodanie czosnku podpieczonego na ciemnożłoto w piekarniku (z główki czosnku zdejmujemy wierzchnie łupiny, zawijamy w folię aluminiową, zostawiając mały „komin”, i pieczemy w 180 stopniach pół godziny).



PASTERZE WINNIC

Męczyłem ludzi pytaniem, jak jedzą gruszkę, owoc niepokojący.
Jeśli najpierw wyrrywają ogonek i biorą gruszkę od góry, są jej marzycielami,
jeśli kroją nożem albo wgryzają się z boku – nie są. A jak wziąć wino?

MAREK BIEŃCZYK

*Chleb jest owocem ziemi, lecz i za sprawą światła,
A radość budzona przez wino pochodzi od Gromowładcy.
I właśnie z tego powodu przywodzą one na myśl
Niebian, którzy tu byli i wrócą w swoim czasie.
I stąd poeci czczą w pieśniach starego boga wina,
A głoszona w nich chwała nie jest pustym wyrazem.*

(Friedrich Hölderlin „Chleb i wino”, fragment,
przeł. Antoni Libera)

TO, ŻE POECI PISZĄ O WINIE, JEST RZECZĄ NATURALNĄ; WINO od dawien dawna należy do królewskich tematów poezji. To, że poeci wino wytwarzają, jest rzeczą rzadszą. Lecz jakże mogłoby być inaczej w przypadku winnicy, która zwie się Miłosz?

Mam w kieliszku pinot noir ze świetnego u nas rocznika 2018. Wyszło spod ręki Krzysztofa Fedorowicza, poety, pisarza, winiarza; nie wiem, w jakiej kolejności wyliczać, nigdy się nie spotkaliśmy. Zdecydowanie dobre wino i mówię to bez krytycznego asekurantwa („dobre jak na polskie warunki”), jakim tonujemy nieraz wśród winomanów afirmację, by pokazać własną światowość. Nie, po prostu dobre wino w szczodrym roku. Pinot noir – odmiana najpiękniejsza z pięknych i szczęśliwie w Polsce od kilkunastu lat sadzona; nie przeszkadzają jej tak bardzo chłodniejsze klimaty. Odmiana najbardziej też poetycka czy poetycko-filozoficzna, z jednego względu przede wszystkim. Dlatego że łatwiej niż inne przynosi smak (niekiedy, przy niektórych tylko butelkach; w krainie Gromowładcy epifanie są jednak policzone) tak szczególny, że wydać się może t y m smakiem. Ale co to znaczy: t y m właśnie smakiem?

Szczelina smaku

W pamiętnym tekście „Wiśnia i rozumienie” (z tomu „Szczeliny istnienia”) Jolanta Brach-Czaina pisała o smaku wiśni. Wiśni, nie innych owoców, gdyż to ona, łącząc gryzącą cierpkość i głęboką, skrytą słodycz, przynosi fundamentalne doznanie: że oto dotykamy prawdziwego smaku bytu i „słyszemy jego mowę”. Ale to jeszcze nie dość powiedzieć. Wiśnia jako „egzystencjalny konkret” wysyła do nas przesła-

nie, dzięki któremu „dochodzimy do rozumienia siebie”. „Może dlatego, że sami jesteśmy egzystencjalnym konkretem i że następuje tu spotkanie istniejących, w którym odśłania się sens wspólny”. Spotkanie (fenomenologiczne, powiedziałoby filozofowie) oświeśla obie strony: my, jeśli zdołamy się na uważność, pojmiemy istotę wiśni, wiśnia da nam światło do oświecenia naszej.

Skoro zacząłem od Hölderlina, pozostajmy w krainie tonów wysokich. Lecz ostatecznie mało metaforycznych i hurraduchowych. Doświadczenie tego smaku jest bowiem jak najbardziej realne i uchwytnie. W przypadku wina wiąże się ono również z doznaniem szczególnej cierpkości owocu, i zarazem czegoś niezwykle żywego, przytomnego i czystego, wibrującego; dlatego słowo „spotkanie” nie jest przesadne. Pinot noir tę owocowość niekiedy przybliża do wiśni czy wytrawnej czereśni, lecz ostatecznie nie chodzi o konkretne identyfikacje, choć oczywiście banan, ten disco owoc, odpada. Smak, o którym mówię, wychodzi poza rozpoznawalne nuty (dajmy na to wiśni) i przynosi poczucie, że dotykamy wykrystalizowanej powszechności, że przez szczelinę smaku docieramy do niewymownego sedna. Sedna, bo nasza wyobraźnia na głodzie zawsze szuka mitycznego centrum.

Brach-Czaina jest w swoim tekście marzycielem wiśni. Opisuje, jak należy docenić splendor jej powierzchni, wymacać w ustach jej idealną kulistość, wgłębianie po szypułce, a w chwili, gdy wbijemy w nią zęby, smakować pierwszy rzut soku na podniebienie, gryzącą fontannę. Powoli i z namysłem, inaczej wszystko stracone. Nieraz pod wpływem jej tekstu męczyłem ludzi pytaniem, jak jedzą gruszkę, owoc niepokojący. Jeśli najpierw wyrrywają ogonek, zatyczkę po cisku, i biorą gruszkę od góry, od strony zięjącej biseksualnie wyrwy, są jej marzycielami (przekonywałem), jeśli kroją nożem albo wgryzają się z boku jak w jabłko – nie są. Ale bycie marzycielem wina – którym jest z pewnością Krzysztof Fedorowicz – dzieje się również w czasie. Wykracza poza chwilę teraźniejszą, poza medytację nad łykiem tu i teraz; trzeba również napić się wstecz. Za wskazówką T.S. Eliota, którego autor mojego dzisiejszego pinot noir cytuję: „Echo stąpania dudni nam w pamięci / Przejściem, w któreśmy



→ sami nie wchodzili nigdy” (przeł. Czesław Miłosz).

Terroir, czyli siedlisko

Kiedyś zdarzyła się okazja degustowania win razem ze świetnym winiarzem alzackim, André Ostertagiem. Przyjechał do Warszawy przedstawiać swoje butelki, później przysłał mi wiersze. O swoich winnicach przede wszystkim, o żywiołach, które współtworzą ich świat i którym zawdzięcza wybitne rieslingi, także pinoty. A później tak opowiadał: „Kiedy spojrzysz na dwie przylegające do siebie parcele, które zupełnie nie są podobne, możesz mieć pewność, że nie uprawia ich ta sama osoba. Dzieje się tak, jakby winnica była stadem i rozpoznawała pasterza, który ją prowadzi. I nawet uznawała go za swojego pasterza. Żyjąc z nią, masz wrażenie, że wszystkie te krzewy osiągnęły jakby świadomość zbiorową i mają poczucie, że należą do jednej całości, niczym ławica ryb lub kluczek ptaków. Ale nie wszyscy osiągają ze swoimi winnicami podobne porozumienie, nie wszyscy wytwarzają podobny fluid. Jestem przekonany, że taki fluid jest niezbędny w procesie uduchowienia rośliny, w sposobie, w jaki rozwinie ona, powiedzmy, swoją zwierzęcość. Swoje zachowanie zwierzęta udomowionego”.

Nie wiem, czy André Ostertag czytał Heideggera i zapamiętał myśl o „pasterzach bytu”. Byłaby mu bliska. Od jed-

Wino degustowane w oderwaniu od przestrzeni jego pochodzenia smakuje inaczej.

Kiedy można poznać jego
rodzinną okolicę i historię,
przełazić parę kilometrów
po winnicach, dociera z niego
coś więcej.

nego stadka do całego istnienia, od jednej winnicy do ogrodu świata. Ostertag myśli globalnie, poszukuje – w wierszach i w pracy winiarskiej – „harmonii Wielkiej Całości”, której winnica jest częścią czy nawet załącznikiem. Czy jest mistykiem wina? Może w latach 80., gdy był oryginałem, prekursorem winiarskiej myśli holistycznej i, nawiązując do poezji romantycznej, rozprawiał o duchowości świata przez duchowość wina, kimś takim mógł się wydać. Dzisiaj, gdy myśl ekologiczna silnie napiera i idee holistyczne przybierają postać konkretnych projektów technologicznych, takie zaszeregowanie

nie właściwie przestaje mieć sens. Albo przynajmniej przestaje racjonalistów straszyć.

Bruno Latour, najbardziej dziś czytany filozof francuski, poświęcający ekologię i kryzysowi klimatycznemu ogromną uwagę, opowiadał niedawno o zebraniu rady nadzorczej jego rodu, od stuleci zasłużonego w dziejach winiarskiej Burgundii: „Zarządca naszej winnicy przedstawił jak co roku naszą sytuację. Mówił tym razem o zanikaniu Golfstronu. Byłem zdumiony. Od tylu lat opowiadam o Gai, lecz nigdy by mi nie przyszło na myśl, że burgundzka posiadłość jest do tego stopnia powiązana z oceanem”.

Światowy „zielony” trend, odczuwalny także w winiarstwie, dąży do odkrywania współzależności, wydobywania

Winnica Miłosz, Łaz k. Zielonej Góry, październik 2012 r.



na jaw długiego łańcucha przyczynowo-skutkowego, zwłaszcza w obszarze klimatycznym. Ale te współzależności, tworzące całościowy ogląd winiarstwa, życia na winnicy, życia z winnicy, nie są tylko „poziome”, związane z tym, co przychodzi z zewnątrz, z pogodą, z przemianami klimatycznymi. Są także „pionowe”, związane z historią, z tradycją i z samą glebą.

Wyraża je wszystkie bodaj najbardziej istotny, a w każdym razie najbardziej w słownictwie winiarskim rozpowszechniony koncept *terroir*. Po polsku mówimy niekiedy „siedlisko”, lecz we wszystkich językach używa się powszechnie francuskiego określenia. Bardzo się ono zbanalizowało, trafiło do ciotki na imieniny i do wujka na działkę, lecz bez niego ani rusz. Nie ma co sięgać po korkociąg, chyba że jesteś smutno trzeźwymi (*nomen omen*) wyznawcami *téchné*, czyli bierzemy wino za wyłączny efekt działań technologicznych i wynik procesów chemicznych uznanych za jedyne rzeczywiste.

Czym jest *terroir*? Nie ma jednej, precyzyjnej definicji, ogólnie określa się go najczęściej jako pewien ściśle wyznaczony obszar geograficzny, na którym wspólnota ludzka stworzyła w trakcie historii intelektualną wiedzę dotyczącą prowadzonej tu produkcji; wiedzę ufundowaną na systemie wzajemnego oddziaływania na siebie środowiska fizycznego i biologicznego oraz relacji międzyludzkich i uwarunkowań społecznych i technicznych – w wyniku czego otrzymany produkt nabywa oryginalnych i typowych dla tego obszaru cech, wyróżniających go spośród produktów powstałych gdzie indziej. Tak w makroskali. A w mikroskali winiarskiej *terroir* dotyczy również wręcz pojedynczych parceli, których szczególność – rodzaj gleb i ekspozycji słonecznej, rodzaj działań i uczuć, jakie wzbudza w ich „pasterzach”, ale też dźwięk nazwy, gdyż i słowo należy do pojęcia siedliska – odróżnia je od parceli sąsiednich.

I tak region zielonogórski, gdzie od stuleci uprawia się winorośl, jest jednym dużym *terroir*, a wewnątrz niego parcele należące do Krzysztofa Fedorowicza, jak Łaz koło Zaboru, są *terroir* w skali mikro, małym ziarnem w dużej matrycy uformowanej wieki temu. „Gęsta siatka domów i ulic, potem drzewa owocowe, potem winnice, wieniec winnic. O dłuższych bokach od wschodu i południa, gdzie ziemia się urywa, spada. Strome stoki mniej więcej od Grünbergshöhe w południowo-wschodniej części miasta przez Schillerhöhe, gdzie skłony w kilku planach, wyżej i niżej, bliżej i dalej, bo ziemia tu zdaje się w ruchu. Dalej Hohneberg albo Hohnberg, urwiste wzgórze tak w kierunku południowym, północnym, zachodnim i wschodnim, jeśli szybko – w jednej chwili – spróbujesz objąć cały świat jedną migawką spojrzenia. Stąd daleko polecisz w kierunku południowym – rozbijając się dopiero o góry – i po rzekę, która swoją masą wyryła głęboką dolinę od północy. Od Hohnberg – kóż nie lubi wyzwania w postaci zbitki spółgłosek – pasmo wzgórz wygina się lekko na północny zachód”.

Winnica Miłosz istnieje od roku 2004. Na pytanie, czy czuje się winiarzem, jej właściciel, autor powyższego opisu, odpowiada ostrożnie, że za wcześniej na to pytanie, musiałoby poprzedzić go tu parę pokoleń, by miał odwagę tak siebie określić. Ale przecież prześledził bardzo dokładnie losy dawnych grünerskich winiarzy, utożsamiał się z nimi, zszedł



WEŁDYSŁAW CZULAK / AGENCJA GAZETA

Krzysztof Fedorowicz częstuje winem gości zwiedzających winnicę Miłosz podczas „Pandemicznego spaceru”, Łaz k. Zielonej Góry, 5 września 2020 r.

z nimi do podziemnych niebios. O śmierci jednego z nich w ostatnim dniu zbiorów tak pisał: „Północ, wschód, południe, zachód: tak 14 października 1859 roku, w ostatnim dniu życia obraca się ciało Johanna Friedricha Seydela. Jakby mechanicznie i na pamięć, ale zupełnie nie tak: z niebywałą świadomością korzeni, które w przypadku wina i człowieka właśnie tutaj, nad potokiem Maugscht, wzrastają najgłębiej, sięgając jądra świata”.

Wer den Dichter will verstehen

Można wypowiedzieć to jeszcze inaczej, siedząc przy stole z kieliszkiem w rękę i pragnąc dociec, w czym rzecz i co to znaczy „napić się wstecz”.

Ktoś powie: wino smakuje albo nie, i nie zawracajcie ludziom głowy. To nie takie proste. Bo też istnieją dwa sposoby rozumienia wina. Pierwsze rozumienie, bezpośrednie, wnika wprost w jakość tu i teraz: fajne jest czy nie, ładne ma garbniki czy jest zbyt szorstkie, finisz ma długi albo krótki, w porównaniu z innymi butelkami na stole, równolegle degustowanymi (albo obalanymi) bardziej nam się podoba lub mniej. Drugie rozumienie jest pośrednie, kontekstowe. Ale żeby je uruchomić, musimy znać dzieje tego wina, wiedzieć dokładnie, skąd pochodzi, z jakiej parceli, w jaki sposób uprawianej, jak wyglądającej; i więcej: musimy zejść w głąb, degustować niejako w czasie, to znaczy wiedzieć, że wino, które degustujemy, jest kolejnym w historii tego miejsca i tej przeszłości też zawdzięcza smak. To znaczy zobaczyć rzecz ogólnie, w perspektywie *terroir*. „Właśnie tutaj, nad potokiem Maugscht”.

To drugie rozumienie może się wydać abstrakcyjne, metaforyczne, lecz takim nie jest, mówię o czymś konkretnie dotykającym. Wielokrotnie zdarza się, że to samo wino degustowane w oderwaniu od przestrzeni jego pochodzenia, np. podczas degustacji konkursowych w ciemno, zupełnie inaczej smakuje w innych okolicznościach, gdy można poznać jego rodzinną okolicę i historię, i przełazić parę kilometrów po winnicach. Niekoniecznie smakuje lepiej, bynajmniej, ale inaczej: dociera z niego coś więcej.

Pamiętam tamto syrah ze szwajcarskiego Valais. Pite w restauracji, umknęło wśród innych win. Kiedy później odwiedziłem winnicę, skąd pochodzi, zobaczyłem te granity, te pionowe niemal ściany winorośli, tę żylastość gleby, te krzewy pamiętające niegdyśjsze śniegi, te siatki na skałach zabezpieczające przed zmiłami, wszystko się inaczej

→ ułożyło; to, co wydawało się, popijane do kotleta, ciemną, średnio atrakcyjną, ponurą nutą nie wiadomo czego, nabrało nagle wyrazu i okazało sublimacją trudnego charakteru gleby i twardych, niekoniecznie do rany przyłoż ludzi mordujących się na tych stromiznach od setek lat. Wiadomo, że wino pite w miejscu pochodzenia smakuje inaczej niż w domu, Santorini w Grecji to co innego niż Santorini (nieco rozczarowujące) w domu. Ale nie o to tylko chodzi, że wakacje i beztroška. Dopiero kiedy postawi się nogę na wulkanicznym żużlu wyspy oblewanym przez morze, coś się nam objawi i słono-żyźne nuty inaczej przemówią.

„*Wer den Dichter will verstehen, muss in Dichters Lande gehen*”. Goethe poucza, że jeśli chcesz poetę zrozumieć, musisz zawędrować w jego strony. To najlepsze rozwiązanie, ale też strony mogą przyjść do nas: strony dosłowne, w postaci książki. Pinot noir Krzysztofa Fedorowicza smakowałby mi inaczej, gdybym nie przeczytał jego „Zaświatów” (Wysoki Zamek 2020), powieści fabularnej i dokumentalnej zarazem, opowieści o grünerskich siedliskach i ludziach, którzy przez kilkadziesiąt lat sadzili tam winorośl i tłoczyli wino, wreszcie, jak głosi podtytuł, „opowieści o nieprzemijaniu”, opatrzonej fotografiami z czasów dawnych i nowych. To już druga jego książka o tym miejscu; najwidoczniej nie daje mu ono spokoju; daje werwę, którą wyraża i winem, i słowem.

Winem: tutejsze butelki należą do ścisłej polskiej czołówki. Cenione są bardzo jego sekty (czyli wina musujące), największa w dawnych czasach specjalność grünerska, ale też pozostałe wina. Wśród nich największy bestseller winiarski 2020 r. w Polsce, wina zwane „pandemicznymi”, obdarzone etykietkami przedstawiającymi historyczne sylwetki w dawnych maskach chroniących przed dżumą, która, dodajmy (Fedorowicz dokonał gruntownej kwerendy archiwalnej, odkrył nawet zapiski o lokalnym cmentarzu wampirycznym), wielokrotnie Grünberg nawiedziła i przed którą tutejsza ludność chroniła się na winnicach.

Słowem: „Zaświaty” jest opowieścią wielotonową, to poetyką i wzniosłą, to historyczną i archiwalną, to ironiczną i z humorem. Jej głównym bohaterem jest August Grempler (ur. 1793), winiarz pomnikowy, najbardziej uznany w historii winnic Zielonej Góry. Czy raczej: Grünbergu, skoro ta historia liczy kilkadziesiąt lat. I rozgrywa się ponad granicami i narodowościami: było niemieckie, jest polskie, lecz obie strony należą do jednego wspólnego świata. Wokół miasta rozciągało się tu kiedyś siedemset hektarów winnic. To kawał ziemi żywiącej tysiące ludzi; ich dzieje powracają w książce, odczytane w archiwach, lecz przeżyte od nowa, jakby toczyły się dzisiaj; jakby dzisiaj zakładali rodziny, kochali się, przeklinali złą pogodę i błogosławili dobrą, przejmowali się toczącymi się w mieście w XVII w. procesami czarownic, emigrowali do Australii, by tam zakładać winnice, uciekali przed wojnami. A teraz, w kolejnej odsłonie, rękami ich symbolicznymi potomków po winie, uprawiali znowu winorośl: po komunistycznym zaniechaniu, winiarstwo grünerskie czy zielonogórskie (i chodzi o to, by nie czynić w nazwie różnicy) z werwą się odradza.

Zielony trend w winiarstwie dąży do wydobywania na jaw długiego łańcucha zależności klimatycznych. Ale też życia z winnicy i na winnicy, **współzależności związanych z historią, tradycją i samą glebą.**

Wbity w ziemię, w tę ziemię, tę grünerską ziemię. I nabity w butelkę, pewnie już na zawsze, na nieśmiertelne zawsze śladem Augusta Gremplera, z tej pasji nie ma już wyjścia. Pisarz Fedorowicz wyobraził sobie w swojej opowieści, że Grempler wciąż żyje, że przechodzi ze stulecia na stulecie i nadal tu, wśród winnic, jest. Jest do tego stopnia, że winiarz Fedorowicz, jego *alter ego* czy późny wnuk, odtworzył jego wino, Gremplerowski sekt. Dlatego można o tym wszystkim powiedzieć „winopisanie”; rzeczywistość opisywana i przeżywana, i przy okazji rzeczywistość jednego narodu i drugiego, przenikają się nawzajem. Z wysokości Hölderlinowskiej chmury (właśnie dosiadł się Słowacki) chciałoby się westchnąć cokolwiek utopijnie: „Tak będzie pisała Europa”.

Wsi spokojna

Zejdźmy niżej. Ta więź z ziemią, metafizyczna i przez pokoleniową sztafetę historyczną, wymaga też interpretacji politycznej. „Faszyzm nie wykielkuje tam, gdzie rodzi się wino”, pisze Krzysztof Fedorowicz. Tak, w Bawarii nie było winnic, ale to stwierdzenie trochę idealistyczne. Tym bardziej że przywykliśmy sądzić, iż wszystko, co wiąże się z *terroir*, z wiernością miejscu, z obroną jego przeznaczenia, z kultywowaniem tradycji, z przywiązaniem do „placówki”, należy do wartości konserwatywnych, mniej lub bardziej – na ogół bardziej, nieraz skrajnie – prawicowych. I że dzisiaj lewica oraz liberałowie oddają wieś walkowerem; nie szukają tam głosów, nie umieją tam dotrzeć, czy wręcz – jak w polskim przypadku – po prostu tam nie jeżdżą. Tak jakby wciąż pytali siebie: „Przepraszam, czy tam biją?”.

Winiarstwo europejskie, a zwłaszcza francuskie, ostatniego dwudziestolecia nieco zaburza ten podział. Lepeniści, podobnie jak wiele innych partii populistyczno-prawicowych, mają na wsi swój mocny elektorat; pod tym względem na zachodzie bez zmian. Ale bardzo istotna we Francji winiarskiej ofensywa piewców *terroir*, skupiona w dużej mierze w ruchu ekologicznym (biodynamicznym i organicznym) i proklimatycznym, nie wzmacnia prawicowej flanki. Raczej przeciwnie: winiarze – wielu z nich to przybysze z miast – często wywodzą swoje idee z myśli, a w każdym razie z wrażliwości jeśli nie lewicowej, to anarchistycznej, wciąż we Francji żywej.

Owszem, są to środowiska mocno antyestablishmentowe i wrogie twardemu kapitalistycznemu neoliberalizmowi, którego działania w przestrzeni winiarskiej przez długi czas utrudniały życie małym producentom: a to skupując winnice i włączając je w holdingowe portfolio, a to sprowadzając tanie wina z Hiszpanii, słowem: nie wspierając indywidualnego rolnictwa lub wręcz je gnojąc (co powieściowo, jadąc po antyliberalnej i antyeuropejskiej bandzie, przedstawił Houellebecq w „Seroninie”).

Jednak kiedy myślę o winiarzach, którzy odnieśli sukces w ostatnich latach – choć zbyt mała to garstka dla mocnych uogólnień – widzę, że jakaś cząsteczka wsi została odebrana Zjednoczeniu Narodowemu i połączona z myślą uniwersalnie klimatyczną. Czyli że *terroir* może być zbawione. Pić wstecz, lecz mówić do przodu.

© MAREK BIEŃCZYK

Nie masz czasu czytać? Słuchaj!

W nowym cyklu

„Tygodnik” na ucho

co tydzień 5 wybranych tekstów z bieżącego wydania – do odsłuchania w dowolnym czasie, miejscu i na dowolnym nośniku.

Pobierz aplikację Audioteki z GooglePlay lub AppStore i słuchaj w dostępie dla Klubowiczów – dla nowych abonentów 14 dni gratis!



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

▶ **audioteka**

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących!

Rejestracja w internetowym kiosku Stowarzyszenia „De Facto” umożliwia bezpłatną lekturę „Tygodnika Powszechnego” osobom z orzeczeniem niepełnosprawności z tytułu wzroku.

Serdecznie prosimy Państwa o przekazanie tej informacji bliskim, przyjaciołom lub sąsiadom, którzy mogą być zainteresowani czytaniem naszego pisma w takiej formie.

Więcej informacji na
powszech.net/dostepny

DE
STOWARZYSZENIE
FACTO

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

STANISŁAW

Mancewicz:

Na stykach



SĄ DZIŚ DWIE SPRAWY DO OMÓWIENIA. OTO – jak czytamy – p. S. Swan, epidemiolożka z Nowego Jorku, obliczyła, że za 24 lata na naszej planecie nie będzie ani jednego plemnika. To podobno rachunek

wystawiony ludzkości za zanieczyszczanie środowiska. Na domiar złego, poza brakiem plemników, co wydaje się być kłopotliwą perspektywą przynajmniej dla niektórych Ziemiaków, problemem także wynikłym z brudnej wody i powietrza jest już teraz zauważalny spadek IQ wśród mężczyzn.

Oczywiście jeżeli idzie o liczebność plemników, to musimy zdać się na komunikaty służby zdrowia i zaawansowanych stacji obserwacyjnych. Badanie poziomu inteligencji wymaga oczywiście innych narzędzi i wystarczą do tego zwykłe szkiełko oraz oko. Od dłuższego już czasu w naszym przydomowym laboratorium stoi segregator, do którego wpinamy fiszki, fotki, spisane obserwacje z lotu ptaka i oczywiście wycinki z prasy, które są dowodami w tej kwestii. Te drobne prace wzięły się właśnie z intuicyjnego czucia, że coś jest na rzeczy. Że maleje, że trzeba trzymać rękę na pulsie, że jeżeli coś nas tu i teraz dotyczy, a jest groźne, to spadek IQ właśnie, a nie – za przeproszeniem – planetarna perspektywa dziorództwa. Dziorództwo nas nie rusza, ani na poziomie fizycznym, ani psychicznym, ani artystycznym.

Nie da się ukryć, że na temat powodów spadku inteligencji wśród panów mamy własne teorie i zaiste ocena p. S. Swan i jej wniosek, by winić za to nadmiar plastiku w oceanach, wytrąciła nas z równowagi. Trzeba przyznać, że lubimy łatwe wytłumaczenia, ale nie do tego stopnia. Chętnie leżymy

na kanapie, wpatrując się przenikliwie w muchę spacerującą z dziećmi po suficie, ale do diaska, do stu tysięcy respiratorów kupionych przez mafiozów od mafiozów, nie do tego stopnia, żeby uznać to za pracę umysłową. Nasze zachowawcze, starcze, by nie rzec: boomerskie, przekonania oscylują wokół tradycyjnego konceptu, że mianowicie trening czyni mistrza. Oto spadkom inteligencji – mniemamy – można zapobiegać ćwiczeniami i doprawdy picie wody z morza nic tu nie zmienia. Oczywiście plastik jest niezdrowy, ale zapytajmy siebie, czy zdrowe jest codzienne, poranne wypijanie małego formatu agrestówki, kupionej na stacji benzynowej zawiadywanej przez Don Orleone.

Naszym skromnym zdaniem należałoby rychło sporządzić listę (może jest już zrobiona?) powodów degeneracji głowowej panów. Tu musimy koniecznie dać wtęt, że nie mamy ani dziś, ani nie będziemy mieć jutro, w czasach powszechnego dziorództwa, krzty odwagi, by snuć podobne, publiczne rozważania na temat poziomu umysłowego pań. Otóż w naszym mniemaniu żaden plastik w oceanie nie jest w stanie wyrządzić męskiej zdolności kojarzenia tylu szkód, ile transmisja zawodów sportowych z komentarzem. Mówiąc mocniej, bardziej zabójcza jest dowolna retransmisja. Pod wpływem retransmisji iskrzenie na stykach męskich synaps jest ledwo widoczne, efekt przypomina próbę odpalenia dwudziestoletniego diesla bladym świtem w lutym. Nie musimy chyba dodawać, że w czasie pandemii oglądanie transmisji i retransmisji sportowych wzrosło niebotycznie. Co oglądaniu towarzyszy? Kapienie. Kapienie – to kolejna nasza obserwacja – mają zasadniczy związek z ruchomością męskiej inteligencji. W gabinecie badającym pojemność i kondycję męskiego umysłu odpowiedź na pytanie o ilość czasu spędzonego w kapieniach przed telewizorem powinna być podstawą do diagnozy, terapii farmaceutykami i prądem.

Ktoś się może zdziwić, że cały przypadający nam obszar zczerniliśmy dziś uwagami badawczymi i medycznymi, że nie poświęciliśmy tak naprawdę słowa polityce. Otóż p. Kaczyński odwołał ogłoszenie tzw. Nowego Ładu, co nas wytrąciło z rutyny i wtrąciło w stan splątania, zaniepokojenia i samodiagnozy, tak bardzo odradzanej przez lekarzy. ©P

BARTOSZ MINKIEWICZ

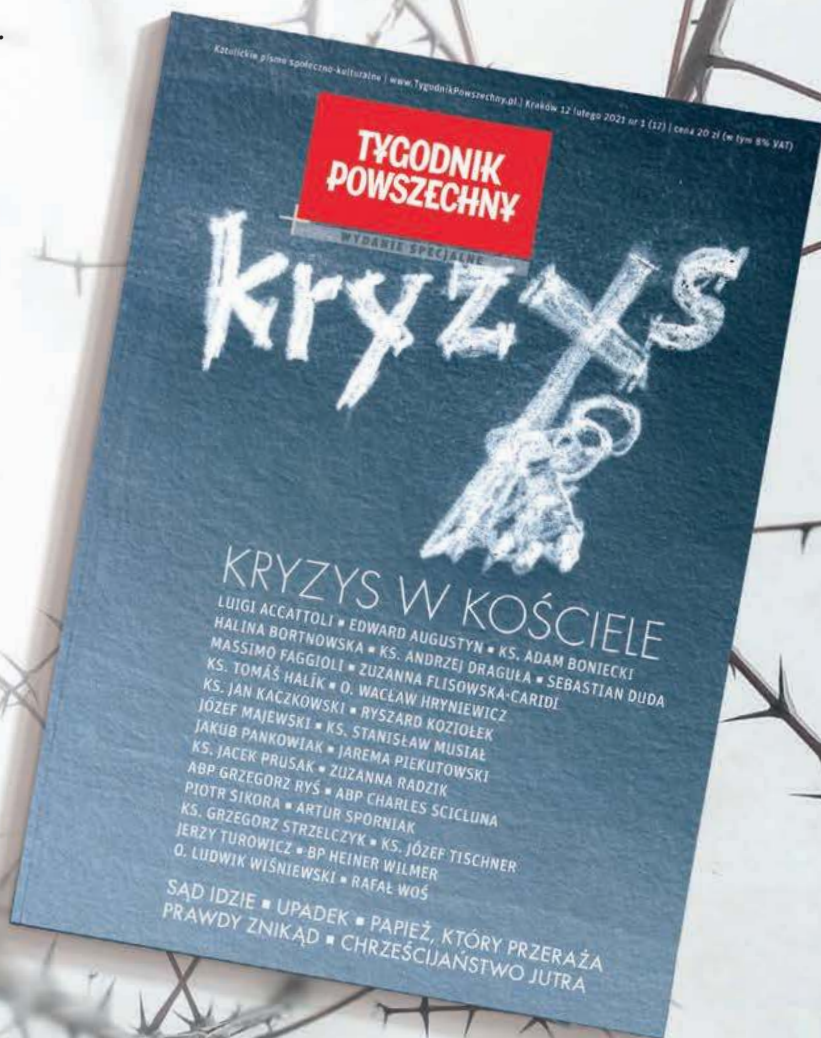


Wydanie specjalne KRYZYS W KOŚCIELE

Ośmielam się powiedzieć to, co wielu ludzi boi się mówić głośno. Biskupi, którzy ukrywali przestępstwa, przenosząc z miejsca na miejsce księży-pedofilów, powinni złożyć na ręce papieża rezygnację z urzędu. Biskupi emeryci, którzy też tak czynili, powinni odważnie i publicznie przyznać się do tego.

O. Ludwik WIŚNIEWSKI

Skandale obyczajowe i nadużycia związane z systemem władzy w Kościele, flirty z polityką, błyskawicznie przyspieszająca laicyzacja, pełzająca rebelia przeciwko reformującemu Kościołowi papieżowi Franciszkowi, a także poszukiwanie dróg wyjścia i wizja chrześcijaństwa przyszłości – to tematy kolejnego wydania specjalnego „Tygodnika Powszechnego”. Wśród autorów, ekspertów i rozmówców „TP” – najwybitniejsi komentatorzy życia Kościoła z Polski i ze świata, watykańscy, hierarchowie, teologowie i reporterzy, a bieżące komentarze dopełniają klasyczne teksty autorstwa Jerzego Turowicza i ks. Józefa Tischnera.



weź, czytaj!

„Kryzys w Kościele” – dostępny
w sklepach z dobrą prasą i na
powszech.net/kryzyswkosciele

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**Podkast
Powszechny**

Zapraszamy do słuchania
autorskich cykli podkastów
„Tygodnika Powszechnego”

Własny pokój

rozmowy
Katarzyny Kubisiowskiej
o kobiecej niezależności

#DOM

rozmowy Krzysztofa Storego
o małej ojczyźnie

Miesiąc w nauce

z autorskim przeglądem newsów
naukowych Łukasza Lamży

Punkt zwrotny

Katarzyna Kubisiowska i jej goście

Opowieści z Izraela

korespondencje
Karoliny Przewrockiej-Aderet

Sztuka powszechnie nieznana

Magdalena Łanuszka odkrywa dla nas
na nowo średniowieczne dzieła

Więcej bezpłatnych podkastów do odsłuchania
na powszech.net/podkast

weź, słuchaj!



SALESmanago
marketing automation

